

Elizabeth Barnes

Przebacz i zapomnij

Rozdział 1

Telefon dzwonił natarczywie. Kathy podbiegła do kuchenki, złapała czajnik i zalała wrzątkiem nasypaną do filiżanki rozpuszczalną kawę. Co za zwyczaj, sapnęła zirytowana. Dzwonić tak wcześnie rano! Nie ma przecież nawet ósmej, a w dodatku jest sobota!

Malcolm, pomyślała przy trzecim dzwonku. To na pewno Malcolm, oryginał i zarazem ranny ptaszek. Pracuś nie uznający wolnych dni. Zapewne chodzi mu o sprawdzenie jakiegoś drobiazgu, a to, że bibliotekę otworzą dopiero o dziesiątej, zupełnie do niego nie dociera.

Sięgnęła po telefon i przycisnęła słuchawkę ramieniem do ucha.

– Tak! Słucham? – prawie warknęła, nie kryjąc rozdrażnienia.

W słuchawce panowała przez chwilę cisza. Potem odezwał się słaby, piskliwy i załamujący się głosik:

– Kathy, kochanie! Jak dobrze, że ciebie zastałam! – Tu nastąpiła przerwa, po której w głosie rozmówcy dało się wyczuć zwątpienie: – Kathy, czy to ty?

– Tak. – Kathy z największym trudem uświadomiła sobie, iż to jednak nie Malcolm. – Ciocia Margaret?

Od razu rozpoznała ją po głosie. Rzecz jednak w tym, że ciocia Margaret nigdy do niej nie dzwoniła, a tylko pisała uprzejme, chaotyczne listy. Pajęczynowatym charakterem pisma na szarobiałym papierze, który pachniał leciutko lawendą.

– Stało się coś?

– Chodzi o mój kościół, w Vermont. Przyjechałam tu na Boże Narodzenie, a wczoraj wybuchł pożar... Kościół spłonął... No, niezupełnie, ale jest mocno zniszczony. Wszędzie osmolone drewno i swąd spalenizny... – Głos ciotki Margaret zadrżał, głęboko westchnęła. – No cóż, to wygląda naprawdę okropnie – kontynuowała już spokojniejszym głosem – a ile przy tym zamieszania! Dziennikarze na każdym kroku. Kręcą się, zadają pytania i pstrykają zdjęcia... Tak jak byśmy wszystko zaaranżowali specjalnie dla nich... Kochanie, czy przeglądałaś poranną gazetę?

– Tak. Dlaczego pytasz, ciociu?

– Powinno być w niej zdjęcie. Powiedziano nam, że nasz biedny stary kościół znalazł się na pierwszych stronach gazet w całym kraju. Biorąc pod uwagę, że w dzisiejszych czasach wszystko jest drukowane w kolorze oraz że ten kościół, typowa stara świątynia Nowej Anglii, faktycznie jest śliczny i pięknie położony. Cóż, wygląda na to, że nasze nieszczęście było spełnieniem modlitw wielu wydawców. Oczywiście, jeśli ci ludzie potrafią się modlić, bo ja osobiście bardzo w to wątpię... Powiedziano nam, że to słaby dzień dla środków masowego przekazu – ciągnęła ciotka, a Kathy sięgnęła po gazetę, napinając sznur telefonu do granic możliwości. – Bo niby nic szczególnego nie dzieje się w czasie pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem i dlatego...

– Aha, jest zdjęcie. Na pierwszej stronie.

– A widzisz...

Jak na zdjęcie w gazecie, było wyjątkowo wyraźne. Ukazywało klasyczną sylwetkę starego białego kościółka. Wejście zdobiły wieńce i girlandy. Na tle błękitnego nieba łagodnie wznosiła się kościelna dzwonnica. Obrazek nadający się na pocztówkę świąteczną. Jeśli pominąć ciemne smużki dymu wokół wieży oraz jaskrawo-karminowe i żółte płomienie ognia. Pełna paleta barw. Wystarczająco bogata, by ożywić najnudniejszą z możliwych, pierwszą stronicę gazety.

– Aha, widzę – powtórzyła.

– Sama więc rozumiesz. To ładny kościółek i dlatego pomyślałam, że... – Ciotka Margaret przerwała na chwilę, aby nadać większą stanowczość swemu kruchemu głosowi. – Niektórzy już z góry przesadzają, że trzeba go będzie rozebrać... I właśnie dlatego do ciebie dzwonię.

– Żeby się poradzić? – spytała Kathy ostrożnie, wyczuwając, o co chodzi. – Czyżbyś chciała...

– Tak, chcę żebyś tu wpadła – dokończyła ciotka Margaret, jakby z góry zakładając, że niczego prócz przyjazdu Kathy nie mogłaby zaoferować. – Pomyślałam, że może masz trochę czasu. Oczywiście, jeśli nic innego nie zaplanowałaś na resztę weekendu. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś mogła poświęcić nam dzień lub dwa więcej... Mogłabyś przyjechać i rzucić okiem? Zorientowałabyś się, co nam tu zostało. W końcu, to przecież twoja specjalność, prawda? I powiesz, czy to warto ratować. Oczywiście, zamieszkas u mnie, byłabyś moim najmiłym gościem. Jeszcze nigdy u mnie nie byłaś... – dodała przymilnie. – Proszę cię, przyjeźdź. To naprawdę ważne...

– Ale... – Kathy zawahała się.

– Kłopot? – podsunęła ciotka. – Kochanie, nawet nie myśl tak. Jaki tam kłopot? Żyję tu sobie spokojnie, a poza tym, nikomu nawet nie pisałam słowa o całej sprawie. Wiemy o tym tylko my dwie, no i ma się rozumieć Emma, moja pokojówka. No powiedz, że przyjedziesz! Jakby to było dobrze, gdybyś mogła powiedzieć, co sądzisz o możliwości odbudowy naszego biednego kościółka... – Głos ciotki Margaret zaczął znowu drżeć. – Brałam ślub w tym kościele – wyjaśniła, sumitując się. – Widzę go z mojego okna, poprzez otaczającą zielen. Stanowi nieodłączną część mojego życia tutaj. Nie przeżyję chyba, jeśli go rozbiorą. Jeśli istnieje jakakolwiek szansa... Nie sądzisz, że to po prostu cud, że akurat ty znasz się na tych sprawach? Proszę cię! Powiedz, że przyjedziesz!

Kathy nie miała wyboru. Automatycznie zapisała niezbyt dokładnie podany adres i odłożyła słuchawkę. Zawdzięczała starszej pani zbyt wiele. Nie mogła odrzucić tak uprzejmej prośby. Ciotka Margaret była przy niej wtedy, gdy inni odeszli. Oczywiście, mogła poświęcić kilka wolnych dni, skoro, jak to określiła ciotka, swoją obecnością nie sprawiłaby nikomu najmniejszego kłopotu. Niezły eufemizm, pomyślała Kathy i uśmiechnęła się słabo.

Słowo „kłopot” nie byłoby tym, które wybrałaby Kathy, aby opisać nurtujące ją obawy związane z...

– Nie sądzę, żeby mogła wyjechać tak wcześnie... i jeszcze w sobotę. –

Zerknęła na Luce, ostatnią z długiej listy mieszkających u niej lokatorek studentek, która właśnie weszła do kuchni.

Kiedy po raz pierwszy Kathy zdecydowała się podpisać umowę o wynajem, zmusiły ją do tego koszty utrzymania lokalu. Toczyła wówczas zawziętą walkę o spłatę zaciągniętych długów. Pożyczki zostały już spłacone, ale przyzwyczajenie do oszczędzania pozostało. Co ważniejsze, podnajmowanie mieszkania miało tę zaletę, że kiedy musiała wyjechać z miasta na parę dni w sprawach służbowych, zawsze zostawał w domu ktoś, kto mógł nakarmić kota i podlać kwiaty. Obecność drugiej osoby zmniejszała poczucie samotności, choć Kathy bardzo rzadko to sobie uświadamiała. Skrywała to uczucie przed sobą. Woląла myśleć, że jest w pełni niezależna; przyznanie się do samotności byłoby dopuszczeniem myśli, że nie wszystko, co z taką pieczołowitością stworzyła, było doskonałe i że czegoś najwidoczniej zaniedbała.

Przeważnie Kathy znajdowała współlokatorki za pośrednictwem biur wynajmu mieszkań na Uniwersytecie Browna lub w Szkole Artystycznej na Rhode Island. Obie uczelnie miały siedziby w pobliżu jej domu. Poza Carla, entuzjastką muzyki rockowej, puszczającą heavy metal na cały regulator, Kathy na ogół dopisywało szczęście w doborze lokatorek.

Jednak z Luce udało jej się najlepiej. Nawet po miesiącu wspólnego mieszkania stanowiła doskonale towarzystwo. Uczynna i miła dziewczyna.

Teraz Luce uznała, że woda jest dostatecznie gorąca, i również przygotowała sobie kawę.

– Malcolm dzwonił, tak? – zauważyła, siadając naprzeciw Kathy przy kuchennym stole. – Nikomu innemu nie przyszłoby do głowy dzwonić o tak nieodpowiedniej porze.

– Też tak sądziłam – przytaknęła Kathy i uśmiechnęła się bez przekonania. Nie pozwoliłaby sobie na głośne krytykowanie Malcolma. Był przyjacielem, nie tylko pracodawcą. Łączyła ich zażyłość, torował jej drogę awansu i podtrzymywał na duchu. Zbeształaby każdego, kto ośmieliłby się go choć trochę skrytykować. Jednak według wyważonej opinii Luce Malcolm grzeszył zbytnią prostolinijnością. Lokatorka wygłosiła swoje zdanie o nim z nutką poczucia humoru i na tyle lojalnie, że nie uraziła Kathy.

– Jesteś w błędzie, tym razem to nie on.

– W takim razie kto?

– Ciocia Margaret.

– Masz jakąś ciotkę? Przecież, o ile pamiętam, mówiłaś mi, że nie masz żadnych krewnych.

– Tak naprawdę ona nie jest moją ciotką. – Tłumaczenie po raz kolejny prywatnych spraw było ceną, jaką musiała płacić za wciąż zmieniających się lokatorów. – Wszyscy tak ją nazywają. Spotkałyśmy się... – Zawiesiła na chwilę głos. Luce znała z grubsza historię jej życia. Opowiadała jej, jak dorastała na Karaibach, jak po raz pierwszy przyjechała do Stanów mając osiemnaście lat... tym niemniej nie widziała powodów, dla których miałyby wyjaśniać swojej lokatorce,

kiedy i dlaczego spotkały się z cicią Margaret! – Spotkałyśmy się, kiedy po raz pierwszy znalazłam się w Nowym Jorku – ciągnęła Kathy z nadzieją, że Luce nie zauważyła wahania.

– Jest miłą staruszką, dobiegającą dziewięćdziesiątki.

Utrzymujemy kontakty, piszemy do siebie listy i zawsze ją odwiedzam, kiedy jestem w Nowym Jorku.

– Dlaczego w takim razie zadzwoniła do ciebie przed ósmą? – Luce z trudem opanowała ziewnięcie. – I to w sobotę rano?

– Przyjechała w rodzinne strony, a wczoraj spalił się u nich kościół. – Odwróciła gazetę i popchnęła przez stół, ku Luce. Wstała i ruszyła do salonu po atlas drogowy. – Prosiła mnie, żebym wpadła do niej na kilka dni. Mam obejrzeć to, co pozostało, i zdecydować, czy budynek nadaje się do remontu.

– I co? Jedziesz?

– Hmm... nie widzę powodu, dla którego miałabym nie jechać – odparła Kathy, która tymczasem wróciła do stołu i kartkowała atlas. Z roztargnieniem próbowała znaleźć jakąś rozsądną trasę z Providence do południowo-zachodniego zakątka Vermont. – Na razie nic specjalnego tu się nie dzieje...

– Ale jednak – nie ustępowała Luce – dokądś wyjeżdżasz, a nie należy to bynajmniej do twoich obowiązków. W dodatku bez zaplanowania wszystkiego na kilka dni naprzód. Nie mogę w to uwierzyć.

Jawna kpina dotarła do Kathy; podniosła głowę.

– Stać mnie jeszcze na spontaniczność – oświadczyła dumnie.

Chociaż Luce była od niej tylko trzy lata młodsza, Kathy czuła się przy niej staro. Luce nie przywiązywała wagi do praktycznej strony życia. Impulsywna i wolna duchem, pozwalała, by okoliczności same przynosiły rozwiązanie.

Dwudziestosześcioletnia Kathy była racjonalistką. Planowała każdy swój krok, niestety, nie zawsze udawało się jej kontrolować bieg wydarzeń. Przed ukończeniem osiemnastu lat wiodła życie wagabundy, przekonana, że ludzie są z natury dobrzy...

– Nie widzę powodu, żeby nie jechać. Malcolma nie ma...

– A jak zadzwoni? – zauważyła oschle Luce.

– On nie wymaga, żebym przez cały weekend siedziała w domu, a poza tym mam wobec ciotki Margaret dług wdzięczności – powiedziała Kathy z naciskiem.

– Nie sądzę żebyś była komuś coś winna – zauważyła Luce, przechyliwszy głowę. – W życiu nie spotkałam nikogo tak niezależnego jak ty.

– Cóż, nie zawsze tak było – odparła Kathy i znów zajęła się szukaniem sensownej drogi do East Hawley. Doszła do wniosku, że takiej nie ma. – Wyobraź sobie, Luce, jest tu kilka dróg... Ale ja chcę pojechać na północny zachód, a drogi prowadzą albo na zachód, albo na północ. Wieki miną, zanim tam dotrę! – Zamknęła atlas z irytacją i wstała od stołu. – Lepiej się spakuję.

– Pomóc ci? – zapytała Luce, kiedy szły razem wąskim korytarzem do sypialni.

– Pewnie zabierasz swoje zwykłe rzeczy? – zwróciła się do Kathy, zdejmując jej walizkę z najwyższej półki szafy.

– Oczywiście – sapnęła Kathy. Po kolei wyszarpywała ciuchy: parę dobrych wełnianych spodni, wygodną wełnianą koszulę, jedwabną bluzkę, kaszmirowy sweter i nieco elegantszą wełnianą suknię. Po namyśle dodała jeszcze wełniany zakiet, tak samo tradycyjny jak reszta ubrania i tak samo utrzymany w zgaszonych barwach. – Nie chcę zabierać ze sobą zbyt wiele, ale przecież to wszystko pasuje do siebie...

– Ale jest takie banalne. – Luce wolała jasne barwy i ekstrawaganckie kroje. – Banalne i śmiertelnie nudne.

– Wiem – zgodziła się Kathy i dołożyła dwie okropne trykotowe koszulki i dwie pary znoszonych dżinsów. Strój do pracy. – Wiesz, że ja też jestem nudna...

– Wcale nie. Przynajmniej... Nie musisz taka być.

Przez moment patrzyły na swoje odbicie w lustrze nad komodą.

Interesujące studium kontrastów. Luce, wysoka dziewczyna o ciemnych oczach i krótkich czarnych włosach. Kathy, przynajmniej we własnym mniemaniu, zbyt niska i nieco pulchna. Z jasnobrązowymi oczami i popielatoblond prostymi włosami do ramion. – Słuchaj, Kathy, może zrobisz coś z włosami? I dobrze wyglądałabyś w czerni albo głębokim błękitcie, prawdziwych kolorach, a nie w zgaszonych mieszankach.

– Trochę za późno zmieniać moją garderobę.

– Nigdy nie jest za późno. Teraz zresztą to bez znaczenia. A jak tej ciotce na imię?

– Margaret – mruknęła Kathy, zajęta układaniem rzeczy w walizce.

– Aha, ciotka Margaret. Więc powiedz mi – Luce usiadła na łóżku Kathy i skrzyżowała nogi – kiedy to nie byłaś taka niezależna?

– No wiesz... – Kathy zamyśliła się. – Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Nowego Jorku. Było zimno, a ja czułam pustkę... – Jednak nie na samym początku, zreflektowała się. Przypomniała sobie sprawy, o których nie myślała już od dawna. Tyle razy spotykała już starszą panią i nie budziło to żadnych przykrych wspomnień. Dlaczego właśnie teraz?

– I ciotka Margaret była wtedy moją jedyną przyjaciółką – zakończyła i szybko zatrzasnęła walizkę. – Tak. Teraz robię to, co chcę. Będę we wtorek wieczorem. Zadzwoń, jakby coś się działo i nie zapomnij o kocie i kwiatach.

Szybko napisała adres i telefon ciotki Margaret i podała Luce.

Kathy głęboko zaczerpnęła powietrza. Robiła tak, aby pokonać tremę. Miała teraz wysłuchać wniosków zebranych tu parafian i sama przedstawić swoje. Wiele godzin pracowitego dnia spędziła na ustalaniu zniszczeń kościoła. Wykąpała się z sadzy i zjadła obiad w towarzystwie ciotki i Emmy. Najmniej w swojej pracy lubiła spotkania, niestety, musiała w nich uczestniczyć. Siedzieli teraz w salonie ciotki. Meble i wystrój stanowiły mieszankę nowoczesności z antykami. Na kominku płonął ogień, a jego miłe odbłaski odbijały się od każdej wypolerowanej powierzchni. Było przytulnie, a zarazem nieco dostojnie.

– A zatem możemy zaczynać – powiedziała cicho ciotka Margaret. Jej delikatny

głos uciszył szmer rozmów. – Szczęśliwym zrządzeniem losu moja młoda przyjaciółka, Kathy Loring, jest specjalistką od starych kościołów. Pracuje w firmie Trowbridge Restorations. Ma solidne kwalifikacje, by służyć nam radą.

– Powinniśmy zburzyć, co zostało, każdy to wie – wszedł jej w słowo mężczyzna w średnim wieku – Połowy już nie ma, a w tym, co zostało, roi się od termitów.

Ciotka Margaret wymruczała coś i zawołała do księdza:

– Ojcie Gardiner, zanim zaczniemy, czy możemy się pomodlić?

Modlitwa została sumiennie odmówiona. Złożono też podziękowanie ciotce Margaret za gościnę i Kathy za to, że przyjechała. Gdy ojciec Gardiner skończył, zabrała głos Kathy:

– Macie państwo bardzo sympatyczny kościół, przynajmniej był taki przed pożarem... – Kathy umiała być dyplomatką, objaśniała cierpliwie i budowała powoli zgodę wśród zwaśnionych parafian.

Pan w średnim wieku żądał jednak rozbiórki i postawienia budynku tańszego i łatwiejszego do utrzymania. Nazywał się Blunt. Zresztą nie tylko on odnosił się sceptycznie do odbudowy kościoła. Jeszcze cztery osoby podzielały jego zdanie. Czas pokaże, czy dadzą się przekonać. Na tym polegała praca Kathy. Znow opanowało ją zdenerwowanie, ale uspokoiła się i powoli zaczęła:

– Dziś nie mogłam dowiedzieć się dużo, budynek powstał między 1805 a...

Po sali przeszedł szmer, toteż Kathy skupiła się na swoich notatkach – ktoś spóźniony ukazał się w drzwiach. Z miejsca gdzie stała widać było tylko część przedpokoju, a u progu drzwi frontowych na przybyłych oczekiwała Emma. Zerknęła w tamtym kierunku i dalej mówiła o tym, co już zdążyła poznać na miejscu pogorzeliśka.

Ciotka Margaret wstała na przywitanie nowego gościa i przeszła do przedpokoju. Kathy usłyszała tylko niektóre słowa:

– Co za niespodzianka... Kościół spłonął... Może wolałbyś...

– Jestem pewien, że będę pomocny... – Głos nieznanego brzmiał twardo i stanowczo.

Z reakcji zebranych Kathy wywnioskowała, że cieszy się on tutaj szacunkiem: wszyscy w skupieniu nasłuchiwali urywanych słów gospodyni i gościa.

– To dobrze, że jesteś pewien – mówiła drżącym z emocji głosem ciotka Margaret, wprowadzając gościa do salonu. – Mój bratanek – przedstawiła wysokiego, szczupłego mężczyznę. – Sądzę, że część państwa go zna... Był za granicą, podróżował. Reid MacAllister.

Kathy zadrzała. Od otwartych drzwi wejściowych powiało chłodem. Gość ubrany był z niewyszukaną elegancją. Wełniana marynarka w odcieniach beżu i brązu, biała koszula bez krawata i beżowe spodnie. Wszystko doskonałej jakości, podkreślające wysportowaną masywną sylwetkę. Jest w nim coś ostrego, pomyślała dziewczyna.

– Kathy Loring, moja wielka przyjaciółka... Specjalistka od restauracji starych kościołów – dokonała prezentacji ciotka Margaret.

– Tak? To dobrze się składa. – Przyglądał się jej badawczo. Blond włosy, zielony żakiet, zielononiebieska spódnica...

– O tak, tak, oczywiście, że dobrze – przytakiwała z zaskakującą stanowczością ciotka. – Kiedy zadzwoniłam do niej dzisiaj rano, była tak miła, że zgodziła się tu przyjechać i zrobić ekspertyzę. Właśnie dzieliła się z nami swoimi pierwszymi wrażeniami.

– I ja przerwałem – wtrącił gładko. – Przepraszam, panno Loring. Odwrócił się i usiadł na drewnianym fotelu koło ognia. – Proszę kontynuować – dodał, patrząc jej prosto w oczy.

Zachowuje się jak jakiś przewodniczący, przyszło na myśl Kathy.

– Dziękuję – wycedziła przez zaciśnięte zęby i spojrzała na moment do notatek, aby się uspokoić. – Mówiłam, że kościół zbudowano między 1805 a 1815 rokiem.

– Taki stary? – spytał Reid MacAllister. – Myślałem, że jest nowszy...

Co ciebie to obchodzi? To nie twój kościół! – pomyślała z pasją Kathy.

– Wygląda na nowszy, gdyż był gruntownie remontowany przed 1860 rokiem. Wtedy zmieniono niektóre elementy – odpowiedziała bez zająknięcia, starając się twardo patrzeć w oczy bratanka ciotki Margaret.

– Jak to było zrobione?

– Co jest autentyczne, a co dodane?

– Jak pani nas przekona, że to, co mamy, jest warte uratowania?

Zaczęły padać pytania. Atmosfera ożywiła się. Była za to wdzięczna MacAllisterowi. I za to, że sam nie zadawał już pytań. Onieśmiał ją swoim zimnym baczny spojrzeniem. Nikt inny nie przyglądał jej się tak obcesowo.

– W takim razie, może naprawdę mamy coś wartego uratowania – podsumował ojciec Gardiner po dwóch godzinach burzliwej dyskusji – ale będzie pani musiała wszystko obejrzeć dokładnie, żeby mieć całkowitą pewność. Kiedy to będzie możliwe?

Kathy wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że już jutro. Jednak komendant straży musi zdecydować, czy konstrukcja nie grozi zawaleniem.

– A niby to przedtem była pewna! – szydził pan Blunt. – Teraz to już tylko wariat wejdzie do środka! – Siedział cicho tyle czasu, dopiero teraz pozwolił sobie na powtórzenie zarzutów z początku spotkania. – Uważam, że trzeba to rozebrać.

– Być może, ale nie wiemy na pewno – powiedział cicho ojciec Gardiner. I dodał nieco bardziej stanowczo: – Potrzebujemy inżyniera tej specjalności, ale trudno będzie go znaleźć szybko.

– A ja bym się nie nadał? – zapytał Reid MacAllister z zagadkowym uśmiechem. – To mój chleb powszedni. Panno Loring, będę szczęśliwy, jeśli zechce pani przyjąć moją pomoc. Proszę zaufać moim sądom. – Brzmiało to jak żart, ale jego twarz pozostawała pochmurna. – Może się pani przydam?

– Oczywiście – zgodziła się szybko.

Uśmiechnął się, zadowolony.

– Świetnie, porozmawiam jutro rano z komendantem, potem sprawdzimy

wszystko na miejscu. Jeśli badanie okaże się bezpieczne, panna Loring będzie mogła poświęcić na nie cały tydzień.

– Ustalono – ucieszył się ojciec Gardiner i odprawił krótką modlitwę na koniec.

Pokój szybko opustoszał. Wychodzący zegnali się z ciotką Margaret. Reid i Kathy zostali sami w salonie.

Z trudem wytrzymywała jego badawcze spojrzenie, udając, że jest zajęta przeglądaniem notatek.

– Tak więc – zaczął cicho – co ty tutaj robisz, Kathy?

Rozdział 2

– Czy to nie oczywiste? – zapytała wściekłym szeptem. Po męczącym zebraniu i jego nieznośnej zabawie w kotka i myszkę była wyczerpana nerwowo. Teraz prawie z ulgą mogła powiedzieć: – Przyjechałam pomóc ciotce Margaret, prosiła mnie o to. Chcę natomiast wiedzieć, co ty tu robisz?

– Czy to nie jest równie oczywiste? – odpalił z niebezpiecznym błyskiem w oczach. Wstał i podszedł do niej. – Przyjechałem z wizytą.

– Powiedziałyby mi, że przyjeżdżasz.

– Nie wiedziała.

– Przecież... – Kathy zamilkła.

Reid był tutaj, koszmar stał się realny. Nie było żadnego „ale” w tym, co się stało. Była bezradna. To był dom ciotki Margaret, jego ciotki, a ściślej siostry jego babki. Nie mogła mu rozkazać, żeby wyjechał. Miała tylko jedno wyjście.

– Wyjeżdżam jutro rano.

– Zobaczymy. – Przyglądał się jej uważnie, a jego głos brzmiał znów twardo i zdecydowanie. – Tym razem nie pozwolę ci zwać. Zostaniesz tutaj.

– Nie możesz mi rozkazywać, co mam robić – zaoponowała. – Może zapomniałeś...

– Nie zapomniałem. – Przysunął się bliżej i zmusił ją do oparcia się o stół. – Ale myślę, że ty zapomniałaś.

– Oczywiście, że nie – prychnęła. Usiłowała spojrzeć mu w oczy. Napotkała zimny wzrok, zimny jak lód. Zadrżała. Nie było żadnego ciepła w jego srebrnych oczach, ale czy było tam kiedykolwiek?

– Mało prawdopodobne, żebym zapomniała, co się zdarzyło, i dlatego wyjeżdżam.

– O nie. Nie opuścisz Maggie. Mało tego – zrobisz wszystko, żeby uwierzyła, że potrafisz zachować się jak dorosły, dojrzały człowiek. Mam rację? – naciskał, prawidłowo odczytując uparty wyraz twarzy Kathy. – Ona czuje się niezbyt dobrze od kilku lat. Teraz nawet drobiazg może ją zdenerwować i ja nie pozwolę ci jej zostawić.

– Nie pozwolisz mi?

– Tak i wierz mi... – przerwał, a ona zastanawiała się, jak mogła tak się pomylić i widzieć w jego oczach lód. Płonęły teraz jak stopione srebro, jedyny znak narastającego gniewu, nad którym ledwie panował. – Jeśli ją zdenerwujesz, na pewno zdarzy się coś, co ci się nie spodoba. Zrozumiałaś?

Milcząc skinęła głową. Gdyby się odezwała, z pewnością załamałby się jej głos. Nie chciała dać mu takiej satysfakcji.

– Dobrze – wytrzymał jej spojrzenie odrobinę dłużej – wiedziałem, że zrozumiesz. – Odwrócił się, a potem zawołał przez ramię: – Powiedz Maggie, że poszedłem do swojego pokoju.

Wyszedł przez drzwi, prowadzące do kuchni. Chwilę później Kathy usłyszała,

jak idzie po schodach. W tym momencie drzwi wyjściowe zatrzęsły się za ostatnim gościem.

– Emma, jesteś wolna. Biegnij teraz do domu, sprzątniesz jutro – poleciła ciotka Margaret. Obie stały w przedpokoju. Ciotka zaczekała, aż Emma pójdzie, i stanęła w progu salonu. Rozejrzała się szybko i spytała niepewnie: – Czy Reid jest jeszcze?

– Poszedł na górę do siebie – ostrożnie wyjaśniła Kathy. – Myślę, że był zmęczony tak jak my wszyscy.

– Tak, naturalnie... Moja droga, nie umiem powiedzieć, jak jest mi przykro! Nie miałam pojęcia. Nic nie mówił, że przyjedzie... Był tu niedawno, sześć tygodni temu. Zawsze uprzedzał, nie spodziewałam się, że tak szybko się znów pojawi.

– Wszystko w porządku, naprawdę. – Kathy zmusiła się do uśmiechu. Obiecała przecież nie denerwować starszej pani. Improwizowała więc dalej: – Bardzo się tego spotkania obawiałam, ale nie było tak źle. Zobaczyłam go i świat się nie zawalił. Przecież między nami wszystko skończyło się osiem lat temu i dobrze jest wiedzieć, że gniew dawno się już wypalił.

– Dasz radę z nim pracować? Nie będzie to za trudne? – delikatnie zapytała ciotka. – Zrozumiałabym, gdybyś wyjechała jutro rano.

Kathy niczego tak nie pragnęła jak wyjazdu, ale nie mogła tego zrobić.

– Nie żartuj, ciociu – powiedziała, kładąc szybki pocałunek na bladym policzku. – Myślę, że dobrze się złożyło. Bez jego pomocy nie dostałabym się do środka kościoła. Nie martw się! Połóż się teraz spać, to był długi wyczerpujący dzień. Wszystko będzie świetnie.

– Dobrze – zgodziła się starsza pani, nie przekonana do końca.

– Wszystko w porządku, naprawdę – potwierdziła Kathy, zmuszając się znów do uśmiechu.

Starsza pani poszła wreszcie do sypialni, urządzonej we frontowym salonie od czasu, kiedy wędrowniki po schodach okazały się dla niej zbyt męczące. Kathy została sama. Poszła do kuchni i pozmywała naczynia. Nie chciała iść jeszcze na górę do swojej sypialni. Nie chciała spotkać Reida. A jeśli czeka tam, u szczytu schodów?

Była w błędzie. Czekał na nią w połowie mrocznego holu na piętrze. Stał oparty o ścianę, obok drzwi jej sypialni, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

Zatrzymała się w pewnej odległości.

– Co ty tutaj robisz?

– Czy już tego nie przerabialiśmy? – rzekł znudzonym głosem. – Ty przyjechałaś, aby pomóc. A ja w odwiedziny.

– Nie to miałam na myśli! Co robisz tutaj, koło mojej sypialni?

– Nic strasznego. Chciałem ci tylko powiedzieć, że podobał mi się sposób, w jaki przedstawiłaś sprawę ciotce. Zręcznie doprawdy.

– Strzygłeś uchem?

– Słuchałem – poprawił niedbale. – Niestety, nie byłem przekonany, czy mogę ci ufać, albo czy jasno się wyraziłem.

– Znasz mnie na tyle dobrze, iż wiesz, że nie zrobiłabym nic, co zdenerwowałoby ciotkę.

– Ale ja cię nie znam – zauważył. – Nigdy naprawdę nie znałem. Owszem, wiedziałem, że jesteś zdolną dziewczyną. Przebyłaś długą drogę... Podobno zrobiłaś karierę?

– Skąd wiesz?

– Obserwowałem cię, Kathy, gdzie jesteś i co robisz. Choć przyznaję, że na papierze nie robiło to na mnie odpowiedniego wrażenia. Dopiero jak zobaczyłem cię dzisiaj w akcji... Długa droga od sekretarki w małej firmie konserwatorskiej. Naprawdę zrobiłaś postępy.

Kathy była zaszokowana. Z trudem powiedziała:

– To komplementy?

Wzruszył ramionami.

– Myśl, co chcesz. Twoje wystąpienie było nadzwyczajne. Nie mogłem czekać do jutra na spotkanie z tobą.

– Cóż, ja mogę – prychnęła wojowniczo, omijając wysoką sylwetkę, zagradzającą jej wejście do pokoju. – A teraz, jeśli już nic cię nie zatrzymuje...

– Wprost przeciwnie – powiedział uprzejmie – ale nie mam zamiaru iść za tobą, nie martw się.

– Wcale się nie martwię! – Otworzyła drzwi i stanęła tak, by nie mógł za nią wejść. – Nie pochlebiaj sobie, o nic się nie martwię.

– Nie? W takim razie, dlaczego powiedziałaś Maggie, że bardzo obawiałaś się tego spotkania?

– Bo to prawda. Nie chciałam nigdy więcej cię spotkać.

– A teraz, kiedy spotkałaś? Powiedziałaś, że gniew dawno się wypalił.

– Kłamałam. Musiałam, tak czy nie?! – odparowała natychmiast. – Kazałeś mi znieść tę sytuację dojrzałe.

– Więc dlaczego jesteś taka zła? – Podszedł do niej bardzo blisko. Podniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Był taki wysoki. Przypomniała sobie, że kiedyś wzruszało ją to; czuła się przy nim bezpieczna. Jaka była naiwna!

– Kiedyś byłam po prostu głupia! A teraz czuję tylko i wyłącznie gniew!

– Zastanawiam się, czy jest tak wielki jak mój? – Zamyślił się. Spoglądał na nią badawczo. Uśmiechnął się w ten dziwny sposób, który tak na nią działał. Serce zaczęło jej bić szybciej. – Mam nadzieję, że tak – odezwał się – albowiem gniew jest jedyną rzeczą, która może nam pomóc spędzić razem parę dni.

Cofnął się, pozwalając Kathy zamknąć drzwi. Westchnęła głęboko. On myśli, że gniew pomoże? Gniew był jedynie ułamkiem tego, co naprawdę czuła. Reszta była bólem, poczuciem zdrady. A już myślała, że wspomnienia nie wrócą, że zostały bezpiecznie pogrzebane...

Urodziła się w Stanach i podróżowała z amerykańskim paszportem po Wyspach Karaibskich. Gdy miała pięć lat, na Wyspie Świętej Łucji umarła jej matka. Przez następnych pięć lat podróżowali wraz z ojcem, aż pamięć o niej niemal zupełnie się

zatarła. Przenosili się z wyspy na wyspę, gdziekolwiek było łatwe życie i lekka praca.

Na Martynice, kiedy Kathy miała dziesięć lat, poznali Paulette. Miała ciemne włosy i ciemne oczy, zawsze się śmiała, była zupełnie inna od matki, mówił ojciec. Ale Paulette była jego bratnią duszą. Tak jak on lubiła łatwe życie i nie znosiła ciężkiej pracy. Stali się rodziną i razem podróżowali z wyspy na wyspę. Ojciec zmarł na Antigwie, kiedy Kathy skończyła piętnaście lat. Chociaż była dla Paulette obca, tamta zatrzymała ją przy sobie. Dalej podróżowały we dwie, aż tuż przed osiemnastymi urodzinami Kathy wylądowały na jednej z najmniejszych wysp Małych Antyli. Tam Paulette przystała do człowieka, który był właścicielem malowniczej i czarującej starej gospody. Poślubienie Thoma Vernicka było awansem dla Paulette i ustabilizowało jej egzystencję. Nie osiągnęłaby tego sama ani z ojcem Kathy. Trzeba oddać Paulette sprawiedliwość; oznajmiła Thomowi, że Kathy zamieszka wraz z nimi. Zgodził się. Kathy robiła co mogła, aby pomóc. Sprzątała pokoje gościnne, obsługiwała gości przy posiłkach. Gospoda była niewielka i życie we troje krępowało Paulette i Thoma. Nigdy co prawda nie powiedzieli o tym ani słowa, ale widać było, że pragnęli dla siebie więcej prywatności. Zwłaszcza że, gdy brakowało pieniędzy, trzeba było odnajmować pokój Kathy. Sprawy szły niezbyt pomyślnie przez parę tygodni, aż do jej osiemnastych urodzin.

Wtedy pojawił się Reid MacAllister. Niemal natychmiast cała wyspa wiedziała, że żegluj sam. Że zawitał do zatoczki po prowiant i żeby spędzić – jak mówił – parę godzin w cywilizowanych warunkach. Czyli w gospodzie. Wynajął ostatni pokój, oprócz sypialni Kathy, tuż przed południem. Obsługiwała go przy obiedzie, olśniona jego światowym wyglądem. Był zupełnie niepodobny do przeciętnych turystów, którzy przylatywali i odlatywali małym samolotem dwa razy w tygodniu. W oczach Kathy był śmiałkiem, który – jak mówił o sobie – podróżował, dokąd wiatr i prądy poniosą. Niewielu takich docierało na tę malutką wysepkę. Kathy nie spotkała nigdy przedtem kogoś takiego jak on, a jeśli nawet, to była zbyt młoda, aby to zauważyć. Nagle, w dniu osiemnastych urodzin, zaczęła myśleć jak kobieta, a Reid MacAllister był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Naturalnie za starym dla niej, zrozumiała nagle. Świadomość różnicy wieku uczyniła ją boleśnie nieśmiałą wobec niego. Kiedy podawała mu obiad, z trudem powiedziała trzy słowa i zapewne nigdy nie porozmawiałaby z nim naprawdę, gdyby nie zdarzyło mu się znaleźć na skromnej uroczystości urodzin Kathy.

Paulette i Thom zaczęli do popołudnia, kiedy to goście nurkowali lub leżeli na małej plaży. Paulette upiekła ciasto. Siedzieli we troje na ocienionej werandzie i śmiali się, gdy usiłowała zapalić świeczki na torcie.

– Pomyśl jakieś życzenie i zdmuchnij je wszystkie. Puf!

Chcę dorosnąć! Chcę opuścić tę wyspę! – wypowiedziała Kathy gorące życzenia w głębi duszy. I właśnie w tym momencie Reid wszedł na werandę. Uśmiechał się i patrzył, jak Kathy zdmuchnęła świece. Towarzyska Paulette zaprosiła go, by dołączył do nich na ciasto.

– Niestety, nie mam żadnego подарunku.

– Przecież pan mnie nie zna i nie mógł wiedzieć, że dziś są moje osiemnaste urodziny – zaprotestowała Kathy, oblewając się pąsem. – Dlaczego miałby pan przynieść prezent?

– Osiemnaste urodziny to szczególna data – odpowiedział ze zniewalającym uśmiechem. – Jest pani już dorosła...

Powiedział to z namaszczeniem, a w oczach koloru srebra zamigotały ogniki. I Kathy poczuła się naprawdę bardzo dorosła.

Jadł ciasto, gawędząc niespiesznie z Thomem i Paulette. Został nawet wtedy, gdy rozpakowała prezenty – pióro i ołówek od Thoma i egzotyczny wzorzysty szal od Paulette.

– Zieleń i złoto... pasują do ciebie. – Przyglądał się, gdy Kathy owinęła się szmaragdowozielonym jedwabiem o złotych frędzlach i haftowanym wzorze.

Znacznie później Kathy podawała mu do kolacji. Siedział sam w ciemnym kącie werandy, nie zwracając uwagi na turystów, ich głośne rozmowy i wybuchy śmiechu.

– Czy ta popołudniowa uroczystość to jedyna impreza dla uczczenia urodzin? – zapytał, kiedy przyniosła brandy, którą zamówił do kawy. – Czy po pracy ma pani zamiar wyjść na jakieś przyjęcie?

– Tu na wyspie nie ma gdzie pójść na przyjęcie – odpowiedziała nieśmiało, zastanawiając się czy... gdyby było gdzie, to czy on zaprosiłby ją na tańce? – Jeśli ktoś chce urządzić przyjęcie, to przychodzi tu, do gospody.

– Tak, właściwie to żadna zabawa w miejscu, gdzie się pracuje – potwierdził i uśmiechnął się cudownie.

– Och, nie zwracam na to uwagi – zapewniła go i odeszła do innego stolika. W czasie gdy obsługiwała gości, MacAllister skończył swój posiłek. Jego stół stał pusty.

Później, sama w swoim pokoju, przebrana w nocną koszulę i gotowa pójść spać, była niepokieszona. Osiemnaste urodziny powinny być czymś zupełnie innym, specjalnym, ale stały się inne, gdy on się zjawił. Teraz dochodziła północ i urodziny dobiegały końca. Czy tak miały się zakończyć? Czowała się jak samotna syrena na skale nad brzegiem morza.

Odruchowo sięgnęła do pudełka po szmaragdowo-złoty szal i udrapowała go na ramionach. Bajeczny! Wyszła z pokoju, starając się stawiać jak najciszej bose stopy. Na dworze było zimniej i szal stał się nie tylko ozdobą. Na opuszczonej plaży mięciutki piasek zatrzymał jeszcze nieco słonecznego żaru. Stała bez ruchu. Wiatr od morza igrał z jej nocną koszulą, rozwiewał włosy i targał szal.

Bajecznie! – pomyślała znowu. Gwiazdy świeciły jasno na niebie. Fale odbijały ich zimny blask. Czowała miękki jedwab na skórze. Bajecznie... I jeszcze trwał dzień jej urodzin. Jeszcze parę chwil.

– Nadal świętujesz? – Głos Reida MacAllistera rozległ się tuż za nią z prawej strony.

– Taaak... – Odwróciła się na widok jego wysokiej postaci, wkręcając palce

stóp w ciepły piasek. – Dopóki mogę.

– I dopóki ja mogę. – Zbliżył się, coś połyskiwało w jego dłoni. – To dla ciebie, wszystkiego dobrego.

– Dziękuję panu. – Wyciągnęła rękę, nie czując żadnego onieśmienia, żadnego strachu. – Przecież to część bajki – powiedziała do siebie cichutko. Poczowała dotknięcie chłodnego metalu w dłoni. – Co to jest? – zapytała, podnosząc w górę prezent. Ledwie dostrzegła złote ogniwa łańcuszka ozdobionego muszlą, konikiem morskim, mewą i rozgwiazdą. – To prześliczne – westchnęła. – Gdzie pan to odkrył?

– W mieście, w jednym ze sklepów.

– I kupił to pan dla mnie?

– Naturalnie. Czemu pani jest taka zdziwiona?

– Ale pan ledwo mnie zna!

– Czy to ma znaczenie? Osiemnaste urodziny to wyjątkowe święto dla każdej dziewczyny.

– Ale moje już i tak były wyjątkowe, ponieważ pan przyszedł.

Zacisnęła usta i odwróciła się w stronę morza. Czy nie była zbyt szczerą? Zmartwiła się. Przecież on powiedział „dla każdej”... Mężczyzna taki jak Reid MacAllister znał na pewno wiele kobiet. Nie było w nim nic chłopięcego, był dojrzały. Zapewne dawno już przestał zwracać uwagę na dziewczyny i na nią też naprawdę nie zwrócił uwagi. Był uprzejmy, stwierdziła i zacisnęła dłoń na złotym łańcuszku.

– Nie masz zamiaru założyć? – zapytał czarującym głosem.

Skinęła głową, zbyt spięta, by spojrzeć na niego. Musiała podnieść obie ręce, żeby przełożyć łańcuszek przez głowę. Wiatr targał szal, zanosilo się na to, że go porwie.

– Proszę pozwolić mi pomóc – powiedział nagle, stając przed nią i biorąc łańcuszek, kiedy ona chwyciła szal.

– Proszę. – Spojrzała na Reida zmieszana, kiedy przełożył łańcuszek przez jej głowę i umieścił na miejscu. Jeszcze nigdy nie była tak blisko żadnego mężczyzny. Łapała oddech, podczas kiedy on odgarniał jej włosy. Był **tak** blisko, że czuła jego zapach.

– Już – rzekł nieobecny tonem. – Zrobione. – Na moment musnął jej szyć. Mały, nie znaczący gest, ale dla niej zupełnie nowe doświadczenie. Zadrzała.

Spojrzał na nią z pytającym wyrazem srebrnych oczu.

– Zimno?

– Nie – wyszeptała wbrew przyspieszonemu biciu serca.

– Myślę, że powinniśmy już wracać do domu – powiedział wolno, lecz nie poruszył się z miejsca. Pochylił głowę. Chłodne i mocne usta dotknęły jej warg. Bardzo delikatnie.

– Wszystkiego dobrego – wyprostował się. – Może nie spotkam pani rankiem. Wyruszam razem z przyływem, bardzo wcześnie.

Serce w niej zamarło. Nie chciała, aby wyjeżdżał. Nie tak od razu. Zanim

naprawdę go poznała! Gdyby został trochę dłużej, miałaby okazję... Szansę!

– Czy mogę zabrać się z panem? – zapytała pośpiesznie.

– Pomogę panu i nie potrzebuję jechać daleko. Tylko do większej wyspy, każda będzie dobra. Może Curacao, a może Trynidad. Nie wiem, dokąd pan się wybiera dalej, ale to nie ma znaczenia.

– Nie ma? A co powiedzą pani rodzice? Czy to ucieczka z domu?

– To nie dom, a Paulette i Thom nie są moimi rodzicami, więc nie obejdzie ich to zbyt. Proszę! To doskonałe rozwiązanie! Oni z ulgą przyjmą mój wyjazd, a kto wie, kiedy będę miała kolejną okazję. Mieszkamy na końcu świata, rzadko kto tu dociera, a jeśli już, to nie chce brać nikogo na pokład... I ja nie popłynęłabym z byle kim. Ale panu mogę zaufać! Wiem o tym.

– Czyżby? – zapytał z lekką ironią w głosie. – Nie jestem pewien, czy pani powinna.

– Wiem, że powinnam. Nie ma żadnych wątpliwości. Ojciec pytał mnie zazwyczaj: „Kathy, moja ptaszyno, czy powinniśmy zadawać się z tymi ludźmi?” Robiliśmy tak, jak postanowiłam. Zawsze miałam rację. Rozumie pan? Zwiedziwszy tę część świata, dobrze poznałam się na ludziach. Nigdy się nie pomyliłam.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – zwrócił jej uwagę.

– Ale nie tym razem!

– A pani ojciec? Czy też chce jechać?

– Zmarł trzy lata temu. Od tamtej pory jestem z Paulette, ale teraz nadeszła pora, abym się usamodzielniała.

– Podejmowanie ryzyka samotnego życia jest wystawieniem się na ciężką próbę.

– Jeszcze jeden powód, aby zacząć z panem! – zawołała tak żarliwie, iż musiał się roześmiać.

– Pochlebia mi to – zauważył sucho – ale wolę wiedzieć, dlaczego chce pani wyjechać. To miła wysepka i sympatyczni ludzie, ma pani swoje miejsce...

– Ale to za mało – niemal zapłakała z bezsilności – tu nic się nie dzieje. Mieszkam w pokoju dla gości. Gdyby mnie tu nie było, Thom mógłby go wynająć. Nie jestem nikim bliskim dla Paulette i dla Thoma... Biedna Paulette! Kiedy zabrała mnie ze sobą, nie spodziewała się, że będę dla niej kulą u nogi do końca życia! Czy pan mnie rozumie?

– Raczej nie. Kiedy usłyszę więcej, zapewne zrozumiem.

Kathy opowiedziała spokojnie, unikając zbędnego zdenerwowania, swoje dotychczasowe życie. Wymieniła nazwy wszystkich wysp, jakie tylko zdołała zapamiętać z długiej tułaczki. Gdy napomknęła o śmierci ojca, odwróciła wzrok od Reida MacAllistera.

– Nie mam po co tu zostawać. Paulette jest szczęśliwa z Thomem. Bezpieczna jak nigdy przedtem. Musi pan zrozumieć, że nie chcę rujnować ich związku!

– Rozumiem. Ale dlaczego właśnie ja mam panią stąd zabrać? Mądrzej byłoby polecieć najbliższym samolotem.

- Ale na to trzeba mieć pieniądze, a ja mam za mało...
- Dostrzegła, co Reid chce powiedzieć, i szybko dodała:
- Nie mam zamiaru prosić Thoma!
- Nawet o pożyczkę?
- Nie. Przeze mnie nie może wynająć turystom pokoju. Przecież wydawał pieniądze dotychczas i na mnie, i na Paulette. Proszę... Będę pracować tak ciężko, jak mi pan każe. Mogę być pana załogą...
- Nie potrzebuję załogi.
- W takim razie mogę gotować. Jestem dobrą kucharką, będę panu gotować wspaniałe posiłki... Mogę sprzątać... Dobrze? – Ujęła w swoje dłonie jego rękę. – To dla mnie tak wiele, a dla pana tak mało!
- Nie jestem akurat tego pewien – zauważył obojętnie i delikatnie cofnął rękę. – Myślę, że jest pani znacznie bardziej samodzielna, niż pani przypuszcza.
- Ale...
- Muszę to przemyśleć. Mogą pojawić się trudności, których nie brała pani pod uwagę. Wstaję rano o piątej. Jak się pani nie rozmyśli, proszę zwrócić się do mnie rankiem.

Teraz leżała napięta i rozbudzona w pachnącej pościeli ciotki Margaret. Przymknęła oczy i wciągnęła w nozdrza zapach lawendy.

Rano zgodził się wziąć ją ze sobą, a nie powinien. Wszystko było straszną pomyłką. Największą pomyłką jej życia. Z pewnością Reid myślał tak samo.

Miał rację zwlekając wtedy z decyzją. I miał rację mówiąc, że będzie im trudno. Czuła gniew. Znów spotkać Reida po tym wszystkim, co jej zrobił! Zacisnęła dłonie. Ze względu na ciotkę Margaret będzie musiała spędzić tu jeszcze następny dzień, ale tylko ze względu na ciotkę, pomyślała sennie.

Rozdział 3

Ożywczy aromat kawy obudził Kathy. Jakaś rekompensata za prawie nie przespaną noc, powiedziała do siebie, pospiesznie wkładając dzinsy i koszulę, ubranie robocze. Związała włosy czerwoną wstążką i zeszła na dół do kuchni. Błogosławiła Emmę za to, że była rannym ptaszkiem.

Na progu stanęła jak wryta, gdy ujrzała Reida, siedzącego samotnie w kuchni.

– Wcześniej jesteś na nogach – zauważył obojętnym tonem. – Myślałem, że posiedzę jakiś czas sam.

– A ja myślałam, że zastanę tu Emmę.

– W takim razie, oboje jesteście rozczarowani. – Sięgnął do lodówki i wyciągnął miskę z jajkami i płat boczku. – Zjesz ze mną?

– Nie, dziękuję. – Nie ma sensu się wycofywać, pomyślała. – Nie bardzo mam ochotę na śniadanie.

– Nigdy nie miałaś – przypomniał z sardonycznym uśmiechem. – Ale poczęstuj się kawą.

– Wolałabym – zaczęła ostrożnie – abyś nie wspominał przeszłości...

– Wolałabyś? Dlaczego? Chcesz udawać, że nic się nie zdarzyło?

– Słuchaj, nie widzę żadnego sensu, żeby ludzie wiedzieli, że nas coś łączyło...

– Przecież moja ciotka i tak wie – powiedział z naciskiem.

– Tak, ale zapewniła mnie, że nikomu nie powie.

– Jak wobec tego wytłumaczyła twoje nagłe pojawienie się tutaj?

– Po prostu. Przedstawiła mnie jako swą przyjaciółkę od wielu lat.

– Czyli nasza skomplikowana przeszłość zostanie tajemnicą?

– Tak – szybko odparła Kathy. Pochyliła głowę nad filiżanką kawy. Skomplikowana przeszłość, co za trafne określenie. Niejasne i ukrywające bogactwo wszystkich uczuć, jakie ich łączyły. Łatwo ci tak mówić, pomyślała rozgoryczona. Zapach smażonego boczku wykrzywił jej twarz. Reid miał rację: śniadanie nie było posiłkiem, który lubiła. Wolała jeść później, w ciągu dnia. – Będę w bibliotece – oznajmiła.

– Tak szybko uciekasz? – zakpił. Była już w drzwiach i postanowiła nie odpowiadać.

Jeszcze będą okazje do zmierzenia się, poczekaj Reid. Ogarnęła ją zawziętość. Ciotka Margaret zapewniała, że w tym pokoju zgromadzona jest historia miasta. Na pewno są tu informacje dotyczące kościoła, jakieś zdjęcia i rysunki. Biblioteka istotnie została bogato wyposażona; był to spory, przytulny salonik, pełen książek.

Tutaj mogła się oderwać od przykrych myśli. Z dała od Reida. Nie będzie jej przeszkadzał dopóki nie skończy śniadania i nie załatwi sprawy z komendantem straży pożarnej. Cały ranek miała tylko dla siebie.

– Idziesz? – zapytał stanowczo Reid od progu.

– Już? – Tyle czasu nie mogło minąć, pomyślała Kathy podnosząc wzrok znad historii East Hawley. – Poczekam, aż porozmawiasz z szefem straży. Teraz nie

mam po co tam iść.

– Jest po co, jeśli wiesz cokolwiek o budowie kościołów – powiedział z nutą niecierpliwości w głosie. – Nie znam się na starych drewnianych budowlach. Potrzebuję twojej rady.

Coś nowego, pomyślała, zamykając książkę. Wstała niechętnie. Kiedy to, w przeszłości, Reid potrzebował jej rad?

– Dobrze – zgodziła się potulnie, choć miała ochotę na bunt. – Zrobię wszystko jak najlepiej.

– Dawno nie było między nami konfliktu. – Utkwił w niej przesywający wzrok. – Wiesz jak się zachować, obiecujesz, prawda?

– Oczywiście – uspokoiła go uprzejmie i zabrała z krzesła żakiet i notes. – Przecież to moja specjalność.

– Pamiętaj, obiecałaś – powiedział z naciskiem i wyszedł.

Dom ciotki Margaret, otoczony małym ogrodem, stał niemal naprzeciw spalonego kościoła. Wczoraj, idąc na inspekcję budowli, spieszyła się i nie rozglądała wokół. Teraz stanęła na granitowym schodku, zachwycona promieniami wstającego zimowego słońca i urodą krajobrazu. Cudowny zimowy poranek orzeźwił ją. Niebo było bezchmurne i ciemnobłękitne, powietrze mroźne a przy tym czyste i jasne. Bezlistne drzewa w ogrodzie silnie kontrastowały z ostrą bielą śniegu i kremowym kolorem nieco dalej położonych starych domów. Uroczy widok tworzył harmonijną całość, dopóki nie spojrzano się w stronę kościoła. Do tego momentu świat zapierał dech w piersiach swą absolutną doskonałością. Reid zawołał ją. To sprowadziło Kathy na ziemię.

– Idziesz, czy nie? Co się z tobą dzieje?

– Nic się nie dzieje. – Nie była zdolna głośno zaproponować. – Po prostu patrzę. Nigdy nie widziałam nic równie ślicznego.

– Popatrz na kościół. Zobacz, jak ślicznie wygląda.

– Zawsze jesteś taki niemiły?

– Słuchaj, chcę mieć to już za sobą.

– Cóż, uczucia są zmienne – mruknęła cichutko do siebie, pewna, że on nie usłyszy. Przechodził już przez ulicę oddzielającą dom ciotki od ogrodu. – W porządku, panie Słoneczny Nastroju, jak pan chce – dodała, patrząc na niego.

Dzień był tak piękny, że bez żalu zapomniała o gniewie i nadmiernej pewności siebie. Cóż, może posuwam się za daleko. Cieszył ją skrzypiący pod stopami śnieg. Gdzieś w głębi duszy tkwił ból i gniew na niego, za to co jej zrobił. Mimo to była dobrej myśli: nie pozwoli mu na zbliżenie, nigdy więcej nie będzie miał okazji zranić jej ponownie. Jeśli będzie stanowcza i nie skróci dystansu. Nic nie robi, jeśli ona go do tego nie zachęci, a na pewno będzie próbował!

Szła powoli, nie zwracając uwagi na Reida, stawiającego długie kroki tuż obok. Zamyśliła się; jego obecność w tym czystym świecie była nieporozumieniem.

Dokładnie oglądała budynek kościoła: niegdyś biały szkielet był teraz ciemnoszary, miejscami mocno okopcony, a gdzieniegdzie wyraźnie nadpalony. Kilka belek było złamanych. Okna zostały wyłamane, niektóre framugi nosiły

ślady ognia. Jedno ze skrzydeł drzwi wejściowych wisiało smętnie na samotnym zawiasie, pochylone pod ostrym kątem.

W czasie gdy badała stan kościoła, zdążyła zupełnie zapomnieć o obecności Reida. On tymczasem pograżony był w dyskusji z komendantem straży. Dopiero gdy skończyła oględziny z zewnątrz, dzięki czemu wiedziała już znacznie więcej niż poprzedniego dnia, uznała, że może podejść do rozmawiających mężczyzn.

– ... specjalnie w północno-wschodnim narożniku, wokół tego, co zostało z organów – mówił szef straży do Reida. – Tam zaczął się pożar i paliło się tam najdłużej i najmocniej. Przekona się pan, że właśnie w tym miejscu są największe zniszczenia. Na piętrze była klasa szkółki niedzielnej, tam też jest wyjątkowo niebezpiecznie. Niech pan to weźmie, na pewno się przyda. – Wręczył Reidowi dużą latarkę. Uczynił zapraszający gest ręką i weszli do środka.

Panował tam półmrok i przyjemnie pachniało drewnem. Ogień nie dotarł do tego miejsca: przedsionek nie był naruszony, chociaż ściany i sufit były osmalone. Na podłodze stały jeszcze zamrożone kałuże wody użytej do gaszenia.

– Ponuro – zauważył Reid sucho. Słowo odbiło się echem w ciemności. Ruszył do przodu. Kathy postępowała za nim.

Otworzyli podwójne drzwi na końcu środkowej nawy.

– Tutaj jest jeszcze gorzej. Myślisz, że warto to ratować?

– Tak – odpowiedziała spokojnie, mimo widoku zniszczeń, jaki ich otaczał.

Światło słoneczne wpadało do środka przez przeciwległy zupełnie zniszczony narożnik kościoła. Ławki nosiły znamiona stylu nowszego niż budynek. Kathy zanotowała to spostrzeżenie. Równy szereg ław silnie kontrastował z prawie zupełnie zniszczonym wnętrzem. Większa część dachu zwała się na strop, który również runął. Belki konstrukcji poddasza widać było bardzo wyraźnie na tle jasnego nieba. Resztki spalonego ołtarza oświetlały nieliczne szybki witraża, który rozsypał się pod wpływem wysokiej temperatury. Podłoga była dosłownie zawałona popalonymi resztkami stropu i konstrukcji dachowej, a wszystko pokrywała warstwa sadzy i popiołu. Pulpit służący do wygłaszania kazań był zdruzgotany.

– To dosyć, abyś uwierzyła w Boży gniew – odezwał się Reid. – Gdybym był ojcem Gardinerem, bałbym się wygłosić kolejne kazanie.

– Ale chrzcic można bezpiecznie. – Kathy udzielił się czarny humor Reida. Wskazała ocalałą chrzcielnicę, stojącą nie opodal wśród zgliszczy.

– Nie, teraz nie – powiedział, kiedy chciała wejść dalej. Jego ręka zacisnęła się na jej nadgarstku. Pociągnął ją do tyłu. – Zanim zacniemy badać to, co jest dalej, musimy sprawdzić, co jest nad nami.

– Wygląda bezpiecznie.

– Zobaczymy.

Kathy próbowała uwolnić rękę. Zacisnął uścisk.

– Nad nami stoi wieża.

– Ogień jej nie ruszył.

– Jesteś pewna? Ogień mógł naruszyć konstrukcję. Dzwon sporo waży, tak jak i

zegar. Jest ryzyko, że wieża się zawali. Może nie, ale trzeba być ostrożnym.

– W porządku. – Skinęła głową. Czekala, aż puści jej dłoń i zastanawiała się, dlaczego tego **nie robi**. – Przepraszam – dodała w końcu.

– Pamiętaj, powinnaś być... chociaż dlaczego ja mam się troszczyć o ciebie, żeby nic ci się nie stało? – Uśmiechnął się uwodzicielsko i puścił jej palec. – Jak możemy się dostać do wieży? – zapytał.

– Powinny być schody – odrzekła, pocierając przegub. Usiłowała wymazać przedłużającą się pamięć jego dotyku.

Zadowolona, że ma wymówkę, aby odsunąć się od niego, zaczęła dokładnie oglądać konstrukcję północnej strony kruchty.

– Tutaj, chyba mam! – zawołała, kiedy odnalazła zasuwkę ukrytą pod grubą warstwą sadzy. Otworzyła drzwi, Reid zaświecił do środka. – Tak – westchnęła, kiedy ujrzała wąskie kręte schody – są oryginalne.

– Skąd wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– One po prostu wyglądają właściwie: strome, środkowy filar bardzo prosty, bez ozdób... To jest charakterystyczne. Gospodyni wie, kiedy ciasto jest gotowe, to po prostu się wie i już.

– Oszczędź mnie. – Ton, jakim to powiedział, zabolął Kathy. – Czy twoje wnioski są zawsze takie niejasne?

– Nie – obruszyła się. – Mogą być bardzo precyzyjne, ale praca konserwatora to nie praca inżyniera budowlanego. Wiele jest do pozostawienia intuicji i domysłu. Osąd opiera się na doświadczeniu.

– Którego masz bardzo dużo – zadrwił.

– W pewnych dziedzinach mam całkiem sporo!

– A stare kościoły są twoją specjalnością. Niewiarygodnie się składa, prawda? Okazja spadła z nieba, razem przyjechaliśmy do mojej ciotki.

– Nie potrzebowałam okazji! Zawsze utrzymywałyśmy bliskie kontakty – odcięła się zirytowana Kathy.

– Trudno w to uwierzyć, zwłaszcza że nigdy nie wspominała o tobie.

– Sama ją o to prosiłam!

– Dlaczego? Nie chciałaś, żebym wiedział, co się z tobą dzieje? Grałaś ducha?

– Nie chciałam, abys wiedział cokolwiek o mnie i nie obchodziło mnie, co się z tobą dzieje! Ciotka Margaret to rozumiała. Nikogo nie grałam!

– Nie? – Oparł się o ścianę bezwładnie w bezceremonialnej pozie. – Ona nie ma żadnych prawdziwych pieniędzy. Wiem o tym, wydała przez wszystkie lata cały kapitał. Prawie nic nie zostało.

– Dlaczego miałabym... ? – Oburzyło ją to posądzenie. – Jak możesz w ogóle myśleć, że zależy mi na jej pieniądzech?

– Zawsze byłaś wygodna.

– Wredne kłamstwo, wiesz o tym!

– Przysięga w kościele? – Potrząsnął głową kpiarsko. – Co pomyśleliby o tym dobrzy ludzie z East Hawley?

– Guzik mnie obchodzi, co oni albo ty pomyślicie! Jestem tu, a ty robisz sobie zabawę, obrażając mnie... Ale mnie to nie bawi!

W panującym mroku zaczęła iść obok niego ku schodom.

– Ja pójdę pierwszy, a ty weź latarkę.

Podążyła za nim i niemal wpadła na niego, kiedy nagle bez uprzedzenia zatrzymał się u szczytu schodów.

– To chyba jest balkon...

– Galeria – poprawiła go ostro, zadowolona z okazji odegrania się. – Pierwotnie były tu galerie biegnące po obu stronach nad nawami bocznymi i jedna w środku. To normalne odnaleźć boczne galerie zamknięte na składziki lub klasy i jedną otwartą dla chóru.

– Mamy to przed sobą. Wygląda na to, że ty naprawdę znasz się na architekturze – powiedział łagodnie Reid. Zrobił tym Kathy przyjemność.

– Staram się – odrzekła szybko i rozejrzała się. – Wejdiesz?

– Dobrze. – Zrobił ostrożny krok do przodu. – Nie ma tu żadnego śladu ognia – oznajmił i odsunął się, aby mogła dołączyć do niego. – Czy jest sposób, żeby dostać się na wieżę?

– Na zewnętrznej ścianie powinna być drabina i drzwi z klapą. Jeśli chcesz tam iść, to idź sam. Nie lubię drabin i wysokości.

– Doprawdy? Boisz się? Ty?

– Nie sprawia mi to przyjemności – poprawiła ostrożnie. – Niczego naprawdę się nie boję.

Co za kłamstwo! – pomyślała, kiedy zaczął wspinać się po drabinie. Wreszcie znikł w ciemności. Podeszła do balustrady, patrząc niewidzącym wzrokiem na zrujnowaną nawę w dole. Kiedyś mogła powiedzieć mu to i uwierzyć w swoje słowa. Jednak po tym, co jej Reid zrobił, po tym co przeszła, wszystko się zmieniło. Teraz wiedziała lepiej, po mniej niż godzinie spędzonej z Reidem w kościele: bała się go.

Miał w sobie coś władczego, nie znoszącego sprzeciwu. Nadal był atrakcyjny, nie próbowała zaprzeczyć! Ale w jakiś bardziej dojrzały sposób. Osiem lat zmieniło ich oboje. Jednak to nie fizyczna atrakcyjność przestraszyła ją, raczej sposób, w jaki ją traktował; błyskawiczne zmiany jego nastroju. Trudno było znieść jego wrogość, zwłaszcza że nie było absolutnie żadnego powodu do wrogości.

Przecież wyjechała bez niepotrzebnego zamieszania, czyż nie? O nic nie pytała, nie prosiła, nie nalegała... po prostu po cichu usunęła się z jego życia. To ona była stroną zranioną. On nie miał powodów do gniewu. Przecież jej wyjazd nie mógł być dla niego policzkiem!

Powinna była to zrobić, zapewniała się z rosnącą rezygnacją i wzbierającym oburzeniem. Nie mogła znieść jego gniewu, a jeszcze bardziej nielicznych przeblysków czegoś innego... Czegoś ledwie uchwytnego... jak scena na schodach, kiedy zaczął odnosić się do niej z szacunkiem. Nie ufała ani jemu, ani sobie w tym momencie, tak nie powinny układać się sprawy między nimi. Ani kiedyś, ani

teraz...

– Nie ma śladu ognia na górze, konstrukcja jest mocna i nie naruszona.

Na dźwięk jego głosu Kathy musiała skoncentrować się i zmusić do spojrzenia na niego.

– Nie ma zagrożenia?

– Nie ma. Powinniśmy sprawdzić te dwie... jak je nazwałaś? Galerie? – Odszedł, świecąc latarką, poszukać drzwi.

– Tutaj jest chyba jakaś rupieciarnia.

– Naprawdę? – Kathy poczuła szybsze uderzenia serca.

– Pozwól mi zobaczyć.

Skierował snop światła latarki przez drzwi w długą wąską czeluść.

– Pełno kurzu i sadzy – zauważył, kiedy Kathy prześliznęła się obok niego, aby sprawdzić to, co było najbliżej.

– Ławki – westchnęła i przesunęła rękoma po blacie jednej, a potem następnej.

– Patrz! Zaświeć tutaj... widzisz? – Przetarła rękawem mały owal, usuwając w ten sposób warstwę zabrudzeń. – Tak! Numer...

– Trzydzieści dwa – odszyfrował Reid za nią. – Czy to ważne?

– Jasne, że ważne. To znaczy, że tutaj schowano oryginalne ławki z pierwotnego wystroju kościoła. One były numerowane, kiedyś, dawno temu. Ludzie płacili za swoje miejsca, to była osobista własność. Fantastycznie!

Zagłębiła się jeszcze bardziej w składzik. Należało ostrożnie przeciskać się między zabrudzonymi kurzem i sadzą stertami przedmiotów, ale Kathy cieszyła się z odkrycia.

– To prawie nigdy się nie zdarza, ale ja wierzyłam, że je tu znajdziemy. Ach, Reid! Spójrz! Tu stoi palladiańskie okno, prawdopodobnie znad ołtarza, gdzie teraz są resztki witraży.

– Niewiele z nich zostało, fakt.

– Dzięki Bogu! Witraże w ogóle nie pasują do tego typu kościołów. Skoro zostały zniszczone, można wykorzystać to okno do rekonstrukcji pierwotnego wyglądu kościoła.

– Jeżeli będzie renowacja – zauważył sceptycznie Reid. – Część parafian chce wyburzyć ten kościół i postawić nowy.

– Tak, ale mam nadzieję, że zmienię ich zapatrywania. Nierozsądnie byłoby stracić tak wspaniały obiekt, chyba że parafia nie stać na odbudowę i woli postawić coś nowego. A jeśli tak, to nie mam prawa zmieniać ich decyzji.

– Nie masz prawa? – zapytał ironicznie. – Nie mów mi, że przyswoiłaś sobie jakieś zasady.

– Przyswoiłam – zdążyła powiedzieć, zanim gniew chwycił ją za gardło. Odwróciła się od blasku latarki i wciągnęła głęboko powietrze, żeby ochłonać. – Gdybyś rozumiał mnie tak dobrze, jak sądziłam, wiedziałbyś, że zawsze miałam zasady. Nic się nie zmieniło!

– Oczywiście, że nie – zgodził się gładko, ale bez przekonania. Napięcie między nimi znów wzrosło. – Nic się nie zmieniło!

Pracowali teraz bez zbędnych słów. Wymieniali tylko krótkie fachowe uwagi. Reid sprawdzał jakość konstrukcji i uszkodzenia spowodowane przez pożar. Ona zaś zapisywała co ciekawsze spostrzeżenia do notesu.

Wreszcie, w galerii po przeciwnej stronie, zatrzymali się obok drzwi ostatniej z trzech małych sal szkółki niedzielnej.

– Wiemy, że zniszczenia dokonane przez ogień zostały poczynione z dala od tego miejsca, ale lepiej sami się przekonajmy.

Otworzył drzwi. Oślepił ich jasny blask słońca. Przeszli przez próg.

– Mało zostało – skonstatował.

– Ale przynajmniej spójrzmy na to, co zostało – nalegała.

Stanęli obok siebie, mieli dokonać przeglądu najbardziej zniszczonego fragmentu budynku. Zewnętrzna ściana prawie nie istniała, dach zawalił się. Zostały nieregularne ułamki podłogi, nierówne wsporniki i kilka krokwi powyżej, ale bez jętek.

– Tutaj nie ma nic do uratowania – zdecydował zrezygnowany Reid, robiąc bezradny gest dłońmi.

– Ale mogę zobaczyć, jaka jest konstrukcja dachu. Spójrz na te piękne krokwie.

– Zadarła głowę zachwycona i postąpiła ostrożnie do przodu. – Dziwne, że ogień ich nie powalił!

Wielkie przęsła, prawie na pół metra grube, przetrwały dzięki specjalnemu profilowaniu. Bardzo osmalone rysowały się na tle nieba czystymi liniami i kątami...

– W nich jest coś innego – westchnęła i postąpiła naprzód, wyciągając szyję, aby zobaczyć więcej. – One są...

Usłyszała rumor, odgłos pękania i poczuła, jakby świat zawirował lekko. Straciła orientację.

– Kath, nie! – To był głos Reida, szorstki i niecierpliwy. Powoli zaczęła wracać, żeby zobaczyć, co się dzieje, i nagle została złapana za prawe ramię. Zabolało ją. – Na miłość boską! – zawołał Reid, kiedy zderzyła się z nim. Uderzenie o jego twarde ciało pozbawiło ją tchu. Zaklął, a ona straciła oparcie pod stopami. Rzucił ją przez drzwi w mrok. – Głupia! Dlaczego nie pomyślałaś?

– Nie pomyślałam... – łapała dech, lewą ręką odpychając bezskutecznie jego pierś – o czym?

– O mało co wszystko by się zawaliło – wyjaśnił, a brzmiało to tak, jakby i jemu brakowało powietrza. – Gdybym cienie złapał...

Aha, to się stało, pomyślała już przytomniej, kiedy zwolnił uścisk i mogła zaczerpnąć powietrza. Nie rozumiała, dlaczego trzyma ją nadal w ramionach i dlaczego ona mu na to pozwala. I dlaczego jej ręka jest nadal na jego piersi i czuje gwałtowne bicie jego serca?

– Reid – wyszeptała. Oczy miała rozszerzone. – My...

– Nie – wymamrotał głosem głębszym niż zazwyczaj i nieco bardziej szorstkim.

– Nie mów tego.

– Czego? – zapytała, ale było jej zbyt ciężko skupić się na czymś innym oprócz

uderzeń jego serca i na tym, że jej własne ciało było wiotkie i bezwładne. Czowała jego siłę i spalające ją ciepło. To było szaleństwo! Czowała jego zapach, pamiętała, jak ją kiedyś całował. – Reid... Nie powinniśmy...

– Wiem – przyznał, ale jej nie puścił i wiedziała, że jest zgubiona. Oboje byli zgubieni, uświadomiła sobie, kiedy jego dłonie gładziły jej plecy. Przyciągnął ją delikatnie. Pochylił głowę. Ustami musnął jej wargi. I jeszcze raz, pragnąc więcej, ale ona także tego pragnęła. Tego właśnie pragnęła, tego potrzebowała... jego pocałunków i jego dotyku.

– Tak – wyszeptała i sięgnęła, aby objąć jego szyję. Z jej piersi wyrwał się okrzyk bólu.

– Twoje ramię? – zapytał pospiesznie. – Boli?

– Trochę – powiedziała, jak tylko ją uwolnił. Dotknęła prawego ramienia lewą ręką.

– Przepraszam. – Znow miał chłodny uśmiech.

– W porządku – przerwała i dodała równie chłodnym tonem: – Po prostu co było a nie jest...

– Ciągłe jeszcze? – zaczął ostrzegawczo. – Nie możemy unikać prawdy, że przynajmniej jedno nie zmieniło się między nami.

Tak, parę rzeczy się nie zmieniło, pogodziła się z tym parę minut później, gdy stała sama w blasku słońca. Reid rozmawiał z komendantem straży. Fizyczny pociąg, który zawsze ich łączył, pozostał. Nie rozpoznała tego na początku i w swojej naiwności brała to za miłość. Teraz już wiedziała, miała doświadczenie. Gdy Reid uratował ją w kościele, ciało zdradziło ją na moment, ale nic więcej! To, co się wydarzyło, nie miało znaczenia.

– Idziesz? – Nie czekając na odpowiedź ruszył w stronę domu. Chyba też nie był szczęśliwy z powodu tego, co się stało. Nie goniła go. Na pewno doznał szoku, pomyślała z gorzkim humorem. Jego twarz nie zdradzała żadnej bladości, był mocno opalony. Nie podobało mu się, że nadal jest atrakcyjny dla dziewczyny, którą odrzucił wiele lat temu... Nie było tak źle! Ale jeśli roi mu się, że mi się to bardziej podobało niż jemu, to się myli!

Ociągała się, idąc za nim i nawet odczuła satysfakcję, kiedy zobaczyła, że czeka na nią po drugiej stronie ulicy.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym wejść do środka bez ciebie.

– A dlaczego nie?

– Chciałbym wiedzieć na pewno, że pamiętasz o kontrolowaniu emocji.

– Ja potrafię, a ty?

– W porządku. Kontrolujmy więc nasze uczucia. Lepiej?

– Jasne!

– W tej chwili myślę tylko o ciotce, wiesz, jak denerwują ją nasze wzajemne stosunki.

Na progu powitała ich Emma.

– Ona jest w kościele, metodyści ich przyjęli.

– Nie wiedziałam, może też powinnam tam pójść – rzekła Kathy.

– Nie ma powodu, pani dusza dziś nie jest w niebezpieczeństwie. Oni już się za panią modlą, i za pana Reida też. Jesteście ich nadzieją – wyjaśniła Emma. Po czym zawiła tłumaczyła, jak i dlaczego wierzy w Boga. Wynikało z tego, że sama sobie jest kapłanem. – Ale zapomniałam – przerwała swe rozważania. – Ma pani zadzwonić jak najspieszniej do Luce.

– Luce? – zdumiał się Reid. – Wielbiciel?

– Młoda dama – poprawiła Emma – z dziwnym akcentem.

– Ona jest z Teksasu – wyjaśniła obojętnie Kathy. – Gdzie macie telefon?

– W holu – pokazała Emma, dając Kathy pretekst do opuszczenia Reida.

– Malcolm dzwonił. Wczoraj w nocy tuż przed dziesiątą, co odzwierciedla jego opinię o twoim życiu towarzyskim. Powiedziałam, że nie wiem, gdzie jesteś.

– Dlaczego?! – krzyknęła Kathy.

– Aby mu pokazać jego właściwe miejsce. Musi zrozumieć, że dla ciebie istnieje też coś oprócz pracy.

– Chciał czegoś?

– Ciebie naturalnie – odpowiedziała Luce z sarkazmem. – I żebyś sprawdziła dla niego parę rzeczy. Powiedziałam, że chyba niewiele mu pomożesz, ale że zostawię wiadomość, jak będziemy w kontakcie.

– Zostawił numer telefonu? – Malcolm dał Kathy telefon, ale zostawiła go w domu.

– Zostawił – przyznała Luce. – Ale nie musisz dzwonić! Dałam ci pierwszorzędne usprawiedliwienie!

– Jednak mam zamiar – Kathy niemal krzyknęła, zła nie na Luce, ale na siebie. Zapomnieć o Malcolmie to było coś osobliwego, coś, co nie zdarzyło się nigdy przedtem.

Rozdział 4

To вина Reida, stwierdziła Kathy i wykręciła numer Malcolma. Spotkanie z Reidem i konieczność konfrontacji z nim wyrzuciła jej z głowy wszystkie inne sprawy. Nie reagowała normalnie, ale rozmowa z Malcolmem powinna przywrócić jej równowagę! Malcolm był całkowitym przeciwieństwem Reida. Spokojny, dokładny, rozważny, unikał skrajności. Rzadko się śmiał, ale też rzadko wpadał w gniew. Naturalnie zdarzały się chwile, kiedy trudno mu było ukryć irytację... I tak właśnie stało się teraz. Kathy zrozumiała to natychmiast, gdy tylko usłyszała jego głos w słuchawce.

– Malcolm, strasznie mi przykro – wtrąciła natychmiast. – Luce powinna...

– Gdzie jesteś?

– W Vermont. W miejscowości East Hawley, mniejsza o nazwę, nic ci nie powie, to bardzo małe miasteczko. – Co ja plotę, pomyślała, on nie lubi łatwej gadki. – Rzecz w tym, że wczoraj spłonął tutaj kościół. Nie, przedwczoraj, musiałeś czytać w gazetach. – Nieświadomie powtarzała słowa ciotki Margaret. – Na pierwszych stronach... dali zdjęcia...

– *New York Times* – wtrącił Malcolm – wątpię.

– Chyba masz rację...

– Od razu skontaktowali się z firmą? Parafianie proszą o konsultację?

– Niezupełnie – przyznała Kathy niezręcznie. – To ma charakter nieformalny. Widzisz, jedna z parafianek jest moją starą przyjaciółką...

– Przyjaciółką? – Malcolm był ubawiony. – Ile razy ci tłumaczyłem, że przyjaźń i interesy nie pasują do siebie? Świetne zlecenia upadały, kiedy prośba wychodziła od przyjaciela. Zakładam, że twoja przyjaciółka jest kimś mi nie znanym?

– Och, nie, wcale.

– W takim razie to co innego. Obawiam się mimo to, że firma nie weźmie tego zlecenia.

– Ale ja już zaczęłam, Malcolm. – Zawahała się, zbierając myśli, co robić. Odwołać się do naukowych pasji Malcolma? – Słuchaj, to może być znaczący kościół. Myślę, że...

– Kathy – przerwał Malcolm ostro – nie ma znaczenia, co ty myślisz i nie ma znaczenia, co to za kościół. Firma nie prowadzi interesów ze znajomymi i przyjaciółmi. Nie bierzemy się za to.

– Ale ja już to wzięłam. To nie jest interes firmy, tylko mój prywatny.

– To jest to samo. Reprezentujesz firmę.

– Nie. Nie tym razem – nalegała. – Malcolm, ja już właściwie zrobiłam wstępne prace...

– To znaczy, co dokładnie?

– Właśnie obejrzałam kościół. Zobaczyłam, co tam jest. Wyciągnęłam parę wniosków... Dziś wieczorem...

– Kathy – przerwał niecierpliwie – jak długo masz zamiar tam siedzieć?

– Tylko parę dni. Może nawet już jutro będę mogła wyjechać...

– Uff! Obawiałem się, że to potrwa i nie wiem co bym wtedy zrobił. Kathy, jesteś mi naprawdę niezbędna. Nie mam pojęcia jak bym pociągnął bez ciebie, kochanie...

– Och... – Ta deklaracja wystarczyła, aby zaniemówić.

Mniejsza o to, na ile Malcolm naprawdę jej potrzebował.

Z rzadka przyznawał się do tego. Jeszcze rzadziej zwracał się do niej „kochanie”. To wyrażenie było zarezerwowane dla intymnych momentów, które czasami zdarzały się między nimi. To nie był zwrot, którym Malcolm szafował lekko i do tego przez telefon!

– Dziękuję, Malcolm – opanowała się. – To szalenie miłe...

– To prawda – rzekł stanowczo. – Z pewnością wiesz, jak ja się teraz czuję.

– Cóż, tak sądzę, że... To jest po prostu...

– No więc, nie angażuj się zanadto w sprawę tego kościoła lub... przyjaciela – dodał znacząco. – Jeśli nie wrócisz do jutra, mogę stać się o niego trochę zazdrosny.

– Co takiego? Och, Malcolm! – Kathy stłumiła chichot domyśliwszy się, że to było coś więcej niż delikatne, kurtuazyjne żarty, jakich spodziewała się po Malcolmie. Gra, w którą nieraz się bawili. – Nie masz potrzeby się martwić – przyrzekła mu, a śmiech dodał rumieńców jej słowom.

– Ten mój „przyjaciel” to bardzo kochana i bardzo leciwa dama, nie masz powodów do zazdrości!

– Dobrze. Miło mi to słyszeć. Teraz posłuchaj – przerwał, potem mówił nieco szybciej: – Mam zamiar posiedzieć tu co najmniej dwa tygodnie, to jest olbrzymi projekt, bardziej skomplikowany niż mogliśmy przypuszczać, ale mogę na krótko wrócić do Providence, we wtorek lub środę... Po prostu chcę wiedzieć, czy dotrzymasz słowa.

– Ależ dotrzymam – zapewniła szybko. – Nie martw się.

– Jeszcze jedno. Mogę spędzić z tobą trochę czasu w biurze, a potem wybierzemy się na wczesny obiad. Co ty na to?

– Fantastycznie. Będę czekała.

– Na obiad? Czy na mnie?

– Na ciebie oczywiście – odpowiedziała błyskawicznie.

– Świetnie! To na razie. Do wtorku lub środy, kochanie.

Dwa razy „kochanie” w ciągu jednej rozmowy! Była zachwycona. To było znacznie więcej niż miała prawo oczekiwać, jeżeli nie... Ale może on rzeczywiście uważał, że ma powód do zmartwienia. Poza tym po raz pierwszy w ciągu sześciu lat wyjechała bez uprzedzenia. Nawet nie próbowała się z nim skontaktować... Całkowicie nieoczekiwany i bezprecedensowy wybuch niezależności na pewno go zaskoczył.

– Tak. Do zobaczenia, Malcolm – powiedziała nadal uśmiechnięta. – I dziękuję!

– Nie ma za co, kochanie – odwzajemnił się szarmancko i zakończył rozmowę.

Kochanie, pomyślała Kathy, głupio kołysząc martwą słuchawką. Trzy razy „kochanie”... Niewiarygodne!

– Malcolm? – zapytał z tyłu Reid, nieco rozbawionym głosem. – Masz się spotkać z jakimś Malcolmem?

– Podśluchiwałeś?! – Odwróciła się gwałtownie. Stał oparty niedbale o framugę drzwi z filiżanką kawy w dłoni. – Nie miałeś prawa!

Wzruszył ramionami.

– Przecież nie zrobiłem tego naumyślnie. Szedłem do pokoju i nie przyszło mi do głowy, że gdy przystanę tutaj, to usłyszę coś, czego nie powinienem.

– Ale zatrzymałeś się i słuchałeś!

– Trudno było nie słyszeć. – Uśmiechał cię kąpiąco. – Rozumiem, że ów Malcolm wypełnia potrzebę romansu w twoim życiu.

– Jest moim szefem – warknęła Kathy i natychmiast pożałowała swej reakcji.

– I dlatego nie pozwala ci nigdy skończyć zdania?

– Pozwala – podkreśliła, ale unikała spojrzenia Reida.

– Dziś nie pozwalał. A może tylko udajesz przed nim uległą kobietkę?

– Wcale tak nie jest – syknęła z błyskiem w oku. – Nie rozumiesz tego.

– To chyba raczej Malcolm nie rozumiał – przemądrzale zauważył Reid, upiwszy łyk kawy. Obserwował ją w zamyśleniu znad brzegu filiżanki. – Co więcej, uważam, że specjalnie pozwalasz żywić Malcolmowi przekonanie o swojej uległości wobec niego. To twój szef, główna nadzieja. Wyobraź się sobie jako współwłaścicielka firmy renowacyjnej...

– Nie muszę na to odpowiadać!

– Nie musisz. Odpowiedź jest oczywista – rozżłościł się po raz pierwszy, jego słowa cięły. – Kathy, jesteś cudowna, niepohamowana, ale czy przynajmniej nie masz wyrzutów sumienia?

– Nie muszę – odparła spokojnie i pewnie spojrzała mu w oczy. Cokolwiek robił obecnie, aby uzasadnić swoje zachowanie, ona nie była niczemu winna. – Nie wiem, o czym myślisz...

– O nie dokończonych sprawach, o tych wszystkich kłopotliwych detalach, o tym, czego unikałaś przez lata.

– Ty też unikałaś. Co za różnica?

– Naprawdę sądzisz, że jesteś w porządku wobec Malcolma?

– Jestem czy nie, to nie twoja sprawa!

– Myślisz, że nie? – Podszedł do niej. Jak ryś albo pantera, pomyślała Kathy zaniepokojona. Postawił filiżankę obok telefonu, a kiedy to zrobił, pochylając się obok, drgnęła. Wdarł się zbyt blisko! – Niektórzy ludzie mogliby mieć na ten temat inne zdanie. – Nadal był zbyt blisko. Drażnił ją. Mówił cicho i dobitnie, twardym tonem: – Mogliby sądzić, że to nie była niczyja sprawa, a tylko i wyłącznie moja... Jak myślisz, co Malcolm mógłby o tym powiedzieć?

– Ja... – zaczęła, ale zaschło jej w gardle z wrażenia. – Nie obchodzi mnie to – wykrztusiła i nagle zobaczyła niegodziwy blask w jego srebrnych oczach, chyba powiedziała coś niedobrego.

– Kathy, wiem, że cię to nie obchodzi, ale Malcolma mogłoby obchodzić. Co pomyślałaby o zdarzeniu w kościele?

– Nic się nie stało!

– Nic? – Był zimny. – Tanio się sprzedajesz. Moja odpowiedź była czymś więcej niż niczym... zresztą twoja też.

– Ale to nic nie znaczy. – Walczyła z rodzącą się paniką. Przysuwał się coraz bliżej, za bardzo. Zmusił ją do oparcia się o stolik. Była pokonana, po prostu pokonana przez instynkt.

– Racja – zgodził się, ich twarze dzieliły teraz centymetry, jego oddech burzył jej włosy. – Trudno walczyć z potężną siłą...

– Reid, nie... – protestowała słabo, ale było już za późno. I dla niej i dla niego. Położył usta na jej wargach.

To, co nimi kierowało, nie miało sensu. Nienawidzili się przecież wzajemnie. Skąd zatem taka intymność? Instynkt! Tylko i wyłącznie... Wszystko przez jej bezmyślną potrzebę oporu. Znała to już z przeszłości... Była rozpalona, ciało płonęło przeszywane najśłodszymi dreszczami. Jak tyle lat temu. .. Broniła się bez powodzenia, przekonując siebie, że to nie ma znaczenia. Ale miało! Znalazła to, czego pragnęła uniknąć za wszelką cenę...

– Niech cię diabli wezmą! – krzyknęła i wyrwała się spod tyranii pokusy, wyslizgując się bokiem. Podbiegła do schodów na bezpieczną odległość od niego, byle dalej. – Nigdy ci tego nie wybaczę!

– Wybaczyć mi? – Jego głos nie niósł już niczego poza śladem rozbawienia. – A może sobie? Nie zapominaj, to wymaga dwojga, a ty chcesz, nawet bardzo... – Uśmiechał się przewrotnie. – To co jest między nami, zawsze będzie istniało... Zawsze...

Uciekła, ale usłyszała wszystko, chciała zapomnieć, ale nie mogła. Nie zapomni.

Zawsze było tak samo, myślała rozżalona, łączył ich tylko instynkt. Zrozumiała to dopiero na pokładzie jachtu, kiedy znaleźli się tam we dwoje. Nawet wtedy jednak usiłowała wytłumaczyć inaczej to, co się zdarzyło.

Byli na małym jachcie, najmniejszym, jaki Kathy kiedykolwiek widziała. Dwie malutkie kabiny, jedna pełniąca funkcje salonu i druga jeszcze mniejsza. Reid spał na koi w saloniku, jej przydzielił mniejsze pomieszczenie.

Jak długo potrwa rejs, zastanawiała się Kathy, schodząc pod pokład, kiedy zostawili wyspę za sobą i znikła nawet ciemna smuga po niej na horyzoncie. Curacao i Aruba znajdowały się najbliżej, ale być może MacAllister wybrał inny kierunek. Nie miała pojęcia, jaki obrał kurs, nie chciała zadawać pytań, było jej wszystko jedno. Wystarczała świadomość, że znalazła drogę ucieczki z wyspy. Teraz stała przed wielkim wyzwaniem: od tej pory może liczyć tylko na siebie.

Uświadomiła sobie, że popełniła błąd, nie zastanawiając się wcześniej nad swoją przyszłością. Przecież powinna!

Ma na to kilka dni, zdecydowała, przecież podróż nie potrwa dłużej. Parę dni...

a więc czy warto wyjmować rzeczy? Rozpakowała jeden worek z ubraniami. Spodenki, koszulki, przybory toaletowe, piżama... Ręce bezwiednie układały ekwipunek, przypomniała sobie poprzednią noc, sposób, w jaki opasał jej szyję złotym łańcuszkiem. Bliskość Reida i co czuła będąc tak blisko...

Odegnęła wspomnienia skupiwszy się na rzeczach. Co jeszcze? Aha, bielizna. I jasnozielone bikini. Czy powinna? Raczej tak, powinna przebrać się zaraz. Mimo wczesnej pory było już gorąco. A poza tym, kto by tam zwracał uwagę na zwykłe bikini!

Gdy pojawiła się na pokładzie, Reid przywitał ją słowami:

– Jeśli masz zamiar to dzisiaj nosić, włóż coś jeszcze. Słońce świeci zbyt mocno.

Jednak zwrócił uwagę! Lustrował ją skupionym spojrzeniem zza ciemnych przeciwsłonecznych okularów.

– Nie muszę. Mam szczęście, że nigdy się nie spiekam na słońcu... – Podeszła do kokpitu, żeby zerknąć na przyrządy nawigacyjne. Stała obok Reida. – I tak jestem już maksymalnie spalona – dodała, żeby zatrzeć poprzednią szorstką odpowiedź. Spoglądała na jego ciemnobrązową opaleniznę i porównywała ze swoją miodowo-złotą skórą. Reid, smukły i muskularny, podobał jej się bardzo.

Odwróciła wzrok i udawała, że przygląda się morzu, i nagle niespodziewanie dla samej siebie zapytała:

– Czy napije się pan kawy?

– Oczywiście. – Ledwo usłyszała odpowiedź, ale tknęło ją przecucie, że domyślił się, o czym pomyślała przed chwilą.

Nie bądź głupia, napominała się. Między wami nic nie ma... i nic nie będzie. To po prostu przyjaciel. Nawet i to nie jest pewne. Jasne, że chce pomóc i nic więcej. Jest dużo starszy, na miłość boską! Wszystko przez to, że jest tak bardzo atrakcyjny, podoba ci się, ale to nie znaczy, że coś może się wydarzyć! Przy nim jesteś dzieckiem. Co ci się roi, ledwie na ciebie spojrzał...

Kawę robiła znacznie dłużej niż normalnie, ale Reid zdawał się nie mieć o to pretensji. Cały dzień go obserwowała, chłonąc nienasycenie każdy szczegół jego ciała: szerokość ramion, grę mięśni podczas ruchu... Przyglądała się paradoksalnej oszczędności a zarazem gracji poruszeń, śledziła szybką zmianę rysów twarzy, gdy się uśmiechał.

Pierwszą długą nocną wachtę wziął oczywiście Reid. Kiedy już miał schodzić, zawołał:

– Kawy?!

Dołączyła do niego w ciemności. Kiwnęła głową zmieszana, gdy zamieniali się miejscami, a on przeciskając się obok otarł się o nią swym muskularnym ciałem. Odszedł, stała sama i wpatrywała się w gwiazdy. Świecące, zimne łebki szpilek na tle czerni rozlewającej się wokół. Jesteśmy sami w czasie i przestrzeni... i wszystko może się stać, pomyślała tęsknie.

– Proszę. – Stał z tyłu. Ledwie widoczny w ciemności. Palce zetknęły się z jej dłonią, gdy podawał kubek z kawą. – Wspaniała noc – dodał niespiesznie, ale

Kathy nie odnalazła w jego głosie nic ze swoich odczuć.

– Tak... cudowna – potwierdziła zduszonym szeptem.

– Spałaś?

– Tak – skłamała. Pochyliła głowę i upiła trochę kawy. Przecież było zbyt gorąco i zbyt ciasno w maleńkiej kabinie. Wyciągnięta na koi leżała w mroku, nasłuchując najśłabszego znaku od niego. Pragnęła być z nim, po prostu musiała.

– Niebawem będzie świtać – rzekł obojętnie. Wypił kawę i przeciągnął się, ziewając. – Moja kolej na spanie. Budzik jest nastawiony. Nie musisz mnie budzić.

– Obudzić... – Serce biło jej mocno, pragnęła być z nim, położyć się koło niego w ciemności. Wyciągnąć rękę, dotknąć jego ramienia i pleców. Położyć dłoń na policzku. Wzbierała w niej namiętność, jakiej nie zaznała do tej pory.

Bezsenność zrobiła swoje, zasnęła na pokładzie. Słońce stało już wysoko na niebie, gdy ją obudził.

– Wstawaj, śpiochu, nie zaśniesz w nocy.

– Nie szkodzi. – Przeciągnęła się jak kot i uśmiechnęła do niego zadowolona, że zdjął ciemne okulary. – Mogę wziąć pana nocną wachtę, jeśli panu wygodniej.

– Dlaczego nie? – zgodził się niedbale, choć zerknął na nią przy tym uważnie. Srebrne spojrzenie pociemniało, nabrało szarej barwy. Było wyrazistsze, intensywniejsze. – Lubię spać w nocy.

– W takim razie ustalone. – Usiadła bardzo blisko niego.

– Coraz cieplej. Gorąco. – Pochyliła głowę. Obserwował każdy jej ruch, teraz przewaga była po jej stronie. Poprawiła włosy i uśmiechnęła się. – Może popływamy trochę, co pan na to?

– Oczywiście – zgodził się bez oporu, ale zaraz dodał:

– Możesz popływać, ja zostanę na pokładzie.

– Nie popływa pan ze mną? – Dotknęła jego ręki. – Myślałam...

Potrząsnęła głową.

– Nigdy nie zostawiam łodzi bez dozoru i nikt nie pływa bez kogoś pilnującego.

– Więc nigdy nie popływamy razem.

– Jakoś to przeżyjemy – powiedział, zabawnie udając powagę. Podał jej rękę, aby mogła wstać. – Nie martw się.

– W porządku. – Zrobiło się jej przykro. Nie tego chciała. Marzyła, że znajdą się razem w wodzie. Coraz bliżej... oczywiście nie wyobrażała sobie szczegółów, tylko tak ogólnie...

Skoczyła do wody. Zimna woda na rozgrzanej skórze oszołomiła ją. Niebezpieczne rojenia ostygły.

Kathy pływała doskonale. Ojciec mówił, że umiała pływać, zanim jeszcze nauczyła się chodzić. Lekko przesadzał, rzecz jasna, ale coś w tym było. Kilka razy opłynęła jacht, za każdym razem zataczając coraz szerszy krąg. Reid cały czas patrzył, jak daje sobie radę.

– Świetnie pływasz! – zawołał, gdy wreszcie zrobiła przerwę na zaczerpnięcie tchu. – Chyba już wystarczy!

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jestem rybą! – odkrzyknęła, wzięła głęboki wdech i zanurkowała, oddalając się jeszcze bardziej od łodzi. Przecież mogła spędzić w wodzie cały dzień, delektując się zmysłową pieśzczotą chłodnych fal... cały dzień, dopóki zachód słońca nie zabarwi wody karminem i złotem... dopóki niebo nie nabierze koloru fioleto... dopóki noc nie zamieni wody w czarny jedwab odbijający światło gwiazd... – To było wspaniale – wysapała, wróciwszy w końcu na pokład. Ledwie trzymała się na nogach, pływała tak, żeby naprawdę się zmęczyć. Mimo wszystko dziwne niezadowolenie i niejasna tęsknota znów się pojawiły. Głupie i dziecinne uczucia bez sensu. Przecież Reid był tylko i przede wszystkim przyjacielem, przypomniawszy sobie. Pomógł jej dostać się na pokład, podał dłoń po przyjacielsku i tyle. Kiedy postawiła pierwszy krok na jachcie i zachwiała się, podtrzymał ją natychmiast.

– Zmordowałaś się...

– Tak, ale myślę... – Zrobiła pauzę i zapadła pomiędzy nimi nie kończąca się cisza. Jego ręce nadal spoczywały na jej ramionach. Czowała bijące od niego ciepło, ogrzewające i opiekuńcze. Krew tętniła w skroniach, wiedziała, że za późno, żeby się wycofać. W srebrnoszarych oczach palił się już ogień.

– Kathy... – szepnął. Mocno przyciągnął ją do siebie. Przyłgął całym ciałem. Lód i ogień... chłodna skóra dziewczyny i rozpalone ciało mężczyzny. Szok, jego ogień rozpalał ją, a jego pocałunek... Otwarcie, bez wahania odwzajemniła pieśzczotę. Opór ulotnił się. Muszę go powstrzymać, albo siebie, myślała, zanim będzie za późno, zanim sprawy zajdą za daleko... Ale to było trudne... zbyt trudne! Czy nie wiedziała, że już za późno? Ze sposobu, w jaki ją dotykał, poznawała, jak pieścić jego ciało. To jest miłość! – uświadomiła sobie w ostatnim błysku świadomości, zanim Reid i nowy świat, jaki stworzył, przemożne podniecenie, pragnienie i żądza wzięły ją w posiadanie bez reszty.

Później, dużo później zasnęła w jego delikatnym objęciu. Obudziła się i odkryła, że niebo jest fioletowe. Tak jak sobie wyobrażała parę godzin temu. Nie, nie parę godzin, całe życie temu! To, co się stało, zapoczątkowało nowe życie. Osiemnaście lat rozwiało się jak mgła, odeszło w nicość. Odkryła, że Reid uczynił z niej nową osobę – kobietę. Zaczęła dzień jako dziewczyna, a teraz, gdy dzień zamienił się w noc, była kobietą.

– Kathy... – szepnął w ciemności. Czy dała jakiś znak, że nie śpi? Byli tak blisko, przytuleni. Po prostu wiedział? – Mogłaś powiedzieć.

– Co miałam powiedzieć?

– Wiesz bardzo dobrze co. – Podparł się na łokciu i wpatrywał w jej twarz. – Byłaś... niewinna.

Zacisnęła usta. Słowa zabrzmiały jak wyrzut albo nagana.

– Nie myślałam... Przepraszam.

– Za co?

– Za... – Nie miał zamiaru jej pomagać, szczęście prysnęło. Pojawił się wstyd. – Że nie miałam żadnego doświadczenia – zmusiła się do mówienia – że nie wiedziałam, jak to się robi.

– Całkiem nie masz racji. Zupełnie. Moja kochana, jesteś do tych rzeczy stworzona... przesłaś moje najśmielsze oczekiwania.

– Naprawdę? – zdumiała się. Nie spodziewała się tych słów. – Naprawdę jestem?

– Tak, naprawdę jesteś – zapewnił ją łagodnie. – Uwierz, Kathy, jesteś do tego stworzona – Cudowna, zmysłowa i wspaniała!

– Bystra uczennica prawdziwego mistrza?

– Nie! To jest w tobie! I tylko czekało...

– ... Na ciebie – podsunęła szybko. – Nie mogłabym z byle kim...

– Ależ możesz to przeżywać z każdym mężczyzną, słodka Kathy.

– Nie! Z tobą, tylko, za to, że właśnie taki jesteś... Nie mogłabym pozwolić komuś innemu!

– Może – zgodził się. – W tym, co mówisz, jest sporo prawdy... – Pochylił się i musnął ustami jej twarz. – Jest między nami magnetyczna siła, z którą trudno walczyć. I zawsze będzie.

Przyciągnął ją do siebie, wodząc dłońmi po jej skórze.

– Zawsze, Kathy, zawsze...

Te same słowa! Uświadomiła sobie, że po tylu latach nadal używał tych samych słów. Jakby pamiętał tamten pierwszy raz. Odsuwała od siebie wspomnienia, spychała do najodleglejszego zakątka jaźni. Nie chciała pamiętać przez osiem lat, ale tamte chwile nie dały się wymazać.

Panował nad nią, choć robiła wszystko, żeby tak nie było. Chciała mu pokazać, że umie się przeciwstawić, ale okazywała tylko słabość. Czyżby to była jakaś wada charakteru? Dokuczliwa przypadłość, która minie, pocieszała się. Przecież zdradził jej uczucia!

Musiała zniszczyć wspomnienia. Zrobić coś, co oddaliłoby wizję Reida i jego pieśczęt.

Zajmę się tym, na czym się znam, po to tutaj przyjechałam, postanowiła nagle. Chwyciła notes i prawie biegiem opuściła pokój w domu ciotki Margaret. Przecież przyjechała nie dla wspomnień!

Rozdział 5

W kurzu, sadzy i wilgotnym chłodzie kościelnego schowka znalazła mnóstwo rzeczy, na które wczoraj nie zwrócili uwagi. Najprawdziwsze skarby: stare okiennice, zawiasy, zamki do drzwi z kluczami, szczątki bardzo starej ambony i schodków do niej. Fragmenty ozdób architektonicznych, dwa bardzo stare fotele, prawdopodobnie jeszcze starsze od kościoła, i drewniany stoliczek...

Reida nie było w pobliżu, co wprawiało Kathy w dobry nastrój. Nie widziała go od czasu rozmowy obok schodów. Przy śniadaniu zamieniła z ciotką Margaret kilka zdań.

– Nie przejmuj się, Kathy. Nic wielkiego się nie stało. Czasami pojawia się jak duch. Przyjeżdża z jakiegoś zakątka świata, o którym nikt nie słyszał, i potem rusza gdzieś dalej.

Ojciec Gardiner rozpoczął zebranie krótką modlitwą. Kathy wyczuła, że Reid zaraz przyjdzie. Umiała przewidzieć jego pojawienie się jakimś szóstym zmysłem. Oczywiście przyszedł. Nie zerknęła w jego stronę, ale niemal fizycznie zabolęło ją srebrne spojrzenie, jakim ją obdarzył. A niech to, pomyślała, patrząc niewidzącym wzrokiem w notes.

Tymczasem ojciec Gardiner prosił Boga o łaskę dla zebranych, by rozsądnie rozpatrzyli sprawę odbudowy świątyni lub też wzniesienia nowej. Zakończył słowem „amen” i od razu zaproponował:

– Może pan Reid i panna Kathy zechcą nam teraz opowiedzieć, co ustalili w trakcie przeglądu.

– Konstrukcja kościoła jest mimo wszystko w doskonałym stanie – przedkładał się Reid, zanim zdążyła otworzyć usta. – Ale zniszczenia są poważne...

Zdawał dokładne sprawozdanie, nie pomijając szczegółów inżynierskich. Fachowo i spokojnie tłumaczył zgromadzonym zawiłe problemy architektoniczne tak, by możliwie jak najwięcej zrozumiano.

– Szanowni państwo, ja znam się przede wszystkim na zagadnieniach konstruktorskich – mówił gładko. – O wszystko, co wiąże się z historią sztuki, proszę pytać pannę Loring... – Zrobił pauzę i Kathy przestraszyła się, czy nie powie zaraz czegoś niestosownego, ale on ciągnął jak gdyby nigdy nic: – Mogę powiedzieć państwu jedynie to, że kościół zbudowano bardzo solidnie. Rozbiórka jest oczywiście możliwa; nie mam żadnych obiekcji, jakie ewentualnie mogłaby mieć panna Loring. Jestem jednak przekonany, że wyburzenie tego kościoła to ogromna strata. Oryginał nie może być zastąpiony przez kopię, to już nie będzie to samo.

Wszyscy zgodnie przytaknęli. Pan Blunt i Kathy nie odezwali się. Była wściekła, przecież ubiegł ją perfidnie. Reid najwidoczniej chciał wykonać za nią pracę! Przecież to ona miała przemawiać najpierw. Gdy umilkł szmer rozmów, zaczęła opowiadać o skarbach znalezionych w kościele, o wyjątkowym znaczeniu tej budowli pośród zabytków architektury sakralnej na tym terenie.

Gdy już kończyła, Reid przerwał:

– Sądzę, że powinniśmy się teraz skupić na zorganizowaniu przyszłych działań. Musimy się zastanowić, jak wynieść wszystko z budynku, jak kierować ochotnikami i skąd ich wziąć... Pracy jest na kilka dni. Panna Loring będzie nam doradzać, co jest warte zachowania, a co nie.

– To niezupełnie tak – odruchowo zaprotestowała Kathy. Nie podobał się jej pomysł Reida i nie miała zamiaru zastosować się do jego życzeń. – Uważam, że należy ratować wszystko – podkreśliła z naciskiem.

– Wszystko? Przecież tam jest mnóstwo niepotrzebnych drobiazgów bez wartości – ironizował Reid.

– Ależ...

– Na przykład boazerie – ciągnął, ignorując jej nieśmiałe próby uzasadnienia swojego stanowiska. – Co powinniśmy zrobić, jeśli ogień oszczędził tylko niewielkie fragmenty?

– Słusznie. I ja się nad tym zastanawiam... – zauważył ojciec Gardiner. Zebrani jednogłośnie poparli duszpasterza, który zwrócił się do Kathy: – Nikt nie ma pani wiedzy, nikt z tutaj zgromadzonych. Bardzo prosimy...

– Cóż... – Wiedziała, że tym razem musi ustąpić, aby nie sprowokować nieprzyjemnego konfliktu z Reidem. Nie patrzyła w jego stronę. Na pewno cieszył się ze zwycięstwa. – Tak, oczywiście... – skapitulowała i uśmiechnęła się smutnym wymuszonym uśmiechem. – Zrobię, co będę mogła, ale tylko jutro. Potem muszę wracać do swojej pracy.

– Jesteśmy wdzięczni za poświęcony nam czas – powiedział ojciec Gardiner i zakończył zebranie.

Podobnie jak poprzedniego wieczoru zostali w salonie tylko we dwoje. Zamknęła notes i podziękowała Reidowi za pomoc w czasie zebrania. Nie spojrzała na niego nawet przy tym. Ale nie patrzył na nią. Utkwił wzrok gdzieś w przestrzeń, rysy twarzy zdradzały zmęczenie.

– Dobranoc – rzekła lodowato, aby przerwać martwą ciszę i dać sygnał, że jest zagniewana.

– Tak wcześnie wychodzisz? – ocknął się. – Mamy dużo spraw do załatwienia.

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia – warknęła. Usłyszała jego cichy śmiech. – Nie ma w tym nic śmiesznego!

– Pewnie, że jest. – Oparł się o krzesło i wyciągnął nogi tak, żeby zablokować jej przejście. – Biedna Kathy, jesteś zła na mnie, a powinnaś być mi wdzięczna.

– Że co?! Wdzięczna? – Miała minę, jakby wypila sok z cytryny. – Wdzięczna, po tym co mi zrobiłeś?

– Powstrzymałem cię przed zanudzeniem na śmierć tych pocziwców wykładem o historii angielskiego gotyku i klasycyzmu, ze szczególnym uwzględnieniem Christophera Wrena. Gdybyś jeszcze powiedziała cokolwiek na ten temat, obraziliby się, że z nich kpisz i chcesz im pokazać swoją wyższość. Wtedy zburzyliby kościół. Nie przyszli na wykład, to prości dobrzy ludzie, szukający prostej i dobrej odpowiedzi na swe pytania. Zaczynaj od tego, co ludzie

chcą usłyszeć, przecież po to przychodzą. Naucz się postępowania z bliźnimi.

– Przypuszczam, że ty to potrafisz.

– Może lepiej niż przypuszczasz, a w każdym razie na pewno lepiej niż ty. Znasz się na architekturze sakralnej, ale oni dzisiaj nie potrzebowali wykładu, chcieli się dowiedzieć, co mają dalej robić. Uspokój się, Kathy... I nie miej mi za złe tych uwag. Później z przyjemnością wysłuchają twojego wykładu. Pięknie mówisz o sztuce, zresztą pewnie już zauważyli, że skoro mówisz o niej tak podniośle, to coś w tym jest...

– Wcale nie mówiłam podniośle – odrzekła chłodno, aby ukryć rozdrażnienie.

– Uff, nie chciałem cię urazić. Nie lubisz rad w ogóle czy tylko ode mnie?

– Od ciebie nic nie chcę!

– A może tu chodzi o coś jeszcze innego? – zignorował jej wybuch i dalej mówił spokojnie: – Może miałaś nadzieję olśnić mnie rozległością swojej wiedzy? Erudycją?

– Akurat! – Jej oczy sypały iskry, gdy spojrzała z pogardą. – Olśnienie ciebie jest ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy!

– Naturalnie. Zapomniałem na chwilę. Kiedyś, na początku, zależało ci na mojej opinii. – Nie uśmiechał się już.

– Zostaw przeszłość w spokoju! Musisz ją wałkować w kółko?!

– Na tym polega cały problem – powiedział zimno. – Teraz przeszłość do nas wróciła.

– To do ciebie wróciła! Ja mam ją za sobą!

– Na to wychodzi. W przeciwnym razie nie mogłabyś żyć z czystym sumieniem...

A jego sumienie, pomyślała z goryczą. Ostatnie zdanie Reida odebrało jej mowę. Posunął się za daleko, kłótnia nie miała sensu. Nie słuchałby, nigdy przecież nie słuchał!

Jeszcze tylko jeden dzień, obiecywała sobie, jeszcze jutro i do domu. Kwita z Reidem, a na razie trzeba go po prostu ignorować!

Ale traktowanie Reida jak powietrze nie było tak proste, jak sądziła. Następnego dnia wszystko toczyło się pomyślnie, gdy razem z ochotnikami pracowała przy wnoszeniu z kościoła wyposażenia. Dopiero później, po skończonej pracy, zaczęły się kłopoty. Zmęczona szła do domu ciotki Margaret i pocieszała się myślą, że już za parę godzin wróci do Providence. A Reid elegancko zniknie z jej życia.

Dogonił ją ojciec Gardiner. Tłumaczył, że ma problem, w którego rozwiązaniu konieczna jest pomoc jej i Reida.

– Proszę, zależy mi na rozmowie we troje. Nie zajmie to więcej niż kilkanaście minut...

Nie wypadało odmówić przemiłemu kapłanowi. Musiała wyświadczyć tę grzeczność, mimo że spotkanie zupełnie zmieniło postanowienia poprzedniego dnia. Nie powinno być tak źle, pomyślała; parę chwil dłużej. Dwa dni oglądałam Reida i jakoś to wytrzymałam, czego mam się teraz bać?

Usadowili się we troje w salonie ciotki Margaret. Reid zajął ulubione miejsce obok ciepłego kominka. Ojciec Gardiner podsunął najpierw krzesło Kathy, a później usiadł i przez jakiś czas milczał. Wpatrywał się w ich twarze z zagadkowym uśmiechem. Potem rzekł:

– Jestem wam obojgu niezmiernie wdzięczny! Szlachetnie podarowaliście czas i wysiłek tutejszej wspólnoty. Darujcie... niezręcznie mi o tym mówić, ale... – Minę miał zafrasowaną. – Sami nie mamy rady, nie wiemy nawet, od czego zacząć odbudowę...

– Przecież my się tym możemy zająć – zaproponował Reid rzeczowym tonem. – Zadanie to nie przekracza chyba naszych możliwości?

– Ach, to takie trudne i skomplikowane – sapnął ojciec Gardiner. Do pokoju weszła ciotka Margaret i dyskretnie przysiadła na brzegu krzesła przy drzwiach. – Tak – zaczął znów. – Ja i moi parafianie mamy poważny kłopot. Przez ostatnie dwa dni, ty i Kathy mówiliście nam, jakie kroki powinniśmy podjąć przy odbudowie kościoła. Ale rady dotyczyły jedynie wstępnych czynności. I okazało się, że jeśli mamy kontynuować odbudowę... musimy zatrudnić inżyniera i konserwatorów...

– Co za kłopot – odpowiedział usłużnie Reid.

– Nie mamy pieniędzy – odparł szybko ojciec Gardiner.

– Po prostu na nic nie mamy pieniędzy!

– Ale ubezpieczenie...

– Nie mamy ubezpieczenia. – Kapłan był widocznie skrzepowany. – Powinno być. Mieliśmy zamiar to zrobić, ale nigdy nie zapłacono składki. Nie mieliśmy pieniędzy na składkę przez ponad dziesięć miesięcy... Łudziliśmy się, że przez ten czas, to znaczy do końca roku, obejdzie się bez jakiegokolwiek Wypadku...

– Rozumiem, płaciliście składkę, ale zawiesiliście ją i ubezpieczenie wygasło – odgadł Reid.

– Tak – kontynuował zdenerwowany ojciec Gardiner.

– To długa historia. Składka miała być szokująco wysoka z powodu wieku budowli i drewnianej konstrukcji. Tuż przed Bożym Narodzeniem wydarzyły się przykre rzeczy. Trzech parafian straciło pracę. Właściciel plantacji zachował się okrutnie, przedkładając swój zysk nad los ludzi, swoich pracowników. Tak uważam.

– Takie jest życie – wtrącił delikatnie Reid. – Gdyby pracodawca nie zwracał uwagi na zysk, nie byłoby pracy i dla niego i dla pozostałych zatrudnionych. Czasy niewolnictwa dawno minęły i można poszukać pracy gdzie indziej.

– Tak, ale myślę, że mógł ich zatrzymać jeszcze przez parę tygodni... Nagle trzy rodziny zostały bez pieniędzy... Trzy rodziny z małymi dziećmi i nic na święta! Przecież nie mogłem na to pozwolić, prawda?

– Oczywiście, że nie – poparła go ciepło Kathy. Reid mógł sobie opowiadać, że tylko tak można prowadzić interes. Sam tak postępuje: tylko zysk i ani odrobiny serca! Ale ona widziała to inaczej! – Nie miał ojciec wyboru i domyślałam się, że fundusze na składkę ubezpieczeniową zostały przeznaczone na pomoc dla tych nieszczęśników?

– Większa ich część w każdym razie, chociaż nie zamierzałem poświęcić na ten cel wszystkich pieniędzy. Liczyłem na dochód z tacy. To zawsze była spora suma i zdawało mi się, że pokryje to, co przeznaczylismy dla bezrobotnych... – Westchnął głęboko. – Ale po świętach zrobiło się bardzo zimno i podczas takich mrozów zdrożał olej do ogrzewania domów. Ludziom zabrakło pieniędzy i nie mieli z czego zapłacić nawet swoich rachunków...

– I tak po trochu wydał ojciec wszystko – podpowiedział Reid.

– Tak, ale o tym, że kasa parafii jest pusta, nie wiedziałem nic przez parę miesięcy – wyjaśnił przybity kapłan. – Kiedy przyszło do uregulowania należności firmie ubezpieczeniowej i jednocześnie wypłynęła sprawa bezrobotnych... Przeznaczyłem pieniądze dla tych trzech rodzin, odkładając zapłatę za ubezpieczenia, gdyż wtedy pani Theroux, nasza parafialna skarbniczka powiedziała... że znalazła błąd w obliczeniach naszej kasy i mamy dużo więcej, niż myślała. Dosyć na ubezpieczenie i na rachunki.

– To musiało zakrawać na cud – podsunął Reid rozbawiony chaotyczną opowieścią ojca Gardinera.

– O tak. Byłem zachwycony i lekką ręką wydałem wszystkie pieniądze bez najmniejszego pojęcia, że biedna pani Theroux postanowiła zawiesić ubezpieczenie na ten jeden rok. Dopiero latem, kiedy wyjechała na wakacje, znalazłem odpowiednie zaświadczenie w księdze finansowej parafii... A na biurku spory plik notatek. I wtedy było już za późno. Pieniądze zostały wydane. Nie było sposobu na zapłacenie składki.

Kathy słuchała z szeroko otwartymi oczyma i współczuła kapłanowi z całego serca. Reid siedział nieporuszony, ale w jego szarych oczach migotały figlarne iskierki.

– Tak więc oto jestem w takiej okropnej sytuacji, doświadczony ciężko pośród przeciwności losu. Z kościołem do odbudowania i zupełnie bez pieniędzy. Co prawda były darowizny, ale suma okazała się nie wystarczająca. Och, gdybym wiedział, w jaki sposób zdobyć potrzebne środki. Przecież na wieść o pożarze, zwrócili się do nas z pomocą nawet zupełnie obcy ludzie, ale ich wspaniała hojność okazała się niewielka, niestety. Mimo wszystko mamy gotówkę na materiały. Robotnicy będą z parafii: cieśle, elektrycy, są chętni. – Ojciec Gardiner mówił teraz z emfazą. – My musimy odbudować spalony kościół! – Wzniósł oczy ku niebu, złożył dłonie jak do modlitwy i z powagą zakończył: – Jeśli poświęcicie nam teraz kilka dni, a później przyjedziecie parę razy z wizytą, będzie to możliwe. Kiedy odbudowa będzie postępować, powiecie nam, co dalej robić. Wy dwoje macie do tego klucz!

– Niech ci się nie wydaje, że zrobię to razem z tobą – oświadczyła Kathy z gniewem.

Od kilku godzin czekała na możliwość porozmawiania z Reidem w cztery oczy. A teraz, gdy dopadła go samego w kuchni, była zbyt zdenerwowana, żeby pamiętać choć jedno przygotowane słowo!

Chciała tylko przekonać Reida, żeby zrozumiał.

– Nie ma po temu żadnej potrzeby! Wiesz, że nie ma! Ja nie będę z tobą pracować!

Stała w progu kuchni i niemal trzęsła się ze złości.

– Nie? Przecież powiedziałaś dobremu pastorowi o obietnicy danej ciotce... A teraz masz zamiar ich zostawić? – Reid spokojnie przygotowywał kawę. Zachowywał się jak gdyby nigdy nic. Dolał wody do czajnika i postawił go na gazie.

– Zrobię to, tak jak obiecałam – syknęła Kathy, wyprowadzona już zupełnie z równowagi. – Ale nie z tobą!

– Ach tak?

Wziął z szalki dwie filiżanki, dwie łyżeczki i pojemnik z kawą. Nakrył do stołu i wsypał kawę do filiżanek. Poruszał się powoli i ostrożnie.

– Nie ze mną? A ja obiecałem, że tu pomogę. Dałem słowo, którego dotrzymam... Ty oczywiście masz zamiar mnie unikać. Jak to zrobisz?

– Reid, ty nie musisz tu zostać! O ile się orientuję, znasz środowisko inżynierów! Znajdziesz kogoś na swoje miejsce! Ty nie musisz tutaj siedzieć!

– Powiedziałem, że będę.

– Ależ to śmieszne! Ty nie możesz tu zostać! Nie możesz! – Przeszła próg kuchni. – Jesteś zbyt zajęty i zbyt ważny, żeby siedzieć tutaj i tracić czas! Przecież prowadzisz interesy?!

– Tak, ale tylko wtedy, kiedy chcę. To właśnie jest przyjemność płynąca z wolnego zawodu. To, co zrobię, jest wyłącznie moją sprawą. Lubię dokonywać wyborów i teraz... – Przerwał mu gwizd czajnika. Nalał wody do obu filiżanek. – I właśnie teraz z przyjemnością zrobię coś dla mojej ciotki.

– Robisz to, żeby mnie rozzłościć!

– Ależ nie jestem taki podstępny. Być może chcę cię przypilnować?

– Po co? Chcesz mieć pewność, że nie zwieję ze srebrami i kryształami ciotki w siną dal?!

– Tak jakby. Ale raczej chcę wiedzieć, co cię tak porusza, kiedy mnie widzisz...

– Wskazał parującą kawę. – Proszę. Zapowiada się długa noc.

Kathy ostentacyjnie nie zwróciła uwagi na poczęstunek.

– Reid, ja tylko chcę, żebyś przysłał tu kogoś do pracy na swoje miejsce.

– Przepraszam – w jego głosie nie było skruchy, zauważyła z przykrością – ale będziesz pracować ze mną.

– Oszalałeś!

– Jeśli nie, to ty wyjedziesz.

– Próbujesz mnie wyrzucić?

– To jest myśl. Poza tym, nic cię tu nie trzyma.

– Oprócz obietnicy, jaką złożyłam ciotce. Nie wyjadę, nie zostawię jej.

– Bardzo ładnie, ale nadal nie rozumiem, dlaczego. Przecież ona nie ma nic do ciebie.

– Ale ja mam! Nie opuszczę jej!

- W takim razie zostaniesz tutaj ze mną – zauważył obojętnie. Wciąż nie miał zamiaru dać jej spokoju. A wyjechać nie mogła.
- Dobrze – poddała się z gorzką rezygnacją. – Skoro muszę zostać z tobą, to trudno, zostanę.
- Kathy, poddajesz się tak szybko? Jestem zaskoczony.
- Czym? Przecież nie zostawiłeś mi żadnego wyboru. Nie ma sensu dyskutować z tobą na ten temat. Skoro muszę, będę pracować nawet z tobą. Ale pamiętaj – skierowała się w stronę drzwi – nie podoba mi się to.
- Ani mnie – usłyszała niemal życzliwe stwierdzenie. – I nie sądzę, żeby podobało się to Malcolmowi.
- Malcolmowi? – zapytała wysokim głosem i zatrzymała się nagle. – Dlaczego wciągasz w to Malcolmma?!
- Ponieważ on się bardzo szybko o wszystkim dowie. Nie mogę się doczekać jego reakcji na wieść o tym, że zostajesz ze mną i nie wracasz jutro...
- Gównu cię obchodzi reakcja Malcolmma! – Kathy nie potrafiła już nad sobą panować, a to, że kompletnie zapomniała o Malcolmie i że teraz Reid jej o nim przypomniał, dołało oliwy do ognia. – Żegnam! To bezczelność wtrącać się pomiędzy nas!
- Zastanawiam się, czy byłoby możliwe wejść między was? Czy starczyłoby wam spostrzegawczości, żeby zobaczyć, że ktoś jest między wami? – Reid cały czas mówił spokojnie i powoli. W przeciwieństwie do Kathy, zupełnie nie objawiał emocji.
- Jeśli to byłbyś ty, na pewno!
- Och, jestem pewien. Sama zauważyłaś, że czy tego chcemy, czy nie, ciągnie nas do siebie jakaś przemożna instynktowna siła. Jestem przekonany, że między tobą a Malcolmem niczego takiego nie ma. Biedny Malcolm – Reid przybrał ton współczucia – nawet nie wie, co traci.
- Wcale tak nie jest. To są zupełnie inne stosunki – odparła sztywno Kathy, zepchnięta do obrony i nieco za późno dodała: – To nie twoja sprawa!
- Na twoim miejscu nie mówiłbym o tym tak lekko, ale nie martw się. Nie będę się mieszał.
- Mieszasz się, odkąd tu przyjechałeś!
- Tak myślisz? Kochanie, gdybym naprawdę się mieszał... Nie byłoby ci łatwo.
- Łatwo? Myślisz, że łatwo znoszę tu twoją obecność? Razem pracować i być uprzejmą? Łatwo robić cokolwiek, co... – Umilkła i popatrzyła na Reida. Zbliżył się do niej i tylko centymetry dzieliły ją od niego. Jego oczy nie były już ciemnoszare, stawały się srebrne. Błyszczące migotliwe srebro. Czowała żar, jaki go wypełniał. – Łatwo – spróbowała mówić zwyczajnie – być z tobą?
- Jestem pewien, że to nie jest łatwe – rzekł zmienionym głosem. – Nie łatwiejsze niż dla mnie bycie z tobą. To wcale nie jest takie proste... Być z tobą i pragnąć ciebie... – Przyciągnął ją bliżej ku sobie. Położył dłoń na jej ustach. – Wybacz, nie mogę przestać cię pragnąć.
- Ale ja już ciebie nie pragnę – słabo broniła się Kathy i już wiedziała, że nie

umie mu się oprzeć. – Reid, proszę – powtórzyła, gdy objął jej talię. – Nie możemy tego robić!

– Możemy – rzekł i uśmiechnął się marzycielsko. – Właśnie to robimy.

– Ale... – Nie mogła już nawet logicznie myśleć. Jego ręce przesunęły się wyżej. Pieściły ją gorące dłonie Reida. Czowała podniecenie nie do zniesienia. – Przestań – szepnęła.

– Nie. Ty chcesz... – Zdobył jej usta, smakując ich słodycz przez chwilę, zanim nie pogłębił pocałunku, zmuszając ją do odpowiedzi.

Nie miała wyboru, jej ciało topniało w uścisku. Zarzuciła mu ręce na szyję. Zwyciężył, pojęła to, gdy jej myśli rozwiały się i uległa własnemu pragnieniu. Świat znikł i nie pozostało nic oprócz fizycznej rozkoszy. Odwzajemniała pieszczoty i syciła się tym, co jej ofiarowywał.

– Wciąż... – tak jest szepnął. Westchnęła, czując jego dłoń pieszczącą nabrzmiewające piersi. – Wciąż... – powiedział, a ona wygięła ciało w łuk, szukając większej bliskości.

– Czujesz to również, Kath... – szeptał nie odrywając ust i bawił się grą, sposobem układania ust na jej ustach. – Czujesz to... prawda?

– Tak – wyznała, jej rozpalone ciało było potwierdzeniem. Wychyliła się znów. Doprowadzał ją do szaleństwa, jego dotyk dawał tak wiele, a obiecywał jeszcze więcej... Zapomniała już o tym, nie chciała pamiętać. A teraz pamięć wróciła. Cała dzika tęsknota...

– Zapamiętaj to lepiej – odezwał się nagle z nutą rozbawienia w głosie, jakby czytał w jej myślach. Raptem zdjął ręce Kathy ze swoich ramion i odsunął się. – Pamiętaj, co czujesz teraz, gdy będziesz z drogim Malcolmem.

Nie wiedziała, co było gorsze: jego słowa, czy to, że tak szybko odzyskał panowanie nad sobą; znacznie szybciej niż ona!

– O co chodzi, Reid? – Ogarnęła ją potrzeba zranienia go, odpłacenia pięknym za nadobne. – Nie powiesz mi, że jesteś zazdrosny!

Przez moment była dumna ze zwycięstwa. Zacisnął szczęki i zmrużył oczy.

– Zazdrosny o ciebie, Kath? Powinnaś to sama wiedzieć lepiej.

– Myślałam, że wiem – zgodziła się potulnie i uderzyła znów. – Aż do tej sceny. Rób tak dalej, a będę lepiej wiedziała.

Już w drzwiach, gdy wychodziła, usłyszała w rewanżu:

– Reaguj dalej w ten sposób i będziesz wiedziała najlepiej.

Może ostatnia wymiana zdań nauczyła oboje ostrożności, ponieważ kilka następnych dni przeszło bez żadnych ekscesów. Unikali się wzajemnie, a kiedy się spotkali, byli wobec siebie uprzedzająco grzeczni. Starali się nigdy nie być tylko we dwoje.

– Nie mogę zrozumieć zachowania Reida – powiedziała ciotka Margaret któregoś dnia, kiedy obie z Kathy siedziały same w domu. – Myślałam, że będziecie pracować razem, przynajmniej czasami, ale... Cóż, wydaje mi się, że on postępuje słusznie, unikając cię, jeśli nadal jest zły lub krępuje go twoja obecność.

A on kazał jej „nie martwić ciotki”, pomyślała wzburzona Kathy. Postanowiła

nic po sobie nie pokazać i powiedziała po prostu:

– Jest zajęty innymi rzeczami, prawie cały czas poświęca na konstrukcyjne detale. Ja mam o tych sprawach małe pojęcie. No i jeszcze pilnuje interesów w Nowym Jorku, godzinami rozmawia przecież przez telefon.

– Och, wiem, że jest zajęty, ale... – Ciotka westchnęła i potrząsnęła głową. – Po pierwsze, kiedy zgodził się zostać, myślałam, że może byłoby dobrze, gdyby... – Przerwała, a potem z wypiekami na twarzy, mówiła dalej, niecierpliwie: – Cóż, myślałam, że może on został tu dla ciebie, że może chciał dobrze. Naprawić tamte...

– Nie sądzę, żeby tak było – odezwała się delikatnie Kathy.

– Nie, ani ja. Już nie – przyznała ciotka i znów westchnęła. – Gdyby chciał, spędzałby więcej czasu z tobą, zamiast biegać gdzieś ciągle... Myślisz, że coś jest nie tak?

Całkowicie, zgodziła się w duchu Kathy, ale nie mogła przecież wtajemniczać starszej pani.

– Nie martwię się tym – powiedziała spokojnie i nie zdradziła niczym swych myśli. – Zobaczysz, że jak zaczniemy pracować razem, wszystko pójdzie bardzo dobrze! Ale musisz porzucić nadzieje co do nas – dodała stanowczo. – Reid i ja będziemy przyjaciółmi, ale to jest wszystko, co możemy sobie ofiarować. Nic więcej.

– Tak przypuszczałam – powiedziała starszka i widać było, że nie jest usatysfakcjonowana. – Ale wydaje mi się, że macie tak dużo wspólnego, że nie... nie denerwuj się – powiedziała szybko, widząc, że Kathy jest bliska utraty panowania nad sobą. – Daruj starej kobiecie to, że... Przecież chciałabym tylko, abyście spędzali razem więcej czasu!

Rozdział 6

Życzenie ciotki Margaret spełniło się w czwartek rano, kiedy Reid zmaterializował się w wyjątkowo nieodpowiednim momencie.

– Myślałam, że pojedę do Bennigton dziś po południu i jeszcze przed powrotem do Providence zerknę na tamtejszy stary kościół – oświadczyła Kathy podczas śniadania.

Jadły we dwie w słonecznym salonie. Emma krzątała się po kuchni.

– Ciociu, jak długo tam się jedzie?

– Około godziny. Droga jest niezbyt dobra. Musisz jechać powoli.

– Ona w ogóle nie powinna prowadzić – zakomunikował Reid od progu. Patrzył na boczne okno salonu, przez które widać było zaparkowaną starą półciężarówkę. – A w każdym razie na pewno nie tego grata. Lepiej, żebym ja się tym zajął.

– To nie będzie potrzebne. – Kathy udawała, że nie zauważa przebłysków nadziei w oczach starszej pani. – Nie wygląda imponująco, ale ta gablota nigdy mnie nie zawiodła.

– Jesteś pewna, że hamulce są w porządku? Tam są takie zakręty i zjazdy, że włosy stają dęba.

– Reid ma rację – odezwała się ciotka. – To niebezpieczna droga, jeśli nie ma się naprawdę dobrego samochodu... takiego jak on ma, na przykład.

No jasne, pomyślała Kathy rozgoryczona. Polowanie z nagonką, dobrali się na mnie myśliwi. Jasne, że ciotka wiązała z tą wyprawą określone nadzieje, ale motywy Reida nie były równie oczywiste. Pomysł spędzenia kilku godzin w jego towarzystwie napawał Kathy nieokreślonym strachem.

– To naprawdę nie było konieczne – powiedziała do niego, kiedy wczesnym popołudniem wsiadała do pięknego czarnego porsche'a. – Doskonale wiesz, że mogłabym tam pojechać sama – dodała, kiedy już ruszyli.

– Zgadza się – potwierdził, nie zważając na jej oschły ton. – Ale moja ciotka jest dzięki temu szczęśliwa. Mamy wygodny pretekst, aby spędzić razem nieco czasu. Przez cały tydzień prawie się nie widywaliśmy.

– I o to mi chodziło – odpowiedziała chłodno. – Jak sądzę, tobie również. Nie ciągnie nas do siebie i już. – Po chwili dodała z cieniem wyrzutu: – Ciotka zaczynała się martwić.

– Na szczęście już się nie martwi.

– O co ci chodzi?

– Ciotka się już nie martwi, ale ja mam kłopot. Nie wiem, czy mogę ci ufać, może planujesz ucieczkę ze srebrami parafialnymi?

– Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale srebra zostały już umieszczone w sejfie bankowym. Jeśli nie wierzysz, zapytaj ojca Gardinera.

– To co, w takim razie, tak cię pochłonęło?

– Staram się znaleźć sposób, żeby wszystko wypadło jak najlepiej. Pracuję z ochotnikami, wyszukuję fundatorów, organizuję prace...

– Chyba nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. Wiedziałem, że jesteś specjalistką od restauracji starych kościołów, ale do głowy by mi nie przyszło, że od organizowania pracy i szukania sponsorów też.

– Po prostu wiem więcej niż inni, jak szukać funduszy.

– A sama jaki masz w tym interes?

– Okazję do odplacenia ciotce Margaret za dobroć okazywaną mi od lat. I okazję do przywrócenia świetności kościołowi, który jest jedną z najstarszych budowli sakralnych Nowej Anglii i dzięki temu całego kraju.

– Innymi słowy, punkty do kariery.

– Może. – Nie przejęła się jego złośliwością. – Chociaż wcale nie przyniesie mi to sławy. Brak większego zapotrzebowania na renowacje starych kościołów. Firma niewiele będzie z tego miała.

– A nie pomyślałaś o prestiżu?

– Wolę myśleć o kościele. Autentyczny zabytek tej klasy nie może zostać ot tak, bez opieki. Jego utrzymanie wymaga jednak dużych pieniędzy, bez których zresztą w ogóle nie da się go wydzwignąć z ruiny. A strata byłaby bolesna.

Reid był sceptyczny.

– Skąd ta wspaniałomyślność? Nie przypuszczałem, że mogą tobą powodować wyższe względy.

– Wolisz myśleć, że jest inaczej, prawda? To może już nie mówmy o mnie.

– Jeśli nie chcesz...

Przez resztę podróży nie poruszali już żadnych drażliwych spraw. Rozmawiali prawie po przyjacielsku o drobiazgach nie dotyczących wspólnych doświadczeń. Kiedy dojechali na miejsce i Reid parkował samochód, Kathy powiedziała:

– Słuchaj, to tylko tak na razie, potem się rozstaniemy.

Wyszli z auta i skierowali się prosto w stronę Bennington's Old First Church. Podziwianie starego kościoła ułatwiało im spędzenie razem czasu. Być może Reid był zmęczony nieustannymi bitwami i chciał odpocząć przynajmniej po południu.

Kathy była zaskoczona; okazało się, że pobyt okazał się nie tylko znośny, ale... przyjemny. Nie pamiętała, aby tak miło spędzali razem wspólne chwile.

– Imponujące – ocenił Reid konstrukcje. – Czy i u nas będziemy mieli coś podobnego, po usunięciu nowych dodatków?

– Mniej więcej. – Kathy studiowała fasadę znaną jej jedynie z fotografii. – Ten kościół budował Fillmore, a sądzę, że nasz także. Chyba mamy nieco lepszą wieżę. To nie jest najlepsza stylowo budowla Fillmore'a, ale z pewnością najbardziej typowa.

Weszli do środka. Pierwszym wrażeniem było światło. Jasne promienie słońca oświetlały rzędy białych ław, odbijały się od drewnianych kolumn podtrzymujących galerie. Błękitno-zielone ściany dawały słaby, miękki odblask. Pąsowy dywan i poduszki na klęcznikach wyglądały bardzo dostojnie i poważnie. Kwadratowe okna z przezroczystego szkła, dzielone szczeblinami na małe kwadraciki, podkreślały harmonię wnętrza. Uroczym wyglądał widoczny przez nie zielony krajobraz.

- Niewiarygodne – szepnęła zachwycona. – Aż za...
- Za piękne? – Uśmiechnął się zagadkowo. – Jak coś może być za piękne?
- Surowe piękno... Szlachetna skromność... To chwyta za serce. – Sięgnęła do podręcznej torby po aparat fotograficzny. – Muszę zrobić zdjęcia.
Sprawdziła film i nastawiła obiektyw.
- Nie miałam możliwości ustalenia, kto budował nasz kościół, a tak będę miała możliwość porównania i poszukania podobieństw...
- W czym? W stolarce galerii czy okien?
- Zobaczmy. Może w sklepieniach, a może w czym innym. Przypuszczam jednak, że najwyraźniejsze podobieństwa będą w sposobie wykonania i umocowania krokwi dachowych. Pamiętasz, oglądaliśmy w naszym kościele krokwie, na samym początku...
- Pamiętam, omal nie pofrunęłaś na dół przez dziurę w podłodze – przytaknął z nikłym uśmiechem. – I kiedy ja...
- Pomyślałam – mówiła szybko, żeby nie mógł już nic dodać – że wyglądają na przystosowane do dźwigania innego dachu, bardziej płaskiego.
- To wskazywałyoby na Fillmore'a?
- W każdym razie byłoby bardziej uzasadnione.
- To znaczy, że ktoś kontynuował budowę rozpoczętą przez niego? – zapytał poważnie Reid.
- Być może – potwierdziła zadowolona, uniknęła jednak niebezpiecznej rafy, wspominania przygodnej chwili słabości w spalonym kościele.

Reid zachowywał się wspaniale, wykazał prawdziwą klasę i w niczym nie uchybił Kathy, która właśnie z tego powodu łamała sobie głowę nad zagadką: jaki właściwie jest Reid?

Interesował się jej pracą. Pomyślała o swoich umiejętnościach i wiedzy historycznej z dumą i niedowierzaniem. Osiem lat temu nie miała ani pracy, ani żadnych zainteresowań, oczywiście wyłączając fascynację Reidem. Wtedy nie zdawała sobie zupełnie sprawy ze swojego analfabetyzmu i nieokrzesania. Stanowiła czystą kartę, a on zuchwale i według upodobania zapisał, co chciał... choć nie do końca, pocieszyła się melancholijnie.

Po zakończeniu dokładnego przeglądu kościoła, Reid zabrał Kathy do miejskiego muzeum na wystawę starych przedmiotów, które w zamierzchłej przeszłości znajdowały się w oglądanej tego dnia świątyni. W bibliotece muzeum przejrzała materiały z dokładnymi opisami budowli sakralnych Nowej Anglii.

Reid taktownie wyszedł do miasta na spacer.

Kiedy znów się spotkali, był już wieczór i zabłyśły pierwsze gwiazdy.

– Przepraszam, nie zamierzałam zatrzymywać cię tak długo. Zatraciłam zupełnie poczucie czasu, ślęcząc nad papierami.

– Drobiazg. Obejrzałem sobie za to muzeum. Powinnaś przyjechać jeszcze raz i zobaczyć, jakie tutaj mają wyśmienite zbiory malarstwa. Odnalazłem też miejsce, gdzie możemy coś zjeść. Chyba jesteś głodna, nie jadłaś obiadu.

Czy wspólny wieczorny posiłek nie zburzy jej spokoju, zastanawiała się Kathy, nagle ogarnięta niepokojem. Popołudnie minęło zaskakująco dobrze, ale czy jeśli przyjmie zaproszenie, sprawy nie posuną się za daleko? Byłoby lepiej i bezpieczniej zakończyć wspólny wypad, zanim stanie się coś złego. Desperacko chwyciła się ostatniej deski ratunku.

– Czy ciotka nie czeka na nas?

– Powiedziałem, że będziemy późno w nocy.

Widziała tylko ciemną smukłą sylwetkę tuż obok siebie w przytulnym, intymnym odosobnieniu kabiny sportowego samochodu.

– Odpręż się, Kathy, to tylko obiad. Czy nie możemy zapomnieć o przeszłości na tyle, żeby razem zjeść?

Może on mógł, wiedziała, że mógł nie pamiętać. Czuła gorycz, nie mogła zapomnieć, mimo że bardzo chciała wymazać dręczącą przeszłość. Reid włączył silnik i wyjechał z parkingu przy muzeum.

Osiem lat, zauważył mimochodem Reid i upił łyk kawy. Kathy drgnęła, przecież mieli do tego nie wracać! Po udanym obiedzie znów niepotrzebny powrót do przeszłości, do gniewu i oskarżeń.

– Czy osiem lat temu mogłaś się spodziewać, że będziesz tu ze mną?

A jednak! Jakież okazał się nieszczerzy. Kiedy zapewniał, że nie zawadzi nawet słowem o to, co było między nimi, uwierzyła. Rozproszył jej obawy i dlatego zgodziła się na wspólny wieczór. Rozejrzała się. Reid wybrał gustowny lokal, starając się sprawić jej niespodziankę, tylko po co, na miłość boską, wracał do przeszłości?

Restauracja mieściła się w pomieszczeniach stareńkiej stacji kolejowej, które – odnowione i przystosowane do obecnej funkcji – prezentowały się wykwintnie i przytulnie. Urokliwy zakątek stracił jednak teraz cały swój powab. Kathy przestała czuć się swobodnie i żeby to zatuszować, udała, że nie rozumie.

– Tutaj? Przecież nie mogłam wiedzieć o istnieniu tego miejsca? Masz rację, tu jest miło.

– Myślałem, że to przemówi do ciebie. Coś starego a wskrzeszonego do nowego życia.

– Tak – zgodziła się, nadal pełna podejrzeń. – Ładnie powiedziałeś: do nowego życia.

– Ty też pracujesz przy odnawianiu starych budowli i przywracaniu im zatartej przez czas świetności.

– Ale nie jestem projektantką wnętrz i nie wiedziałabym, jak urządzić restaurację. Moją specjalnością jest robienie ekspertyz. Mogłabym powiedzieć, co było tu przedtem, na przykład jakie były ozdoby sal i co trzeba by zrobić, żeby przywrócić dawny wygląd. Mogłabym doradzać, jakie materiały są najodpowiedniejsze, tylko tyle potrafię.

– Potrafisz zrobić coś, o czym niewielu ma jakieś pojęcie. Kiedy zaczęłaś się tym zajmować?

– Zbieg okoliczności. Kiedy postanowiłam... – przerwała, szukając w myślach lepszego sposobu rozpoczęcia zdania i nic innego nie przyszło jej do głowy. Zaczęła znów, powoli i lekko się zacinając: – ... wyjechać, wtedy ciotka Margaret zaproponowała Providence. Miała tam oczywiście znajomego i ten człowiek mógł wynająć dla mnie mieszkanie. Musiałam gdzieś mieszkać przez czas nauki. Chodziłam do szkoły średniej i na kurs sekretarek. Potem okazało się, że firma Malcolma poszukuje maszynistki, no i dostałam pracę...

– Kathy, opowiedz mi, jak doszłaś do tego, co robisz teraz.

– Uczyłam się podczas pracy i to mnie wciągnęło, zapisałam się na specjalistyczne wykłady...

Kelner przyniósł rachunek. Reid wziął arkusik do ręki i uważnie przeczytał. Położył na stole kilka banknotów i rzekł ciepło do Kathy:

– Widzisz, nie sprzeczałyśmy się. Nie jest tak źle między nami, jakby się mogło wydawać!

Czy po tylu latach nadal byli sobie tak bliscy? Ogarnęła ją dziwna mieszanina uczuć – nadziei, a także irytacji: czyżby czytał w jej myślach?

Gdy wyszli na zewnątrz, w twarzę uderzył mroźny zimowy wiatr i natychmiast rozwiął romantyczny nastrój Kathy. Pilnuj się! – powiedziała sobie. Nie miej nadziei na coś, czego nie możesz dostać. Nie bądź głupia!

Przybrała obojętny wyraz twarzy i postanowiła w drodze powrotnej ignorować Reida niczym zupełnie obcego człowieka. Okazało się to niemożliwe, choć nie odzywała się ani słowem, a Reid również nie był usposobiony do rozmowy. Przyszło jej na myśl, że stłumiony odgłos silnika i poufale milczenie, jakie zapadło między nimi, tworzą fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

I mimo że starała się tego nie dostrzegać, aż nadto mocno uświadamiała sobie obecność Reida tuż obok. Trudno było nie obserwować profilu, gry świateł i cieni na ostro rzeźbionej twarzy, gdy mijał ich jakiś samochód, rąk na kierownicy, rąk, o które tak bardzo pragnęła oprzeć głowę.

– A kościoły? – odezwał się niespodziewanie, podejmując przerwany wątek. – Jak to się stało, że stały się twoją specjalnością?

– Kolejny zbieg okoliczności – powiedziała spokojnie, zadowolona, że banalne szczegóły jej życia interesują Reida, i skupiła się na w miarę rzeczowym opowiadaniu. – To nikomu innemu się nie podobało. Praca przy kościołach jest bardzo wyczerpująca i nawet często frustrująca, ponieważ ma się do czynienia z dużymi grupami ludzi. To nie prywatny dom, gdzie załatwia się sprawy najwyżej z małżeństwem, ani firma, w której zazwyczaj do rozmów oddelegowana jest jedna osoba z zarządu. Przy tej pracy czasami trzeba zadowolić całą parafię, a to jest niesamowicie trudne. Każdy chce poczuć, że spełniono właśnie jego oczekiwania.

– I lubisz to?

– Tak, i nie pytaj dlaczego... – Wzruszyła ramionami.

– To budzi jakieś znajome wspomnienia, jakbym dotykała czegoś, co miałam przed wyjazdem.

– Wyspy, tak? – podsunął delikatnie. – Coś jak te miejsca twego dorastania?

– Chyba tak. – Spodobało się jej to porównanie. – Nigdy tak nie myślałam, ale prawdopodobnie masz rację.

– Nadal jesteś w drodze, nadal mijasz...

– Co mijam? – spytała ostro, zapominając zupełnie o unikaniu wrogości.

– Kathy, wcale nie chciałem cię dotknąć – zastrzegł się natychmiast. – To po prostu spostrzeżenie, próba zrozumienia twego dziwnego postępowania.

– Coś, co próbujesz robić od chwili, kiedy przyjechałeś do ciotki Margaret.

– Raczej bez skutku, dalej jesteś dla mnie zagadką.

– Po co to robisz, przecież to już nie ma żadnego znaczenia.

– Ma. Nazwij mnie próżnym, ale nigdy nie przestałem się zastanawiać, co tobą kierowało i kieruje.

– Nic... – Ale to nie było właściwie tak, przecież na początku kierowała nią miłość, miłość do niego, jeżeli miłość jest dobrym określeniem. Teraz wątpiła, bo jak mogła kochać człowieka, którego ledwie знаła? Dzikie pragnienie nie było przecież miłością, a w takim razie czym? Potrzebą fizyczną, zachwytem, pożądaniem... całym mrocznym kłębowiskiem emocji. Nagle zapragnęła powiedzieć mu prawdę, przynajmniej jej część, ale to było szaleństwo! Łudziła się tam w restauracji, niepotrzebnie wyobraziła sobie, że znów może być coś między nimi, ale jeśli istniała choćby najmniejsza szansa... Musiała zacząć od wyznania prawdy. – Szukałam... ale nie wiedziałam, czego naprawdę chcę.

– Byłaś zbyt młoda, aby wiedzieć – rzekł z nutą krytyki w głosie. – Zbyt młoda, żeby zrozumieć i dostosować się.

Nie zwalaj wszystkiego na moją młodość, zachnęła się, ale nie powiedziała ani słowa. Przecież nie ma żadnej szansy, przeszłość położyła cień na ich wzajemnych stosunkach, on się nie zmienił.

– Niezbyt dobrze nam szło, prawda?

– Masz rację – zgodziła się.

Zjechał na pobocze drogi i zatrzymał wóz.

– Ale coś jednak udawało się nam zawsze, nie zaprzeczysz.

– Nic, co warto pamiętać, nic, co by się liczyło. – Nagle zrobiła się ostrożna. Nie trzeba było wielkiej inteligencji, aby zgadnąć, co miał na myśli, ale nie miała zamiaru pozwolić mu na cokolwiek. Zaciśnęła dłonie i powtórzyła: – Nie wydarzyło się nic, co miałoby znaczenie.

– Tak sądzisz? – Dotknął jej rozpalonego policzka. Delikatnie obrócił jej twarz do siebie. – Sądzisz, że to nie ma znaczenia? Wzajemne pożądanie? – Uwodzicielski głos hipnotyzował ją, pozbawiał woli oporu. – Naprawdę uważasz, że to się nie liczy?

– Nigdy nie liczyło się dostatecznie – zdobyła się jeszcze na próbę wytłumaczenia mu, co myśli, ale brzmiało to zbyt słabo. Znów ożyła przekłeta irracjonalna gorzko-słodką nadzieją. Przez zaciśnięte gardło szepnęła: – Nadal nic nie znaczy...

– Nie wystarczy, żebyśmy byli razem, być może. – Wsunął palce w jej włosy. – Ale wystarczy do wzajemnej fascynacji. – Musnął wargami jej twarz, cofnął się i

jeszcze raz pocałował ją mocniej w usta. – To było zawsze fantastyczne, nie zaprzeczysz – powiedział cicho.

Jeszcze raz próbowała ostatnim wysiłkiem woli i rozsądku powstrzymać go.

– To nie miało znaczenia.

– To nie musi mieć znaczenia. – Ustami dosięgnął jej skroni, policzka, niewiarygodnie wrażliwego płatka ucha. – Na tym polega całe piękno. Nie możemy zachowywać się jak romantycy, wypatrujący gwiazd... – Złożył gorący pocałunek na jej ustach i jeszcze jeden, lecz tym razem powoli i z namysłem. Nadzwyczajne doznanie, pierwsze – niczym odkrycie, drugie – jak narastająca znajomość. Pewnie prowadził miłosną grę, pieszcząc ją, aż wyczuł ledwie wyrażoną, uległą odpowiedź. Dopiero wtedy rozchyliła usta, wziął je w posiadanie, wprowadził w mroczne misterium pożądania.

– Tak – powiedział, a kiedy przytuliła się do niego bezsilnie, przyciągnął mocniej w objęcia. Pograżyła się w czystej zmysłowości, której pragnęła od początku. Nie było sensu walczyć, nie teraz. Wiedziała, że jest zgubiona, nie miała wyboru, ulegając, poddając się zreczności tego... gwałtu. Drżała, gdy pieścił jej ciało, i każdym nerwem czuła jego dłonie folgujące sobie w powolnej podróży. Wstrzymała oddech, kiedy wsunął ręce pod sweter, i nie umiała powstrzymać cichego okrzyku rozkoszy, gdy delikatnie, prawie jak skrzydłami motyla, musnął piersi.

– Och, tak – westchnęła. Wtuliła się mocniej w objęcia, obejmując go za ramiona i głaszcząc wolną ręką twarz Reida. Drugą dłonią bawiła się niecierpliwie guzikami jego koszulki, aż palce odnalazły ciepło skóry i wyczuły szybki rytm serca.

– Znakomicie, Kathy – rzekł i słabo, jakby z dalekiej odległości, rozpoznała nutę szyderstwa. To nie był nowy początek, pomyślała z rozpaczą, to tylko chcica, a z jego strony gra i zwycięstwo, łatwe zwycięstwo. Do diabła z nim! Nienawidziła siebie w tej chwili za brak zdolności oporu, kiedy usta Reida spoczęły na jej szyi. – Rozumiesz? – Nadal kpił z niej, ale ona nie mogła się opanować, wyprężyła się mocniej ku niemu. Gładziła jego włosy, instynktownie przyciągała bliżej.

– Zawsze tak było, prawda, Kathy?

– Tak – przyznała bezradnie. – Tak. – Duma legła w gruzach, ale i jego oddech był urywany, kiedy pieścił jej piersi.

– To się nie zmieni, Kath – obiecywał. Czy raczej ostrzegwał, przemknęło jej przez głowę, lecz tylko na ułamek sekundy. Oszłomił ją ogień jego dotyku. – Zawsze tak było i zawsze tak będzie, ale... nie teraz. – Oddalił się, wycofał na swoje siedzenie. Zostawił ją samą; patrzyła na niego szeroko otwartymi zdumionymi oczami. – Nie w tym wozie, Kath – wyjaśniał niemal czule, mimo ironii w głosie. – Teraz jesteśmy już oboje dorośli. Nie ma konieczności robić takich rzeczy szybko i w niewygodnym ciasnym wnętrzu sportowego samochodu na poboczu drogi.

– Rozumiem. – Starła się nadać głosowi chłodne brzmienie. Wygładziła sweter. – Co masz na myśli? Masz zamiar wpęłzać codziennie do mojego pokoju,

kiedy Emma pójdzie, a ciotka Margaret zaśnie?

– Jeśli wolisz, możesz zakradać się do mnie.

– Prędzej spotkamy się w piekle! Mówiłam ci, że nadal tego nie chcę, nie chcę!

– Kathy, jak możesz tak mówić, skoro jesteś taka... chętna?

– Uwiodłeś mnie, jesteś w tym mistrzem, ale to nie jest komplement!

Odwrotnie! Ale jeśli odważysz się przyjść do mojego pokoju, usłyszysz naprawdę coś obraźliwego! Naprawdę!

– Ależ jesteś buńczuczna, nie poznaję cię! Ale mówiąc poważnie, nic na to nie poradzisz, szkoda, że brak ci odwagi przyznać się.

– I nigdy tego nie zrobię!

– Nigdy, kochanie, to bardzo dużo czasu.

Włączył silnik i wyjechał na szosę. Kathy siedziała bez ruchu, wściekła na niego i siebie. Jego biegłość przeciw jej słabej woli. Głupia! Jeszcze miałam nadzieję... Czy niczego się nie nauczyłam? Przecież dawno temu rozwił moje złudzenia, skrzywdził na całe życie. Powinam zdawać sobie sprawę, że nie ma miejsca na jakąkolwiek nadzieję. Przez osiem lat miałam dość czasu, żeby pogodzić się z tym faktem.

W oddali zaczęły przeblyskiwać pierwsze światła East Hawley. Pora, w której wszyscy już śpią, środek nocy. Jednak ciotka chyba jeszcze się nie położyła.

Okna domu jarzyły się jasnym blaskiem, a na parkingu stał jakiś samochód.

– Mamy towarzystwo – zauważył Reid. – Obca rejestracja.

Przytaknęła i utkwiała wzrok w samochodzie. To niemożliwe, nie teraz, nie dzisiaj!

– To Malcolm.

– Tak myślałem – ucieszył się, nie wiadomo dlaczego.

– Będzie interesująco, zwłaszcza gdy okraszisz sytuację tłumaczeniami.

– Jakimi tłumaczeniami? Żartujesz?

– Po pierwsze, dlaczego jesteśmy tak późno i dlaczego...

– zrobił pauzę – twoje włosy są tak potargane.

– Nie są!

– Ależ tak, są. Pozwól, pomogę ci. – Zmusił ją do zaakceptowania nie chcianej pomocy. Wygładził jej włosy.

– No... Teraz lepiej, chociaż są nadal troszeczkę grzeszne...

Kathy, ty się rumienisz?

– To twoja wina!

– Nadal to we mnie wmawiasz, ale ja ci nie wierzę, może Malcolm uwierzy.

– Och, do cholery! – szarpnęła z furią drzwiczki auta.

– Czy ty przynajmniej możesz zachowywać się jak dżentelmen, dopóki on tu jest?!

– Czyż nie postępuję tak zawsze? – odpowiedział z miną niewiniątka i dodał: – Dobrze, ale mam wątpliwości, czy drogi Malcolm zechce być dżentelmenem wobec mnie...

– Nie bądź taki dowcipny – warknęła.

Wyszła trzaskając drzwiczkami. Sytuacja była zupełnie beznadziejna, najbliższe godziny przyniosą katastrofę, wszystko przez Reida. Nie wystarczyło mu, że zrujnował jej życie osiem lat temu, teraz znów pokazywał, co potrafi. Tak ciężko pracowała, aby mieć dobre układy z Malcolmem, który był taki... bezpieczny. Teraz już nic nie miało znaczenia. Westchnęła. Reid był już przy drzwiach. Z ironicznym grymasem na ustach przepuścił Kathy przed sobą.

Rozdział 7

Malcolm i ciotka Margaret siedzieli po przeciwnych stronach kominka, ona w swoim ulubionym bujanym fotelu, on na drewnianym krześle, tym samym, które przywłaszczył sobie Reid owego wieczora, kiedy niespodziewanie przyjechał. Wtedy, jak pamiętała, był taki władczy, że drewniane krzesło bardziej przypominało tron... ale Malcolm nie zdołał osiągnąć takiego efektu.

Malcolm: średnio przystojny, umiarkowanie wysoki, o umiarkowanie brązowych włosach i oczach, zwyczajnych rysach twarzy. Nic widowiskowego, nic olśniewającego, nic szczególnego do zapamiętania. Malcolm był, no cóż, przeciętny i to spostrzeżenie sprawiło Kathy przykrość. Żałowała, że nie mógł równać się fizycznie z Reidem.

Zawsze ceniła przeciętność Malcolma, gdyż po doświadczeniach z mężczyzną o wspaniałej powierzchowności wydawało się jej, że zwyczajność gwarantuje bezpieczeństwo. Dlaczego więc teraz irytowała ją ta cecha? Przecież to nie wina Malcolma, że jest taki przeciętny, tak przygnębiająco pospolity. To zwykle świństwo winić go za brak atrakcyjnej powierzchowności i olśniewającej prezencji. Postanowiła wynagrodzić mu krzywdzące spostrzeżenia szalonym entuzjazmem, z jakim go przywitała.

– Malcolm! Nigdy bym się nie spodziewała! Co za niespodzianka! – Weszła prędko do salonu, nie wając się spojrzeć na Reida. – Ach, gdybym wiedziała, nigdy bym się nie spóźniła tak paskudnie!

– Niestety, to moja wina – wtrącił gładko Reid, wchodząc do salonu. Stał obok Kathy, co natychmiast ją zdenerwowało. Zachowywał się tak, jakby byli razem! Ale rzeczywiście byli, cały dzień, zmitygowała się. – Widzi pan, nalegałem, aby zjeść obiad w Bennington. Potem, w drodze powrotnej do domu, byliśmy pochłonięci... – przerwał, a Kathy zamarła, przekonana, że zaraz powie coś okropnego – ... dyskusją o renowacji kościołów – dokończył i zrobił przeproszącą minę. – Wiedza Kathy jest ogromna, a temat tak fascynujący, że zasłuchany zgubiłem drogę. Przez ostatnie dwie godziny błądziliśmy po Parku Narodowym, po jakichś dzikich zakątkach, Bóg wie gdzie. Nazywam się Reid MacAllister. – Zrobił krok w kierunku Malcolma i wyciągnął rękę. – A pan musi być Malcolmem.

– Tak – rzekł Malcolm i wstał, niepozorny przy ogromnym wzroście Reida. Uścisnęli sobie ręce. – Malcolm Drurry. Mogliście się państwo łatwo zgubić, jeśli pojechaliście tą samą drogą co ja. To niezbyt cywilizowane strony.

– Prawie wcale – przyznał Reid łaskawie, zerkając z ukosa na Kathy. – I niezbyt dobrze wychowani ludzie, jak niedawno dała mi do zrozumienia Kathy...

– Kathy – rzekł Malcolm, uśmiechając się do dziewczyny, nie zauważając przy tym, jak jej spojrzenie zderzyło się z twardym wzrokiem Reida – podobnie jak ja, przywykła bardziej do Południowej Nowej Anglii, która jest, jeśli można się tak wyrazić, bardziej kulturalną okolicą.

– Tak jest – przytaknęła chętnie ciotka Margaret. Jej jasne błękitne oczy

pociemniały, dostrzegła niemą walkę, którą przeoczył Malcolm, i teraz użyła znacznych umiejętności, aby ratować sytuację. – To właśnie dlatego Reid odwiózł Kathy do Bennington. Nie był pewien, czy jej samochód nadaje się na niebezpieczną podróż.

– Od ponad roku mówię, żeby kupiła sobie nowy samochód, ale jakoś nie mogę jej namówić – powiedział Malcolm.

– Nowy samochód dużo kosztuje – zauważył Reid z namysłem, a Kathy zeszywniała, spodziewając się jakiejś złośliwości z jego strony i doczekała się. – Może ona czeka na podwyżkę?

– Wątpię – odparł Malcolm obojętnie, nie zauważywszy, że Reid go ukąsił. – Płacę Kathy bardzo dobrze, a ona jest rozsądną dziewczyną, kiedy chodzi o wydawanie pieniędzy, bardzo...

– Na litość boską! – przerwała Kathy, wściekła na nich obu. – Czy możecie przestać mówić o moich finansach? To moja sprawa, a nie wasza!

– Myślę, że Kathy ma rację – zauważyła ciotka Margaret, wylewając oliwę na wzburzone fale. Wstała i rzekła z naciskiem: – Sądzę, że wszyscy jesteśmy zmęczeni. Z pewnością pan Drurry musi być wykończony po tak długiej podróży...

– Obawiam się, że zbyt długo już tu się zasiedziałem – rzekł Malcolm grzecznie.

Dobre wychowanie, coś czego brakowało Reidowi i co zmusiło go do powstania z miejsca po uwadze ciotki Margaret, pomyślała Kathy.

– Dziękuję za wyjątkowo miłe przyjęcie z pani strony.

– Ja również miło spędziłam wieczór, dowiedziałam się tylu interesujących rzeczy, ale sądzę, że po tak długim oczekiwaniu na Kathy chciałby pan z pewnością spędzić z nią parę chwil na osobności. Przeto mówię państwu: dobranoc. – Spojrzała znacząco na Reida.

– Tylko przypilnuję ognia, oszczędzę Kathy troski, czy kominek jest dostatecznie ciepły na noc.

– Reid bardzo lubi kominki, zostawmy go zatem tutaj, a ja odprowadzę cię do samochodu. – Kathy wzięła Malcolma za ramię i niemal wywlokła go z pokoju. – Doskonale, że przyjechałeś – powiedziała, żeby cokolwiek powiedzieć, żeby wypełnić pustkę stworzoną przez jego sztuczne milczenie.

– I ogromnie mi przykro, że tyle czasu nie było mnie tutaj. Gdybym wiedziała, że przyjedziesz...

– To prawda, nie pomyślałem, że przecież trzeba najpierw zadzwonić. – Wkładał płaszcz i kalosze. Kalosze? Czy był jeszcze jakiś mężczyzna noszący kalosze? – Kiedy dowiedziałem się, że nie wróciłaś do Providence, do biura – mówił z wyrzutem – w obiecany termin, doszedłem do wniosku, że odkąd ta sprawa, ten kościół stał się taki ważny dla ciebie, nie dotrzymujesz słowa. Nigdy bym się nie spodziewał, że cię nie zastanę, bo pojedziesz sobie na jakąś wycieczkę dla przyjemności.

– To nie była żadna wycieczka. – Zadrżała, kiedy wyszli na dwór. Zabawne, przedtem nawet nie zauważyła chłodu, gdy szli tędy z Reidem. Była zbyt

zdenerwowana i rozgrzana, aby zwracać uwagę na ziąb... – Czy ciotka nie ci nie wyjaśniła? Pojechałam do Bennington, żeby obejrzeć stary kościół, jedno z dzieł Fillmore'a, podobnie jak ten nasz. Musiałam sfotografować parę detali. Potem poszłam do muzeum miejskiego, o tym ciotka nie wiedziała, posiedziałam tam trochę dłużej, a potem...

– A potem na obiad. – Dezaprobata Malcolma była oczywista. – Nie mam pojęcia, dlaczego tracisz czas z tym facetem.

– Wcale nie traciłam czasu. On odwiózł mnie do Bennington, ponieważ mój samochód nie nadaje się do jazdy po tutejszych drogach. Byłam poza tym cały czas sama.

– Z wyjątkiem obiadu.

– Owszem. Spędziłam tyle czasu w muzeum, że nie mogliśmy wrócić o umówionej porze do domu...

– On już wcześniej zaplanował obiad, pani Pearson mi powiedziała.

– Ja nie wiedziałam, nikt mi tego nie mówił. Malcolm, naprawdę nie wiedziałam, że tak się zasiedzę w bibliotece. Nie zmyślam, przecież nie warto się kłócić.

– Wcale się nie kłócimy, ale cała rzecz jest kłopotliwa. Mijałem dzisiaj Bennington, gdybym wiedział, że tam jesteś, mogłem oszczędzić sobie trochę czasu. Moglibyśmy już być w Providence.

– W Providence? Nie miałam zamiaru dzisiaj wracać.

– Ale ja po to przyjechałem, żeby zabrać cię do domu. Rozumiesz? – Zmarszczył brwi, zdumiony, dlaczego dla niej nie jest to takie oczywiste. – Skończyłem sprawy w Peeksill i pomyślałem, żeby tu przyjechać, że to dobry pomysł wypłatać cię z tego nonsensu...

– Malcolmie, ten kościół nie jest nonsensem!

– Ależ jest, przynajmniej dla ciebie, jesteś potrzebna w biurze. Masz kupę roboty na jutro rano.

– Mam tu zobowiązania!

– Kathy, to nie jest twoja praca.

– Ale obiecałam pomóc!

– Nie miałaś prawa, mówiłem ci.

– Malcolmie...

Jak to wszystko mogło pójść tak źle? Zapomniała na moment, że w ciągu tego tygodnia parokrotnie życzyłaby sobie nieugiętego stanowiska Malcolma – byłaby to dobra wymówka, żeby wyjechać i zapomnieć o Reidzie. Ale to już minęło, a teraz rozkazy Malcolma trafiały w próżnię. Mężczyzna wydaje rozkazy, to nieżnośne.

– Słuchaj, mam zamiar wykonać tę pracę do końca. Dałam słowo i dotrzymam przyrzeczenia!

– Ale ty masz swoją pracę – przypomniał jej, zirytowany. – Nie możesz dogadzać swojej próżności donkiszoterią, pustymi gestami. Masz pracę, o której powinnaś myśleć przede wszystkim.

– Przez jakiś czas możesz popracować sam, dasz sobie radę – przekonywała go, aż raptem, w samą porę, przypomniała sobie koronny argument. – Poza tym wiesz, że nigdy nie brałam wolnego dnia. Od sześciu lat, odkąd jestem w firmie, ani jednego. Malcolm! To dla mnie bardzo ważne, ja chcę to zrobić.

W mroźnym nocnym powietrzu zapadła długa cisza. Wreszcie przerwał ją Malcolm:

– Porozmawiamy o tym jutro...

– Jutro? Myślałam, że wracasz do Providence.

– Miałem taki zamiar, ale teraz jest już za późno. Ponieważ ty i ten twój facet zajmujecie dwa pokoje gościnne, pani Pearson była tak miła, że załatwiła mi nocleg w motelu, dziesięć mil stąd. Zapewniła mnie też, iż droga nie jest tu najgorsza. Wrócę rano i ustalimy, co dalej.

– Nie rano. Nie będzie mnie tu już po siódmej. Będę w regionalnej szkole średniej...

Malcolm westchnął, jego cierpliwość wyczerpała się.

– Co u diabła ma tutejsza szkoła średnia do spalonego kościoła?

– Jeden z nauczycieli historii zgodził się, żebym wzięła kilku uczniów do wydobywania rzeczy z piwnicy.

– Do czego? – powtórzył podniesionym głosem. – Czy ty aby nie przesadzasz? '

– Nie dowiem się tego, aż te rzeczy nie zostaną zabrane w bezpieczne miejsce. Trzeba wymienić część fundamentów, tam będzie zainstalowane ogrzewanie podłogowe, to mój pomysł...

– Oszczędź mnie – mruknął Malcolm z oczami wzniesionymi ku niebu. – Usłyszałem już o wiele za dużo na temat tego kościoła, a jest cholernie zimno. Powiedz mi, kiedy będę mógł się z tobą znowu zobaczyć? Przyjechałem tutaj na próżno...

– Gdybyś najpierw zadzwonił...

– A teraz muszę wracać sam. – Nie zwrócił uwagi na próbę tłumaczenia. – Spróbuję poradzić sobie, ale zupełnie mi się to nie podoba!

– Mnie również – usiłowała go uspokoić. – Wrócę jak najszybciej. Dobrze, Malcolm? Proszę cię, tak bardzo mi przykro! Naprawdę nie chcę sprawiać ci kłopotów, ale ten kościół jest dla mnie wyjątkowo ważny i muszę, muszę dokończyć to, co zaczęłam. Z pewnością po tych wszystkich latach pozwolisz mi chociaż na tę jedną rzecz? – Przybrała jak najmiłszy ton głosu, żeby go udobruchać. Ogromna cena za nie swoje winy, pomyślała, ale musiała koniecznie przekonać go, uzyskać wyraźną zgodę.

– Tak... może. – Był zakłopotany, ale uśmiechnął się.

– Po prostu chodzi o to, że nie lubię czegoś tak... tak nieoczekiwanego. Przecież moje plany legły w gruzach. To naprawdę jest irytujące, potrafisz mnie zrozumieć, prawda?

– Oczywiście. – Posłusznie kiwnęła głową, odwzajemniając uśmiech, zadowolona, gdy ujął jej dłoń zimną ręką. – I przecież jesteśmy w kontakcie – przypomniała mu słodkim głosem, gotowa być teraz hojna. – Malcolm, gdyby

nastąpiły jakieś komplikacje, z pewnością wrócę najwyżej za parę dni. Postaram się skończyć swoją pracę tutaj jak najprędzej.

– Rozsądnie mówisz, podoba mi się to, jesteś moją dobrą dziewczyną. – Nareszcie był zadowolony, uściskał jej dłoń.

– Mam nadzieję, że różne szczegóły opracujemy razem, a tymczasem... hm, po prostu nie pozwól temu facetowi, MacAllisterowi, żeby ci zawrócił w głowie.

– Oczywiście, że nie. Ja nie... – zaczęła niezręcznie tłumaczyć, ale przerwał:

– Dobrze, nie powiem, żeby on mi się podobał, ale ty jesteś bardzo młoda, Kathy... młoda, ulegasz wrażeniom. Nie chcę, żeby on mi ciebie ukradł.

– Nie, to niemożliwe. – Malcolm postawił ją w niezręcznej sytuacji, przyparł do muru.

– Ponieważ my dwoje stanowimy naprawdę dobry zespół – dokończył stanowczo, pochylił się i pocałował ją.

Stała niezdolna do poruszenia się. To nie było tak, jak być powinno, pomyślała z żalem, trzeźwa i chłodna mimo pocałunku. Zdarzało się już wcześniej, choć rzadko, że Malcolm ją całował, ale przecież nigdy w ten sam wieczór, kiedy była całowana przez kogoś innego. Nie pocałowana, ale całowana... Zakłopotowało ją to, że Malcolm wypadł blado w porównaniu z Reidem. Pocałunki Malcolma, hm... nie elektryzowały tak jak pocałunki Reida, dotykały ust, ale nie poruszały, nie robiły nic przyjemnego.

– No, to wszystko ustalone! – powiedział wyraźnie zadowolony. – Do zobaczenia niebawem, moja droga!

Skinęła głową bez słowa. Patrzyła, jak wsiada do samochodu, włącza silnik i powoli wyjeżdża z podjazdu.

Mimo dojmującego zimna czekała, aż samochód rozplynie się w ciemności, i dopiero wtedy wróciła do domu.

Najpierw sprawdziła, czy w salonie pali się światło. Było ciemno, w takim razie Reid poszedł już do swojego pokoju i nie mógł być świadkiem czułości Malcolma; świadomość, że nie narazi się na żadne uwagi sprawiła jej ulgę.

Drżąc z zimna weszła do domu i skierowała się od razu do salonu, aby sprawdzić, czy Reid pozostawił w kominku dogasające drewno.

Trzymała ręce nad prawie wygasłym paleniskiem, zmarzła bardzo podczas rozmowy z Malcolmem. Pozyskała co prawda jego niechętną aprobatę, ale zajęło jej to bardzo dużo czasu. Palce zdrętwiały z zimna, a usta nosiły ślad jego zimnego cmoknięcia.

Pamięć tych ust, chłodnych i obojętnych, bez życia, nie poruszyła jej bardziej niż sam pocałunek. Chociaż naprawdę niczym się nie różnił od innych wymienionych z Malcolmem. Rzecz w tym, że nie wymieniali pocałunków, Malcolm ją całował, a ona tylko... Przyjmowała? Akceptowała? Znosiła to, co robił?

Malcolm był całującym, ona całowaną! Zachichotała rozbawiona konkluzją.

– Co cię tak rozśmieszyło?

Głos Reida, zaciekawiony i znużony, przeszył ją jak oszczep, skamieniała w

jednej chwili. Odwróciła się powoli od ognia i spojrzała w tamtą stronę.

Ledwo widoczny w głębokim mroku, wyciągnięty na kanapce, z ramionami skrzyżowanymi pod głową, cały czas tu był i wszystko widział, do diabła!

– Ty! – syknęła. – Co ty tutaj robisz?!

– Odpoczywam... przy ogniu. Czekałem na ciebie.

– Dlaczego?

– Och, możesz mnie nazwać ciekawskim, możesz uważać, że to nic mnie nie powinno obchodzić, bo to nie moja sprawa, ale zastanawiałem się, co zamierzasz zrobić z Malcolmem?

– Zrobić?!

– Tak jest. – Usiadł. – Odprowadziłaś go, tak po prostu, co? A może jest w tym coś więcej? Jeśli to prawdziwy romans, to czy raczyłaś go poinformować, że jesteś... mężatką?

– Szpiegowałeś mnie!

– Obserwowałem – sprostował z naciskiem. – I każdy przyznałby mi do tego prawo. Bo czy można obwinać męża za to, że chce wiedzieć, czy jego żona całuje się z innym facetem?

– Nie jestem twoją żoną!

– Kiedy sprawdzałem ostatnim razem, jeszcze nią byłaś, a może podjęłaś już starania o rozwód? Bo jeśli tak... – Wstał nagle i podszedł do niej z gniewem malującym się na twarzy. – Pasowałyby to do ciebie! Jedna z tych wyspiarskich specjalności, cichy i szybki rozwód!

– Tak jak i szybki ślub, który zaaranżowałaś!

– Ach, pamiętasz? A już myślałem, że zapomniałaś o takim drobiazgu.

Nie, nie zapomniała, jak mogła? Próbowwała jednak usunąć małżeństwo z pamięci i prawie jej się to udało. Ale było jeszcze coś, co dawało nadzieję.

– Przecież to nie był legalny ślub – powiedziała powoli i wyraźnie. – Dlatego nie zadawałam sobie trudu z rozwodem!

– Mylisz się – odparł spokojnie, opierając dłoń na gzymsie kominka tuż obok jej głowy. – To był prawdziwy ślub.

– Ale udzielano go w języku... niderlandzkim! Nie jesteśmy Holendrami, przynajmniej nie ja! Ja nie rozumiałam ani jednego słowa!

– W świetle naszego prawa wszystko jest w porządku, wiedziałaś, o co chodzi i dlatego ślub jest ważny.

– Ale... – Zaniemówiła na chwilę. – Zorganizowałaś wszystko tak szybko, byliśmy na wyspie zaledwie parę godzin... Kiedy wróciłeś i powiedziałeś mi... a potem, to tak szybko poszło...

– I co z tego?

– Trudno mi uwierzyć, że na Curacao panuje aż taka swoboda... Że można przyjechać i tak zwyczajnie, po paru godzinach wziąć ślub. Musiałeś coś zrobić...

– Przyparłem cię do muru, czy tak? – podsunął usłużnie, ale w jego zimnym spojrzeniu nie było nic przyjaznego.

– Chcesz powiedzieć, że cię zmusiłem i jeszcze dałem komuś w łapę? Tak? To

chcesz powiedzieć?

– Musiałeś coś takiego zrobić.

– Ach, Kathy, przecież znasz mnie tak dobrze – szydził.

– Oczywiście, że to zrobiłem.

– W takim razie to nie było legalne – triumfowała. – Jeżeli gdzieś skłamałeś, to cała sprawa jest nieważna! Mogłabym to udowodnić...

– Niczego nie dowiedziesz. Załatwiłem wszystko tak, że nikt nigdy się nie dowie... Sprawdzali papiery. Dokładnie sprawdzali, ale jak nie wierzysz, przeczytaj nawet dziennik pokładowy jachtu, na którym tam przyplłynęliśmy. Zobaczysz, że zacumowaliśmy w Curacao na tyle wcześnie, aby spędzić wymagany czas. Powiem ci nawet, w jakim hotelu się zatrzymaliśmy. Z pewnością mają tam listę gości, zobaczysz, ile spędziliśmy razem nocy... Możesz mnie podziwiać, zadbałem o każdy detal. Kathy, jesteśmy legalnym małżeństwem.

– Ale dlaczego? – Chciało jej się płakać. – Po co zadałeś sobie tyle trudu?

– Po to, żeby cię chronić przed podejrzeniami o podróżowanie z nieznanym mężczyzną – rzekł z cynicznym uśmiechem. – Żona, to co innego, wierz mi.

– Naprawdę? Jesteś niewiarygodnie wspaniałomyślny.

– Prawda? Ale nie warto było się tak wysilać... jak się później okazało.

– To dlaczego nie rozwiodłeś się ze mną? Miałaś tyle okazji w ciągu tych lat?

– Ponieważ nie chciałem i jak teraz widać, ty też nie chciałaś. Myślę, że dobrze się rozumiemy. Kathy, małżeństwo daje poczucie bezpieczeństwa; dopóki jest się w związku z drugą osobą, istnieją hamulce psychiczne przed nic nie znaczącymi przygodnymi kontaktami.

– To mogło mieć znaczenie dla ciebie! – wypaliła bez zastanowienia.

– Milutka jesteś, podziwiam cię.

– Mało mnie to obchodzi. Nie rozumiemy się dobrze, wcale nie jesteśmy do siebie podobni! Nie myśl nawet przez chwilę, że to, co kierowało tobą, powodowało również mną. Ja nie miałam zamiaru unikać odpowiedzialności. Zabawiać się czymś kosztem.

– Nie? A Malcolm? Przecież bawisz się jego uczuciem.

– Absolutna bzdura – zaprzeczyła ze wspaniałą obojętnością wobec oczywistej prawdy. – Razem pracujemy, jesteśmy przyjaciółmi i to wszystko!

– Ale czy on o tym wie? – zapytał Reid słodko. – Naprawdę nie wiedziałem, że przyjaciele całują się przy rozstaniu po pracy. Czy to jakaś nowa moda? Chociaż...

– zawiesił głos i badawczo zerknął na Kathy – ... ty chyba nawet nie zauważyłaś, jak cię cmoknął. Nie poruszyło cię rozstanie z przyjacielem z pracy, a może ty go nie lubisz? Nie czujesz do niego sympatii, nie mówiąc już o czymś takim jak instynkt, co? Albo magia czystej namiętności... – Przerwał, aby odgarnąć pasmo włosów z jej purpurowego policzka, a potem mówił dalej, wciąż uśmiechnięty: – Cokolwiek jest między nami, nie wiem, czy słowo „czar” będzie tu dobrym określeniem, nic takiego nie ma między tobą a Malcolmem. Myślę, że zdajesz sobie z tego sprawę. Myślałaś, że pocałunki Malcolma są fantastyczne, ale teraz miałaś okazję porównać i przekonałaś się, że drogi Malcolm jest tragicznie nudny.

– Nie muszę tego słuchać.

– Musisz, musisz. – Przyparł ją do kominka. – Przyjazd Malcolma wyjaśnił jedną rzecz. Teraz już wiesz, że on nie jest dla ciebie.

– O co ci chodzi? Reklamujesz się?

– Przez porównywanie siebie z nim? O nie, Malcolm jest zapewne wzorem wszelkich cnót, ale jako mężczyzna, z którym ewentualnie miałbym przegrać, konkurując o ciebie, odpada w przedbiegach.

– Więc dlaczego masz coś przeciw niemu?

– Bo jesteś moją żoną i nie pozwolę nikomu zabierać tego co moje.

– Nie jestem twoja!

– Ale będziesz. Najpierw jednak skończymy z tą sprawą, z drogim Malcolmem. Potem będziesz już tylko moja. Odsunął się od niej, włożył ręce do kieszeni i wycedził: – Odpocznij, Kath, jesteś tej nocy bezpieczna, wybacz, ale nie będę się zadowalał resztkami po kimś.

– Ja nie jestem... – Ale wiedziała, że była. Czyż nie? Czuła jeszcze pocałunek Malcolma na wargach i pomyślała, że nie należy do żadnego z nich. Ogłuszona wyszła z salonu.

Gdy kładła się spać, nie mogła przestać myśleć o Reidzie, choć tak bardzo tego nie chciała. Uciekła od niego, ale nie od wspomnień.

W dniu, w którym dobili do Curacao, nadal nie była pewna ani siebie, ani Reida. Męczył ją narastający strach. Pamiętała, że wszystko, co jej obiecał, to transport na Curacao. To, co dla niej równe było całemu światu, mogło nie być tym samym dla niego.

Wcześniej znalazł małą nie zamieszkaną wysepkę. Zakotwiczyli tam, aby w długie słoneczne dni i aksamitne gorące noce poddawać się wzajemnej miłosnej magii. Kochali się bez ograniczeń i zahamowań. Ona, która dotąd nie знаła mężczyzny, szybko przyzwyczała się do zasypiania w ramionach Reida i budzenia się o świcie lub zmroku, aby znów się kochać. Błyskawicznie nauczyła się robić to tak samo biegle jak on. Wiedziała już, jak przyciągnąć go do tego samego magicznego brzegu rozkoszy, pożądania i pragnienia, jak całkowicie dzielić nie kończący się czas spełnienia.

Mówiła mu bez końca, jak bardzo go kocha, ale nie wiedziała, nie była pewna, co on czuje.

Obserwowała jego zwięzione źrenice, gdy wpływali do portu.

– Poczekaj tutaj. Muszę pojechać do miasta załatwić parę spraw.

– Nie mogłabym pójść z tobą? – Walczyła z narastającym lękiem.

– Tym razem nie, ale bądź spokojna, za parę godzin będę z powrotem.

Zajął mu to trzy godziny, najgorsze trzy godziny w życiu Kathy. Każda minuta przynosiła najczarniejsze przypuszczenia. Co on robi, myślała obsesyjnie. Organizuje jej tutaj miejsce pobytu, może nawet pracę? Chce ją zostawić i mieć czyste sumienie? Co on teraz robi?

Serce jej zamarło, gdy go zobaczyła, bała się westchnąć, zanim nie wszedł na

pokład.

– Pora na rozmowę. – Zeszli do saloniku. – Musimy się naradzić.

– Wiem. – Spojrzała na dłoń Reida, którą położył na jej ramieniu. Zapamiętaj to, pomyślała. Kiedy on odejdzie i będziesz sama, pamiętaj jego dłoń na swoim ramieniu, że był z tobą, że byłaś szczęśliwa... Zdobyła się na odwagę i zapytała: – Zostawiasz mnie tutaj?

– Po tym, co się zdarzyło, nie mogę. Zaopiekuję się tobą. Nie chciałem, żebyś tak głęboko się zaangażowała...

– Wiem. – Skinęła głową. Wziął ją za rękę, a ona bała się poruszyć, aby nie zniszczyć delikatnej równowagi ostatnich wspólnych chwil. – Przepraszam.

– Tobie jest przykro. – Wziął Kathy w ramiona. – Dlaczego jest ci przykro? Powinienem być wiedzieć, że byłaś niewinna.

Dlaczego? Zagryzła usta, żeby nie krzyknąć. Zakochała się, a on tylko powiedział, że powinien być wiedzieć o niewinności.

– Wszystko w porządku. – Próbowwała przynajmniej ocalić dumę. – Myślę, że w tych okolicznościach... to było do przewidzenia... ale nic złego się nie stało.

– Jesteś pewna? – W jego głosie pojawiła się ironia. – Nie jesteś przypadkiem w ciąży?

– Nie – szepnęła. – To niemożliwe. – Walczyła z paniką. Czy rzeczywiście niemożliwe? Nie pamiętała terminu ostatniej miesiączki... – Myślę, że to mało prawdopodobne. – Wysiliła się na lekceważący tembr głosu.

– Jest szansa, że nie – powiedział poważnie, wręcz smutno. Objął ją. – Ale między innymi dlatego załatwiłem sprawy związane z naszym ślubem.

– Ślubem? – powtórzyła i wybuchnęła płaczem. – Czy ty masz na myśli... małżeństwo?

– Naturalnie! A co myślałaś?

– Nie wiem, ja myślałam, że chcesz mnie tu zostawić.

– Niemądra dziewczynka, jak mogłaś tak myśleć, przecież wszystko między nami jest wręcz cudowne.

Uśmiechnęła się przez łzy. Wierzyła mu, ale nie miała pewności. Niemądra dziewczynka, powiedział o niej, miał rację.

– Czas na ślub – powiedział później, kiedy leżeli razem. – Za godzinę wrócimy i będzie jeszcze lepiej. Uwierzyła mu bez zastrzeżeń.

Teraz, sama w sypialni, widziała całkiem jasno, że między nimi nie było nic, tylko siła instynktu... siła instynktu i złudne role, jakie nawzajem sobie przypisali. Reid grał obrońcę, to dawało mu satysfakcję, a ona... z radością dawała się chronić i prowadzić, gotowa służyć mu we wszystkim... I tak było, aż w końcu Reid zmęczył się sytuacją, a ona...

Rozdział 8

Nie minęło wiele czasu i już zaledwie po dwóch dniach od wesela Reid pokazał swoją prawdziwą naturę.

Najpierw kochał się z Kathy z dziką, szaloną intensywnością, która przyniosła obojgu nowe i niewiarygodne emocje, a potem, kiedy burza ucichła, powiedział:

– Czy kiedykolwiek było lepiej?

Odpowiedziało mu aprobujące milczenie. Roześmiał się miękko, muskając oddechem jej policzek.

– I tak powinno być. Najlepszy powinien być... ostatni raz.

– Jaki ostami raz? – zapytała sennie, wciąż jeszcze zbyt oszołomiona, aby zwrócić większą uwagę na jego słowa. – Ostatni raz na łodzi, na Curacao?

– Ostatni raz, zanim pojedziemy do domu – rzekł zwyczajnie. – Jutro wyjeżdżamy, lecimy do Nowego Jorku.

Słyszała jego głos jak przez mgłę wśród ciemnej ciszy.

– Och, nie! Jutro? – Zachnęła się. – Nie zostajemy tutaj?

– Nie, nie zostaniemy tutaj, niemądra dziewczynko. Niestety, nie możemy tu zostać na zawsze.

– Ale już jutro? – przeraziła się.

– Dlaczego nie? Tam jest prawdziwy świat. Wzywają mnie obowiązki. – Odnalazł w ciemności jej usta. – Nie chcę zaniedbywać mojej pracy, muszę cię zabrać do domu... ciebie i magię.

Wyobraziła sobie długie samotne dni bez Reida, drugie puste godziny... Zadrzała, uświadomiwszy sobie, że brak Reida oznaczać będzie nieznośne osamotnienie. Chciała płakać i krzyczeć, ale zdobyła się jedynie na słabiutki protest:

– A co ze mną?...

– Co z tobą? Ach, niemądra dziewczynko, przecież dostaniesz wszystko, czego tylko zapragniesz. Chciałaś większej wyspy i chciałaś zostać kimś, pamiętasz? Będiesz moją żoną. – Pocałował ją delikatnie. – A Manhattan naprawdę jest wielką wyspą, pod każdym względem. Nie martw się, Kathy, będzie świetnie...

Ale nie było świetnie. Szczęście zaczęło przygasać od chwili, kiedy to powiedział.

Wspominała to wszystko z żalem, sama w pokoju gościnnym ciotki Margaret. Odkąd Reid wpadł w jej życie, nie zaznała spokoju. Zapanował nad ciałem i duszą.

Niektóre rzeczy nie zmieniły się, ale ja tak, rzekła do siebie z mocnym przekonaniem o doznanej od niego krzywdzie. Nie jestem już zieloną gąską, którą poślubił! Teraz jestem silna, wykształcona, pewna siebie. Dopóki znowu mnie nie dotknie, dopóki nie zdenerwuje i nie trafi w czuły punkt.

Reid zagryzł wargi, żeby nie zakląć. W obecności ojca Gardinera folgowanie nerwom było absolutnie wykluczone. A Kathy znów zaoponowała.

– To staje się nużące – warknął, z niebezpiecznym błyskiem w oku.

– Naturalnie. – Udawała, że przygląda się drobiazgowo precyzyjnemu projektowi z czystym technicznym pismem Reida. To, że walczyli, nie zaskoczyło jej, ale publiczny pojedynek, który toczyli – męczył ją.

Otoczenie – posępne wewnątrz kościoła, mnóstwo sadzy i zapach spalenizny – działało przygnębiająco, ale najgorsze ze wszystkiego było dokuczliwe zimno. Kathy pomyślała z utęsknieniem o grzejnikach, które kazała przynieść i zainstalować kilka dni temu. Bez ogrzewania ziąb przenikał do kości i ochotnikom groziło, że nie przetrwają dnia bez odmrożeń, albo... że dojdzie do morderstwa, westchnęła, mając na myśli Reida.

A ich kłótnie były tylko jego winą, on je wywoływał. Przecież nalegał, żeby została na miejscu. Byłaby szczęśliwa, trzymając się z dala, lecz on zdecydował inaczej.

– Popracuj lepiej dzisiaj z nami. Musisz mieć pewność, że nie zmarnujemy żadnego z twoich drogocennych rękodzieł – powiedział tego ranka. – Musimy wzmocnić wiązadła galerii, wieżę i podłogę przy prezbiterium. Zajmiemy się kolumnami, damy belki w miejsce... – przerwał, widząc jej zmartwione spojrzenie. – Moglibyśmy narobić piekła z częścią twoich filunków, więc lepiej bądź na miejscu.

Miał rację, przyznała, ale nie chciała dać mu żadnej nadziei, nadal więc wpatrywała się bezmyślnie w rysunek.

– Nie możesz tego zrobić, nie tutaj! – powtarzała z uporem. Była po prostu na niego wściekła za niecierpliwość i protekcyjnalizm, wyprowadzał ją z równowagi sarkastycznymi komentarzami i zjadliwymi dowcipami.

– Naturalnie, nie zamierzam cię powstrzymywać przed zrobieniem tego, co musi być zrobione – zaczęła, zdecydowana wziąć się w garść i użyć zimnej logiki jako broni. – Ale nie pozwolę ci niszczyć sklepień!

– A skąd ci to przyszło do głowy? – przerwał. – Chcę tylko podtrzymać koniec galerii. To nie ma prawa spaść na kogokolwiek, kiedy zaczniemy tutaj pracować.

– Ale nie możesz, nie tym. – Prawie płakała, wskazując oskarżycielsko palcem na brzydkie żeliwo dźwigara. Oczywiście wyobraźni już widziała, jak dźwigar wciągnięty na swoje miejsce niszczy tynk i robi się paskudna łata na sklepieniu, a pełen wdzięku łuk zostanie bezpowrotnie zeszpecony. – Nie możesz! – Zaczerwieniła się. Oderwała zmartwione spojrzenie od łuku, by zerknąć na rysunek. Żadna tam konieczność, ale czysta desperacja jest matką wynalazków.

– A co się stanie, gdy wiązania przytrzymujące galerię damy za filar?

– Po obu stronach filara? – zastanowił się. Opuścił głowę i wpatrywał się intensywnie w rysunek. – Wziąć ciężar tu... i tu... a potem zrobić... tak, to wyjdzie – zdecydował wreszcie. – Chociaż będziemy musieli przenieść rusztowanie. Gdybyś wspomniała o tym łuku wcześniej, inaczej byśmy to zaplanowali.

– Chcesz powiedzieć, że to mój błąd? To dlaczego nie zasygnalizowałeś problemu wcześniej?

– Byłem zajęty – odparł szybko. Według Kathy była to słaba wymówka.

– W porządku – znów przybrała dawniejszy ironiczny ton.

Cała załoga entuzjastycznie kibicowała ich zacieklej kłótni.

Reid skłonił się błazeńsko i z nadmierną powagą obwieścił:

– Pani wydała rozkaz, a my biedne żuczki musimy słuchać. Gdyby pani nie była tak atrakcyjną niewiastą, raczej bym jej nie słuchał...

Przy akompaniamencie zdrowego śmiechu skłonił się Kathy, obdarzając ją sardonicznym uśmiechem.

– Zadowolony jesteś? – zapytała zjadliwie, a on potrząsnął głową.

– Jasne, że nie. – Zbliżył się do niej, objął ramionami i niespodziewanie pocałował w usta, długo i mocno. Miała wrażenie, iż paląca głownia spadła na jej wargi. – Przepraszam, ale nie mogłem się oprzeć – rzekł skromnie.

Twarz paliła Kathy nieznośnie ze wstydu, a na dodatek usłyszała jeszcze radośniejszy i głośniejszy śmiech, a nawet kilka gwizdów zebranych wokół.

– Nie martw się, Kathy.

Oburzona w najwyższym stopniu, uwolniła się z objęć Reida. Bezczelny! Kipiła owładnięta bezsilnym buntem. Ten całus był bezczelny, niewybaczalny i jeśli Reid myśli, że ucieknę... O nie!

Wciąż zdenerwowana czekała na okazję do rewanzu, ale zachowywała ostrożność.

Podnoszono rusztowanie wyżej, zakładano klamry i naprawiano filar, wszyscy byli zajęci ciężką pracą.

– Przerwa! – zawołał Reid. – Przerwa na posiłek i rozgrzewkę!

Już ja go rozgrzeję, obiecała sobie Kathy, trzymając się z tyłu, kiedy cała ekipa opuszczała kościół. Gdy wszyscy wyszli, postanowiła porachować się z Reidem.

– Reid – zaczęła, ale on się nie poruszył, nie usłyszał jej, może nie zauważył nawet jej obecności. Stał z rękoma na składanym drewnianym stoliku, pochylony nad porozkładanymi rysunkami technicznymi. Naprzód, dodała sobie odwagi i podeszła do niego bliżej, aby nie podnosić za bardzo głosu. – Reid – zaczęła znowu. – Chodzi mi o to, co zdarzyło się, kiedy...

– Kiedy cię pocałowałem? – podpowiedział i spojrzał na nią. Oparł się o stół, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. – Co w tym takiego strasznego, przecież nieraz cię całowałem.

– Ale nie w obecności innych!

– Tak? Masz mi za złe, że nie mogłem się powstrzymać? W tobie jest coś takiego...

– Tak. Po prostu miałam rację z tym łukiem, a ty musiałeś zwyczajnie pokazać ludziom, kto tu rządzi!

– Kathy! Naprawdę nie mam takich ambicji. – Oczy miał rozbawione. – Mogę wytrzymać taką porażkę, ale kiedy miałaś lepszy pomysł niż ja... Czy to coś nowego? – dokończył aksamitnym głosem.

– Ja... – Słowa uwięzły jej w gardle. Coś nowego? Tak, musiała to przyznać. Cały ranek traktowali się nawzajem jak partnerzy. Nigdy przedtem tak między mmi nie było, ani na gorącej wyspie, ani w lodowatym Nowym Jorku. Wtedy nie było

miejsca na równorzędne partnerskie układy. Dzieliła ich ogromna przepaść, to zrozumiała. Kathy była tylko prostą młodziutką dziewczyną, a on...

– Ja... – zaczęła znowu, i znów nie mogła skończyć.

– Trudno w to uwierzyć?

– Tak!

– No właśnie... może to wyjaśnia, dlaczego cię pocałowałem.

– Ale dlaczego przy obcych? – odzyskała mowę. – Dlaczego publicznie?

– A dlaczego nie?

– Ja... ja myślę... – zacisnęła marznące dłonie – że to było coś w rodzaju żartu, kpiny, trudno coś takiego znieść na oczach ludzi.

– Dlaczego?

– Bo... – O Jezu! Ręce miała zlodowaciałe, a spojrzenie Reida płonęło, paliło ją, ogień i lód... – Ponieważ to nie było naprawdę dla mnie... Zanim nie dotarliśmy do Curacao...

– Zanim się pobraliśmy?

– Lub zaraz potem. Gdyby to był tylko flirt, romans... gdybyś mnie tam zostawił...

– Nie mógłbym...

– Powinieneś! Wszystko się urwało, wszystko co dobre. – Drżała, próbowała rozcierać dłonie. Dokończyła niemal z płaczem: – Czy musimy o tym teraz mówić?

– Myślę, że nie – przytaknął. – Musi być ci zimno. Ja też marznę, wyjdźmy stąd.

Ale jego dłoń, kiedy podał ją Kathy, nie była zimna, dotyk parzył równie mocno jak spojrzenie.

– Reid... – Cofnęła się.

Reid zachwiał się i nadal trzymając Kathy za rękę, upadł pociągając ją za sobą.

Kłęcząc podtrzymawała go ramieniem. Z wysiłkiem wyciągnęła rękę spod bezwładnego ciała i ostrożnie ułożyła głowę Reida na podłodze.

Niepokorny, potężny, zawsze opanowany mężczyzna, czy to on? Kłęczała, wpatrując się w jego twarz. Puste rysy bez wyrazu... Jak mogła nie zauważyć bledkości pod opalenizną, dlaczego nikt tego nie zauważył?

Dotknęła czoła Reida wierzchem dłoni. Było gorące i spocone. Wstała i pobięła po pomoc.

Ciotka Margaret, poważna i skupiona, tłumaczyła zdenerwowanej Kathy:

– To zdarzało się już wcześniej. Jakaś cykliczna gorączka. Złapał ją w Afryce... Niewiele docierało do Kathy z tego, co mówiła starsza pani.

Czuła pustkę, wszystko nie miało sensu, ani Reid, ani jego uczucia. I to bezzasadne przekonanie, że powinna być z nim. Przecież Reid mógł umrzeć parokrotnie w ciągu minionych ośmiu lat, a ona chyba nawet nie dowiedziałaaby się o tym... Chyba że przeczytałaby o tym w jakiejś gazecie albo, co mniej prawdopodobne, gdyby powiedziała jej o tym ciotka Margaret, choć nie, ciotka na pewno powiadomiłaby ją o tym. I co z tego?

Dlaczego właśnie teraz miałyby być dobrą żoną, obowiązkową, czułą... Nie! Tak być nie może. Postanowiła zamknąć serce i umysł. Nie słyszeć zawodzenia syreny karetki, wyjeżdżającej w zawiłą drogę do Bennington.

– ... Nie malaria, nie żółta febra... – mówiła ciotka Margaret, gładząc przy tym jedną ręką swą dłoń o pergaminowej skórze. – Och, kochanie, kiedyś mi opowiadał, ale zapomniałam... Zaraz, zaraz, przecież mogę zatelefonować do Gregory'ego!

Gregory... pomyślała smętnie Kathy, gdy ciotka poszła do telefonu. Nadal pracował dla Reida przez te wszystkie lata? Reid, a teraz Gregory... przeszłość przypominała o sobie nazbyt głośno, dwa złe duchy, jeden przyczyną, a drugi świadkiem jej nieszczęścia...

– Gregory zaopiekuje się tobą, gdy ja wyjadę – rzekł Reid pewnego wieczoru. Wtedy po raz pierwszy dowiedziała się o planach opuszczenia jej.

Później zrozumiała, że próbował przygotować ją, coś wyjaśnić. Opowiadał o rodzinnych interesach i ambitnych przedsięwzięciach w Afryce i na Dalekim Wschodzie. O współpracy z ojcem. Próbował ją zaznajomić z planami... Nic z tego nie rozumiała i nawet nie siła się na rozumienie czegokolwiek. Nie chciała słuchać i już.

– Kiedy wyjeżdżasz? Mogę z tobą jechać?

– W przyszłym tygodniu. Niestety, nie możesz jechać ze mną. Tam, dokąd jadę, przynajmniej na początku będą prymitywne warunki... Może nie być czystej wody pitnej. Zanudziłabyś się.

– Nie, gdybyśmy byli razem!

– Mylisz się – powiedział z naciskiem. – Zostaniesz tutaj i będziesz na mnie czekała. Tak?

Nie odpowiedziała. Znalazł sposób, aby uciszyć jej wątpliwości i rozterki, po prostu posiadał ją i kochał się z nią tak długo, aż zapomniała o buncie.

To była jego odpowiedź na wszystko, znał tylko jeden sposób na rozwiązywanie konfliktów między nimi. Wykorzystywanie do końca związku fizycznego. Teraz znalazł jeszcze jeden sposób na nią: Gregory'ego.

Dla Reida: Greg, dla innych oficjalnie Gregory. Parę lat starszy od Reida, był doświadczonym pracownikiem firmy, w której zatrudnił go jeszcze Barrett MacAllister, człowiek surowy i wymagający. Gregory miał pomagać Reidowi po jego powrocie do Nowego Jorku, zajmując stanowisko kogoś w rodzaju asystenta.

Kathy zastanawiała się nieraz, kto właściwie zatrudnił Gregory'ego. Reid czy jego ojciec?

Gregory opiekował się Kathy dobrze, robił wszystko, aby samotna egzystencja, w jakiej się znalazła, przebiegała bez większych stresów. Dbał, żeby służba przychodziła i odchodziła, sprzątała i gotowała. Żeby ogromny apartament pod chmurami był miłym i przytulnym schronieniem dla młodej rozpieszczonej damy.

Organizował małe wycieczki, z namysłem planował zakupy i zwiedzanie galerii, muzeów i okolic Nowego Jorku. Starał się wypełnić puste godziny. Sprawdzał, czy ma dostatecznie dużo pieniędzy na realizowanie swoich kaprysów,

współczuł, kiedy przygnębiała ją samotność, słuchał cierpliwie narzekań, wynajdywał nowe zajęcia.

Wtedy zrozumiała, że nie może oczekiwać żadnej pomocy ze strony rodziców Reida. Jego ojciec był daleko, zbyt zajęty bardzo ważnymi sprawami, a matka... Cóż, od samego początku nie kryła się z tym, co myśli o synowej.

– Chyba tego nie zrobisz – rzekła do syna, kiedy przyprowadził jej synową. Obrzuciła Kathy króciutkim spojrzeniem i nie uznała za stosowne zajmować się nią więcej. Zadbana, wytwornie uczesana i stylowa w każdym calu, wyrażała dezaprobatę dla wyboru syna. – Takie dziecko, panienska z wysp. – Na twarzy grymas ledwie maskowanego niesmaku. – Nie o takiej synowej marzyłam...

– Ale ja miałem inne marzenia i one z pewnością są dla mnie ważniejsze.

– To mnie nic teraz nie obchodzi. Nie oczekuj, że zrobię z niej kogoś. To wyłącznie twoja sprawa.

– Zostawię ją taką, jaka jest – rzekł Reid z uśmiechem.

Kathy myślała na samym początku, że wszystko będzie proste, że będzie z Reidem szczęśliwa do końca życia, że wystarczy jej tylko on. Dopiero kiedy zapowiedział swój wyjazd, poczuła, że pustkę musi wypełnić ludzką życzliwością i ciepłem.

Wtedy wkroczyła w jej życie ciotka Margaret, odwiedzała w opustoszałym apartamencie wnosząc ciepło, swobodną rozmowę i dobry nastrój.

– Eleanora jest wściekła z twojego powodu – opowiadała i bladoniebieskie oczy śmiały się. – Miała takie wspaniałe plany dla Reida. Małżeństwo z panną z dobrego towarzystwa, która dałaby mu te same nienaganne towarzyskie koneksje, jakie Eleanora dała jego ojcu. Zrozum, moja droga, że MacAllisterowie nie są najwyższą sferą. Byliśmy handlowcami, kiedyś to coś znaczyło. Kiedy mój ojciec i jego dziadek, czyli mój brat, otwierali firmę, musieli pracować twardo na życie. A Eleanora pochodzi z rodziny bogatej od dawna. Jej rodzina od lat nie musi już pracować, ich ręce są gładsze i czystsze od naszych, chociaż... – przerwała i uśmiechając się dokończyła – razem z twardą skórą zdrapali z siebie wszelkie emocje i ogień. Eleanora to bezkrwista, zimna osoba, dobrze wychowana i opanowana do przesady. Kogoś takiego chciała dla Reida, a on wolał ciebie! Jesteś ideałem, moja droga. Uratowałaś Reida i ja się z tego ogromnie cieszę!

Kathy również się cieszyła, ciotka rozjaśniła jej życie, została przyjaciółką i powierniczką. Sprawiała, że Kathy zapominała o samotności w tej dziwnej rodzinie. Komplement ciotki, że ona, Kathy, uratowała Reida i jest idealną żoną, zachwycił i mile połechtał jej próżność. Była szczęśliwa, choć samotność nadal dawała się we znaki. Rozmyślała, jak długo to jeszcze potrwa.

Osamotnienie Kathy uczyniło z Gregory'ego kogoś bardzo ważnego. Był jedynym ogniwem łączącym ją z Reidem i wydawać się mogło, że Gregory odbierał komunikaty od Reida i przysyłał jej odpowiedzi. Latał też często do Reida i zawsze przy okazji zabierał ze sobą listy od Kathy. Długie i chaotyczne, w które przelewała całą swą miłość i tęsknotę.

– Nie możesz tak po prostu wysłać do niego listu pocztą – tłumaczył Gregory,

gdy po raz pierwszy zaproponował jej, że sam zawiezie korespondencję do Reida. – List idzie całymi tygodniami, o ile gdzieś nie przepadnie po drodze... Więc ile razy będę tam leciał, po prostu pisz, czego chcesz od niego, a ja to zawiozę.

Gregory był łącznikiem, ale nie przyjacielem. Już na początku Kathy domyśliła się, że pracował dla Barretta MacAllistera, a ojciec Reida umyślił trzymać Kathy jak najdalej od syna. Później, kiedy Gregory zaczął dostarczać dowody okrucieństwa Reida, znenawidziła posłańca.

Tak jakby złe nowiny były zawinione przez Gregory'ego, powiedziała sobie, gdy wiedziała już więcej. Nienawiść do Gregory'ego zniknęła, a teraz, kiedy przyjechał na wezwanie ciotki Margaret, cóż... przecież spotkanie z nim nic dla niej nie znaczyło! Minęły całe lata od czasu, kiedy przynosił bolesne prawdy. Ten rozdział, dzięki Bogu, był definitywnie zamknięty.

– Ty tutaj... trudno w to uwierzyć. – Gregory przyglądał się badawczo Kathy. – Od tygodnia rozmawiam codziennie z Reidem i nic mi nie wspominał... Tak, mogłaś mnie zdmuchnąć jak piórko...

Źle dobrane słowa, pomyślała, Gregory nie przypominał piórka. Oj, nie, już nie... Osiem lat poczyniło zmiany we wszystkich, ale najbardziej w nim. Nie przypominał człowieka, którego znała.

Najmniej zmieniała się sama, prawdziwe przemiany zaszły w jej duszy, a tego nie było widać. Nabrała pewności siebie, nauczyła się żyć na swój koszt, polegając na swoich umiejętnościach.

Kiedy ona zamieniała się w kobietę, Reid jeszcze bardziej zmeźniał, stał się bardziej potężny, twardy, smukły i... niebezpieczny. Te same lata, które ich zmieniły, wpłynęły i na Gregory'ego. Podtusiał, rysy miał nalane i mocno przytył. W żadnym razie nie przypominał piórka. Był na to zbyt solidny.

Ciekawił go powód obecności Kathy akurat tutaj i w tym czasie. Nawet kiedy pytał o Reida, widać było, że najbardziej interesuje go, dlaczego ona tu jest i co robi.

– Prosiła mnie o to ciotka Margaret. Utrzymywałyśmy przez ten czas stałe kontakty, a kiedy dowiedziałam się o pożarze kościoła i okazało się, że mogę być przydatna... dla niej, przygotowałam wszystko, jak najlepiej mogłam, do odbudowy.

– Ale z pewnością... w tych okolicznościach – zaczął ostrożnie Gregory – nie sądziłem, że zaryzykujesz...

– Spotkania z Reidem? Ciotka była przekonana, że nie przyjedzie, nie zapowiadał się.

– A on po prostu przyjechał – sapnął rozdrażniony kaprysem szefa Gregory. – On tak czasami robi, zostawia projekt i zatrzymuje się tutaj w drodze powrotnej do Nowego Jorku, chociaż nie zawsze jest po drodze. Po prostu wpada, żeby sobie zrobić przerwę i sprawdzić, jak się czuje pani Pearson. Nigdy mnie o tym nie uprzedza. Tym razem zastał tu ciebie. Trudno mi sobie coś gorszego dla ciebie wyobrazić!

– Och, jakoś do tej pory przeżyłam. Jesteśmy oboje dorośli i możemy raczej

przebywać ze sobą bez opieki.

– Nie bardzo rozumiem, jak po tym, co się zdarzyło...

Nie wspominaj o tym, przeraziła się, wewnętrzny spokój prysnął. Pogrzebała pamięć o tym, co się zdarzyło, i nie miała zamiaru jej wskrzeszać.

Doczekała dnia, kiedy mogła odłożyć na bok ból; od dawna siła woli trzymała to w zapomnieniu, nie wystawiając jej nerwów na próbę. Nawet pojawienie się znów Reida nie wskrzesiło pamięci o tamtym. Reid wstrząsnął nią, ale nie do tego stopnia!

– Gregory, skończyliśmy z tym – przerwała mu szybko. – To już stare dzieje i mogę cię zapewnić, że nie mają znaczenia.

– Nie rozumiem... Czy to przedyskutowaliście? – zaciekawiał się.

– Oczywiście, że nie – zapewniła go i nawet spróbowała się śmiać. – Jeżeli o to pytasz, to masz złe wyobrażenie o tym, co się tutaj działo. Mieliśmy za dużo kłopotów z kościołem, nawet nie próbowaliśmy rozmawiać o naszych sprawach!

– Tak mówisz. – Zmrużył oczy. – Trudno w to uwierzyć. Przede wszystkim, te sprawy nigdy naprawdę nie były ustalone. Nigdy ich nie omawialiście!

– Co? Masz na myśli rozwód? Brak świstka papieru? – zapytała nonszalancko, lecz zabrzmiało to nieco fałszywie, choć światowo i Kathy się spodobało. – Cóż, nie potrzebuję tego rodzaju wolności. Mogę tylko założyć, że Reid tego nie chciał. Myślę, że docenił korzyści płynące z takiego układu.

– Ale nadal nie rozumiem... – Jakie wreszcie wyjaśnienia go zadowolą, zastanawiała się Kathy. – Musisz przyznać, że cała rzecz jest trochę szczególna, no, to, że jesteście tutaj i pracujecie razem... Dlaczego on mi nic nie powiedział?

– Nie wiem, Gregory. – Wzruszyła ramionami i wstała. To był długi i męczący dzień, nawet wyłączwszy chorobę Reida i obecność Gregory'ego. Miała dość tej jałowej rozmowy i poza tym była niewiarygodnie zmęczona. – Jak chcesz wszystko dokładnie wiedzieć, to zapytaj Reida, bo ja nie mam klucza do tej zagadki. – Już od drzwi dodała: – Słuchaj, nie wyobrażaj sobie, że coś między nami było, bo nic nie było. Przykro mi, że on choruje, ale dzięki temu nie muszę go widywać przez jakiś czas. I bardzo dobrze!

Ale czy naprawdę było jej dobrze? – zastanawiała się. Śmieszna myśl, niemądra myśl... ale znowu obecna, na swój sposób szalona! Naturalnie, że to dobrze, iż Reida nie ma w pobliżu! Zdominował jej życie, myśli i postęпки. Czegoś jej brakowało... Mimo wszystko, bez Reida życie Kathy wróciło na normalne tory. Codziennie pracowała w kościele, kierowała coraz to innymi grupami ochotników, studiowała dokumentację.

Musiała jednak uznać, że nie było już tak samo. Nawet przed pojawieniem się Reida ta praca różniła się od innych. Zwykle przy podobnych zadaniach mieszkała w hotelach i była obca. Tutaj, jako przyjaciółkę i gościa ciotki Margaret, traktowano ją znacznie uprzejmiej.

Tak, życie bez Reida było przyjemniejsze. Pragnęła w to wierzyć, ignorując wewnętrzny głos, który szeptał „nuda, nudna nuda”. Historia z Reidem zaczynała

się w perwersyjny sposób powtarzać. Tak jak dawniej Gregory służył jako posłaniec. Zajął sypialnię Reida, codziennie jeździł do szpitala w Bennington i przywoził stamtąd wiadomości.

Na pozór nic się nie zmieniło z wyjątkiem jej własnej roli w tym *deja vu*. Gregory nie musiał wymyślać jej sposobu spędzania czasu, teraz miała własne życie i cele, przeto komunikaty Gregory'ego przyjmowała zupełnie inaczej.

– Co to jest? – zapytała dzień po wypadku Reida, kiedy Gregory podsunął jej plik papierów. Gniewnie zajrzała do notatek, diagramów, instrukcji robionych stanowczą i precyzyjną ręką Reida. – Nie mogę uwierzyć! Nawet gorączka tropikalna nie oderwała go od pracy! – Powinna o tym wiedzieć, ale zdziwiła się mimo wszystko. – Nie mów nic! – Podniosła wzrok znad papierów. – On wydaje już polecenia?

– Czuje się o wiele lepiej. – Gregory udawał, że nie dosłyszał ironii w jej głosie. – Spiesz mu się już tutaj, ale dostał kroplówkę... On chce dokończyć projekt.

– Miło mi to usłyszeć, im wcześniej skończymy, tym lepiej. Wyjadę i zapomnę!

Ale to nie będzie takie łatwe. Było coś w tych oszczędnych zapisach, świadectwo siły, potęgi, chociaż mężczyzna, który to pisał, stracił wczoraj przytomność i upadł. Tak szybko nabrał siły, więc jakie miała szanse, by walczyć z nim i zwyciężyć?

Był zbyt potężny, przerażało ją to, mógł ją zmusić, aby odczuwała to, co dawno zapomniała. Nawet jego odręczne notatki miały moc, żeby wstrząsnąć jej uczuciami, przyznała z żalem. I dlatego, kiedy Gregory zakomunikował parę dni później, że Reid może już opuścić następnego ranka szpital, Kathy zdecydowała, że nadszedł czas na wypad do Providence.

Wyrzucała sobie, że zachowała się jak tchórz. Skupiała uwagę na prowadzeniu samochodu krętą drogą, to wspinającą się, to opadającą. Niepotrzebnie uciekła od nieuchronności, od przeznaczenia, od Reida. Chciała się z nim porachować, ale nie tak! Potrzebowała trochę czasu...

Teren, na jaki teraz wjechała, okazał się łatwiejszy dla jej auta – znak, że zbliżała się do domu, do jej kulturalnego i uporządkowanego świata w Providence. Tak, potrzebowała przestrzeni, odetchnęła szczęśliwa, potrzebowała spokojnych dni w biurze, komfortu codziennej rutyny, potrzebowała Malcolma. Przynajmniej chciała w to uwierzyć.

Rozdział 9

– Niesamowite – powiedział zaskoczony Malcolm, kiedy zobaczył Kathy za biurkiem. – Przyjechałaś! To chyba zbyt wiele, że pozwalam sobie przypuszczać, że przyjechałaś na dobre.

– Chyba tak. Jak sam widzisz, jestem... – zgodziła się Kathy potulnie. Czowała większą sympatię do Malcolma, niż kiedykolwiek przedtem. Stał przed nią i szeroki uśmiech rozjaśniał mu twarz. Drogi Malcolm, zwyczajny bliski człowiek, który nie stawiał przed nią niemożliwych zadań, nie żądał wszystkich uczuć wyłącznie dla siebie, nie burzył mozolnie i ostrożnie zbudowanego poczucia bezpieczeństwa w świecie, w jakim z własnej woli chciała żyć. – Mam tam jeszcze mnóstwo do zrobienia, ale odniosłam wrażenie, że przyda mi się jakaś przerwa.

– Autokrata trzyma wszystko w rękę, prawda? Nie powiem, abym miał o nim wygórowane zdanie. To jeden z tych przystojniaczków, którzy zawsze mają rację, nawet jak nie wiedzą, o co chodzi.

– Hmm, aha... – Wyobraziała sobie, jak Reid zareagowałby na epitet „autokrata” i opinię na swój temat. – Przyjechałam tu, bo się stęskniłam za spokojem naszego biura, nie śmieję się, nie musimy zajmować się plotkami o nim. Lepiej powiedz mi, co mam robić, jestem do twojej dyspozycji!

I naprawdę tak było, pomyślała szczęśliwa, kiedy skończyła zadania wyznaczone przez Malcolma. Należała do niego, a nie do Reida! Należała do dobrze urządzonego świata Malcolma. Zapomniała już, jak lubiła Malcolma, to wina Reida i teraz z ulgą mogła zapomnieć o nim.

Normalność, normalne życie, o to chodziło. Przez parę dni mogła spędzać czas w towarzystwie Malcolma, siedzieć w swoim mieszkaniu i rozmawiać z Luce, stęskniła się za normalnością.

Ale już pierwszego wieczoru, gdy Kathy znalazła się w swoim domu, Luce zaskoczyła ją wiadomością:

– Był telefon do ciebie. Wyrwał mnie rano z solidnej drzemki. Ktoś zapytał, cytując: „Gdzie ona jest?” Żadnych uprzejmości, nawet zwykłego „halo”, a ja oczywiście jeszcze właściwie spałam.

– Reid – orzekła Kathy z nutą znużenia i rezygnacji, a Luce przytaknęła.

– Tak się przedstawił, a kto to jest? Ma pewien szorstki urok i jeden z najbardziej seksownych głosów, jakie słyszałam, ale ty chyba nie pasujesz na kogoś, za kim by szalał.

– Wiem – odparła Kathy, zastanawiając się, co Reid mógł powiedzieć. Miała nadzieję, że nic o przeszłości, nic o łączących ich związkach. – Czego chciał?

– Przede wszystkim, że pamięta o tobie i że masz, do cholery jasnej, wrócić do roboty. Zaplanował dużo zajęć na ten dzień i jeżeli ciebie tam nie będzie, ma zamiar porąbać na podpałkę twoje sklezione łuki... Myślę, że razem pracujecie przy kościele ciotki Margaret, tak?

– Tak, ale ona, jak wiesz, nie jest moją rodzoną ciotką. Za to jest naprawdę jego

ciotką.

– Zdawało mi się, że on zna ciebie bardzo dobrze. – Luce przechyliła głowę na ramię i obserwowała Kathy z nonszalancją. – Powiedział, że masz zwyczaj uciekać, a ja powiedziałam mu, że nie znam cię od tej strony.

Luce z tajemniczą miną przypatrywała się badawczo, jak Kathy układa ubrania w szafie.

– Psiakrew! – Kathy odwróciła się błyskawicznie, rumieniec ciemniał na jej policzkach. – Dyskutowaliście o tym?!

– O czym? – Przerazenie Kathy zaintrygowało Luce. – Coś było między wami? – zapytała niewinnie.

– Ależ kompletnie nic – odpowiedziała dziarsko Kathy, zadowolona, że mogła się odwrócić od Luce. Przebierała się właśnie w czyste dżinsy i nową trykotową koszulkę. – Nie ma co rozważać, o co mu chodziło. On powie wszystko, żeby postawić na swoim. Prawdopodobnie jest wściekły, że przez parę dni popracuję dla Malcolma...

– Och, Malcolm – parsknęła Luce. – Ten facet jest zupełnie inny, niż biedny bezkrwisty Malcolm. Chyba musi być atrakcyjny?

– Myślę, że tobie by się spodobał. – Miała stłumiony głos, bo akurat naciągała koszulkę przez głowę. – Przynajmniej – spojrzała w stronę smukłej dziewczyny, wyciągniętej na jej łóżku – jest dostatecznie długi dla ciebie.

– Czy jest przystojny i ma ciemne włosy? – Luce rozmarzyła się. – I dostatecznie bogaty, żeby utrzymać przebijającą się przez życie ubogą studentkę?

– Obrzydliwie bogaty – rzekła Kathy z nietypową dla siebie goryczą. – Problem w tym, że zawsze dostawał to, co chciał i to go zepsuło.

– Mogłabym tego nie zauważać, no, chyba że i mnie chciałby zepsuć. Mam szansę go poznać, co?

– Żadnej – powiedziała Kathy z grymasem zniecierpliwienia. Reid jest w Vermont i nie ma szansy, żeby się spotkali; a ja jestem tutaj, pomyślała z nadzieją i smutkiem.

W piątek musiała wrócić do East Hawley, ale nie dlatego, że Reid dzwonił. O nie! Nie miała zamiaru tańczyć, jak on zagra. Od początku wiedziała, że musi być tam w końcu tygodnia, gdyż ochotnicy mieli zabrać się za bardziej skomplikowane prace.

Malcolm zabrał Kathy w czwartek, przed jej piątkowym wyjazdem, późnym popołudniem na obiad. Prowadzili swobodną rozmowę... to, czego potrzebowała. Afirmacja spokojnego życia, skonstatowała Kathy. Nigdy nie miała tego z Reidem, nie miała i nie mogła mieć...

– Cóż, rozumiem, że cię usidlił – zaczął Malcolm, przerywając długie przyjacielskie milczenie – ale chciałbym, żebyś nie wyjeżdżała tak wcześnie. Kto wie, kiedy znowu cię zobaczę?

– Na początku przyszłego tygodnia – obiecała, żywiąc nadzieję, że Reid nie zrobi nic takiego, aby przeszkodzić w dotrzymaniu obietnicy danej przed chwilą Malcolmowi.

– Niebawem wrócę, nie martw się.

– A jak znowu cię coś zatrzyma? – zrzędził Malcolm.

– Ten cały MacAllister wymyśli jakiś pretekst, żeby cię zatrzymać, i to moim kosztem. Na pewno tak zrobi, przez zwykłą złośliwość – denerwował się coraz bardziej. – On chce, żebyś tylko na niego zwracała uwagę, wyłącznie na niego. I żebyś pracowała tylko dla niego. To oczywiste, że nie znosi faktu, że ja mam... lub raczej, dopóki on się nie pojawił na horyzoncie, miałem prawo do twojego czasu.

Gdyby to było tak proste, jak to sobie wyobraża Malcolm, pomyślała Kathy. Niech zmieni temat, na miłość boską. To, że nie zdawał sobie sprawy, jak to wszystko wygląda, nie było jego winą, przecież nic nie wiedział o jej przeszłości. Nie opowiadała mu o tym.

Mogła winić tylko samą siebie. Pogrzebała swoje życie z Reidem, udając, że nic się nie zdarzyło. Ze wszystkich sił pragnęła przekonać siebie, że co było, minęło bezpowrotnie. Całe zamieszanie, splot przypadków, wywołał pożar kościoła, telefon ciotki i oczywiście pojawienie się Reida. Po co ja tam jechałam, zirytowała się.

I ciągle widzi cię Reida, nawet teraz, jakby nie było od niego ucieczki...

Nie! Nie miała zamiaru się zadręczać. To tylko chwilowy kłopot! Jeszcze trochę i Reid zniknie z jej życia...

– Wszystko wróci do normy – rzekła lekko Kathy. – Zobacysz, to już niedługo. – Włożyła sporo wysiłku w zachowanie spokoju.

– Jednak nie podoba mi się to – narzekał Malcolm, korzystając z prawa do ostatniego słowa – To jego problem, a nie nasz.

Ten facet jest ordynarny i nieokrzesany. Nie ma żadnych zasad i nie podoba mi się, że spędzasz z nim tyle czasu.

Ani mnie, pomyślała. Nie podobało się jej też, że Malcolm w ogóle poświęcił uwagę Reidowi. Z tego wszystkiego rozboleła ją głowa. Myśl o Reidzie zepsuła jej wieczór.

Wieczór zepsuty myślami o Reidzie to jeszcze nic w porównaniu z tym, co wydarzyło się później. Rzeczywistość spletała jej... okropną niespodziankę. Kiedy zrozumiała, co się dzieje, było już za późno.

Malcolm stał obok niej przed drzwiami. Właśnie szukała kluczy, gdy Luce otworzyła i na widok Kathy zawołała:

– Dobrze, że nie zaprosiłaś... Och! – Urwała na widok Malcolma. – Cześć, Malcolm. Nie wiedziałam... Kathy, masz jeszcze jednego gościa.

Kathy domyśliła się od razu. Wysoka postać Reida wyłoniła się zza pleców Luce... Miała rację, pomyślała i nie mogła wykrztusić słowa. Reid był wystarczająco wysoki dla Luce. Kiedy wreszcie odzyskała głos, wyrzuciła z siebie:

– Ty tutaj?!

– Tak, jestem tutaj.

Luce stała obok i uśmiechała się złośliwie, niech ją szlag trafi! Znow spojrzęła na Reida i znow straciła mowę.

Reid w wyśmienitym nastroju zbliżył się do nich. Malcolm wydawał się przy nim krasnałem, i nawet przedpokój jakby zmałał.

Nienawidziła w tej chwili Reida, który wdarł się do jej mieszkania. Na domiar złego Malcolm pogorszył jeszcze sytuację, ignorując wyciągniętą na przywitanie dłoń Reida i jakby tego było mało, rzekł wyniośle:

– No cóż, Kathy, to nie jest miejsce dla mnie, w każdym razie nie w tym gronie, a zatem do widzenia!

Malcolm, nie teraz, tylko tyle zdążyła pomyśleć, kiedy przycisnął swoje pozbawione życia wargi do jej ust, przytrzymał je przez chwilę, a potem odsunął się.

– Dobranoc, moja droga! – wycedził z bezbrzeżną dezaprobatą i pomaszerował zgarbiony do swojego samochodu.

– Zachowałem się chyba właściwie, co? – zauważył Reid, rozbawiony sceną tak, jakby to, co się wydarzyło przed chwilą, było najśmieszniejszym żartem pod słońcem. – Kathy, wejdź do środka, żebym mógł zamknąć drzwi.

– Ty! Co ty tu robisz?! – zapytała tak ostro, jak tylko potrafiła, ale wyszło to raczej bezbarwnie.

Po raz pierwszy od ośmiu lat widziała go w garniturze, wyglądał fantastycznie: imponujące połączenie elegancji i twardej, muskularnej siły. Reid w świetnie skrojonej marynarce zrobił na Kathy piorunujące wrażenie.

Śmiał się teraz z jej reakcji, domyśliwszy się, dlaczego Kathy stoi nieruchomo, cała w pąsach.

– Reid, co ty tu robisz?

– Czekam na ciebie.

– Wiem o tym – skontrowała przytomnie, jej gniew przybierał na sile. – Ale dlaczego?

– Musiałem udać się w krótką podróż do Nowego Jorku dzisiaj rano i postanowiłem zajrzeć tutaj po drodze. Jutro możemy wracać do Vermont... razem, rzecz jasna.

– Nie jadę z tobą – wypaliła natychmiast, nie zwracając uwagi na Luce, śledzącą ich wymianę zdań z nienasyconą ciekawością. – Pojadę sama!!!

– Wykluczone, nie pojedziesz tym swoim gruchotem. Jest zamieć, a zapowiadają jeszcze gorszą pogodę. Zabiorę cię jutro w południe.

Potrząsnęła głową przecząco.

– Nie mogę – zaimprovizowała. Obiecałam Malcolmowi, że popracuję z nim do czwartej...

Skłamała, ale zyskała na czasie. Może uwolni się od nie chcianego towarzystwa.

– Nie mogę wyjechać w południe.

– To bardzo źle. Niestety, będziesz musiała rozczarować drogiego Malcolma. – Podszedł do drzwi i stanął z ręką na klamce. Zmrużył oczy i bacznie spoglądał w twarz Kathy.

– Nawet nie myśl o tym, że mi zwiejesz.

– Nie zatrzymasz mnie przy sobie siłą.

– Prawda, ale jeśli spróbujesz, zapłacisz za to. I to jeszcze zanim weekend się skończy. Kochanie, dlaczego nie jesteś grzeczna? Tak jest łatwiej. I jeszcze jedno...

– Bez ostrzeżenia podszedł do Kathy, przycisnął ją do siebie i pocałował. Nie mogła się oprzeć. Już była gotowa do odpowiedzi, usta rozchylone, aby przyjąć jego pocałunki, chciała tego, a nawet jeszcze więcej...

– Oto jak trzeba cię całować – oświadczył w końcu. – A nie, jak ten biedny zimnokrwisty człowiek próbował to robić! Masz za dużo temperamentu dla niego.

– I nagle wyszedł.

– Cudownie! – Usłyszała okrzyk Luce. – To jest gość dla ciebie!

– Wcale nie! Nie znoszę go! I nie chcę o nim rozmawiać, bez względu na to, co powiesz.

– Jak się czujesz? – zapytała, kiedy opuścili Providence i zostawili za sobą krętą jak spaghetti boczną drogę stanową.

– Czujesz się lepiej?

– To uprzejmość, czy naprawdę cię to interesuje?

– Wolałabym, żebyś znowu nie mdłał, przynajmniej do momentu, gdy znajdziemy się na ziemi.

– Dziewczyna bez serca...

– Realistka – sprostowała. – Nie umiem prowadzić samolotu.

– A ja nie wiem, czy mówisz serio, czy żartujesz. Mimo to, jestem zadowolony, że przysłaś. A ty?

– Wiesz, że nie – rzekła niemal przyjaźnie, bez gniewu, który tak często zaznaczał się w ich rozmowach. Może dlatego, że złagodniała, a może dlatego, że on wygrał pierwszą rundę? Zagubiona w myślach, spojrzała w dół.

Piękne widoki rozciągały się we wszystkich kierunkach. Ciemnozielone plamy lasów, szare łąki pól na równinach, czarne wstążki rzek. Zielony, brązowy, szary i czarny wzór.

Przyszedł do jej mieszkania dwie godziny przed zapowiedzianym czasem. Złapał ją w ostatnim momencie, gdy miała wsiąść do samochodu i wyjechać. Powinna była się tego spodziewać.

Krajobraz zmieniał się. W dole pojawił się las, czasem tylko mignęła jakaś zielona plama, szare urwiska skalne. Przed nimi faliste wzgórza wznosiły się coraz wyżej.

Raptem w małej kabinie samolotu dał się słyszeć mocniejszy szum pracy silnika, kiedy Reid wzbił maszynę wyżej. Wznosili się w ciemniejące metalicznoszare niebo. Domyśliła się, że gdzieś, po lewej stronie, pod zasłoną z chmur, zaczyna zachodzić słońce.

Świat wydawał się zimny i bez życia, choć widziała małe miasteczko w dolinie, a potem nic, tylko zalesione wzgórza i czerniejące gałęzie na śniegu... i śnieg w powietrzu. Zadrzała przepęlniona strachem.

– Zimno? – Zerknął na nią Reid.

Potrząsnęła głową.

– Myślałam właśnie, jak zimno musi być tam, na dole. Jesteśmy już nad Vermont?

– Prawie...

Silnik zawarczał chrapliwie. Przez chwilę pracował normalnie i znów wydał z siebie serię niepokojących dźwięków.

– Co to jest? – zapytała ostrożnie szeptem. Wiedziała, że nie ma do tego podstaw, ale zaczęła się bardzo bać. Silnik wyraźnie nie pracował tak jak trzeba. – Czy coś złego się dzieje?

Reid nie odpowiedział. Manipulował na tablicy przyrządów jakimiś pokrętłami. Twarz miał surową i skupioną. Sięgnął po mikrofon radia. Z tego, co powiedział w jakimś dziwnym języku, nie zrozumiała nic. Po serii dziwnie brzmiących wyrazów padły normalne słowa, ale jakoś tak bez związku między sobą.

Zaczynała rozumieć prawdziwą sytuację.

W końcu przypomniał sobie o jej istnieniu.

– Musimy lądować. – Nie patrzył na nią. Zmrużył oczy, gdyż śnieg padający coraz obficie raził go i przysłał widok w dole. – Kathy, spójrz z twojej strony. Nie widać tam jakiejś polany?

Bez słowa zaczęła obserwować ziemię. Szukała choćby małej plamy równego terenu, nadającego się do lądowania, ale widziała jedynie płataninę gałęzi i gdzieś tam szare pokruszone skały.

Wreszcie Reid znalazł obiecującą otwartą przecinkę.

– To chyba jakiś staw. Może okaże się dostatecznie długi.

– Czy możemy się rozbić?

– Nie, jeśli ja to wytrzymam.

Oby! Ale mnie pocieszył, westchnęła w duchu, kiedy Reid rozpoczął manewr podchodzenia do lądowania. Maszyna zataczała teraz coraz niższe koła.

Przeszedł silną chorobą, czy da teraz radę, czy wytrzyma napięcie? Ale Reid doskonale dawał sobie radę, wiedział, co robić, i robił to.

Bez zbędnych pytań i komentarzy czyniła wszystko zgodnie z jego instrukcjami. Zacisnęła pasy i czekała, patrząc ślepo na swoje ręce, wsłuchana w milnący warkot silnika.

Słyszała wiatr, świszczący wokół samolotu. Poczowała pierwsze szorstkie uderzenie podwozia. Zahaczyli o coś, o śnieg czy o gałęzie? Tyle tylko zdążyła pomyśleć. Potem już nic nie widziała ani nie słyszała, dopóki głos Reida nie przedarł się przez pustkę:

– Kathy? W porządku?

W porządku? Nie miała pojęcia. Była przekonana, że nie żyje, może oboje nie żyli. Kosmiczny dowcip: sami, oboje przez wieczność...

– My żyjemy? – wykrztusiła w końcu i usłyszała śmiech Reida.

– Jasne, że tak, rozejrzyj się.

W świecie bieli, szarości i czerni Reid wyglądał na najzupełniej żywego. Mało tego – był kolorowy: brązowa opalenizna, czerwone cięcie na czole i siniak na

kości policzkowej ozdobiony ciekawą plamą szkarłatu.

– Sądzę, że żyjemy – zdobyła się nareszcie na niepewny śmiech. – Nie jesteś ranny?

Na moment podniósł rękę do czoła.

– Tylko to. A ty? Nic ci się nie stało – Nie jestem pewna. – Ostrożnie poruszyła ramionami, nogami, palcami, odetchnęła głęboko, pokręciła głową. – Wszystko w porządku...

– Jutro będziemy oboje obolali.

Miał chyba rację, ale to nie miało znaczenia. Ważne, że przeżyli katastrofę samolotu...

– Co teraz? Zaczekamy na pomoc?

– Dzisiaj nikt nas nie uratuje, musimy liczyć **tylko** na siebie.

– A radio? Nie możesz zawiadomić przez radio, gdzie jesteśmy?

– Tak, ale nikt po nas dziś nie przyleci. Jest już prawie noc, a na dodatek burza śnieżna. Nikt nie przyleci w taką zamieć.

– Więc zaczekamy w samolocie? – Próbowała myśleć praktycznie, zrozumieć dziwny wybryk losu. – Ale w samolocie będzie za zimno.

– Stanowczo za zimno – przyznał i nagle stracił humor, myśląc tak jak ona o praktycznej stronie ich przygody. – Po drodze widziałem chatę na skraju stawu, tam dalej na południe. – Nastawił kompas. – Pójdę zobaczyć. Jeśli ją odnajdę, będziemy mogli przeczekać tam burzę śnieżną. Jak mi się nie uda, postaram się wybudować jakieś schronienie. Poszukaj zapalniczki albo czegoś do zapalenia ognia. – Wyciągnął kurtkę zza fotela, szybko przetrząsnął kieszenie i znalazł parę skórzanych rękawic. – Zaczekaj tutaj, tu jest jeszcze w miarę ciepło, wrócę najszybciej, jak tylko możliwe.

– Nie mam zamiaru siedzieć tu sama – zaprotestowała oburzona. – Możesz złamać nogę albo zemdleć, albo...

– Nic mi nie będzie.

– Ale ja nie mam ochoty ryzykować. Ty mnie w to wpakowałeś, więc niech ci się nawet nie śni, że pozwolę ci odejść samemu!

Sięgnęła po kurtkę i rękawiczki, niestety, zapomniała zabrać z domu szal.

– Posłuchaj – przemawiał do jej rozsądku. – Chcę znaleźć dla nas jakieś miejsce na nocleg. Jeśli wezmę ciebie, dłużej to potrwa, opóźnisz poszukiwanie.

– Nie będę opóźniać – przysięgła i nie czekając na odpowiedź, pchnęła drzwi i znalazła się na zewnątrz. Był potworny ziąb. Silny wiatr smagał po twarzy twardym śnieżnym pyłem.

Zacisnęła zęby i postępowała za Reidem, usiłując dotrzymać mu tempa, kiedy szli przez złowrogi biały świat. Na szczęście Reid prowadził ją wąską ścieżynką po skutej lodem powierzchni stawu.

Musiała jednak stawiać dwa kroki na każdy jego krok i na domiar złego raz po raz zapadała się w śnieżnych zaspach.

Już tracili nadzieję na znalezienie chaty, gdy Reid zatrzymał się i obejrzał na idącą z trudem Kathy, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem, że tak będzie”.

Zawzięła się, nie miała ochoty dać mu tej satysfakcji. Odnalazła w sobie nowy zapas energii i dalej brnęła przed siebie.

– Wytrzymasz. – Jego głos ledwie docierał przez hałas burzy. – To już niedaleko.

Skinęła głową, ona również zauważyła ciemny prostokąt między drzewami. Schronienie! Powtarzała to słowo z każdym krokiem, a ciemna sylwetka domu przybliżała się i powiększała z każdą chwilą.

To była niewielka letnia chatka ze stromym dachem. Okna zabite deskami, drzwi zamknięte na tęgą kłódkę.

Uff, bardzo pięknie, jeśli nie będziemy mogli dostać się do środka! Kathy stała bez ruchu, śnieg smagał ją po twarzy, a zimno przenikało do szpiku kości.

Widziała, jak Reid czegoś szuka. Po chwili przyszedł pod drzwi z dość grubym kijem, chyba palikiem przygotowanym przez właścicieli na słup przytrzymujący ogrodzenie, i walnął nim w kłódkę.

– Chodź! – zawołał, gdy skobel i kłódkę spadły na śnieg.

– Możemy wejść do środka!

Och, cudownie! Nareszcie! Nie zwlekając weszła do cichego pustego domu. Przez moment stała w ciemności, kompletnie zdezorientowana. Raptem Reid znalazł się tuż obok niej.

– Udało nam się! Naprawdę! – cieszył się jak dziecko. Oparła się o jego ramię, a on objął ją mocno, poczuła jego ciepły oddech na policzku.

– Tak – przyznała sztywno, miała tak zmarzniętą twarz, że skóra chyba by pękła, gdyby spróbowała się uśmiechnąć. – Ledwie, ledwie...

– Ależ, Kathy! To „ledwie” to naprawdę bardzo dużo!

Puścił ją i odsunął się.

– Czas, aby zrobić tu ciepło...

Ciepło? Tutaj? Ten domek... ale i tak lepiej tu zostać, niż poniewierać się na zewnątrz i narażać na zamrznięcie, dobrze, że Reid zauważył tę chałupkę...

Reid znalazł lampę naftową, która świecąc nikłym żółtym płomieniem dawała złudzenie ciepła.

– Nie jest tak źle – ocenił, obchodząc duże pomieszczenie.

– Mamy piecyk i trochę drewna na podpałkę, w skrzyni jest nawet nieco węgla... mamy już światło... a tutaj konserwy, kawa...

– Nawet ubikację – dodała Kathy, otworzywszy drzwi w kącie pokoju. Poniewczasie zauważyła, że to dobudówka w formie alkierza, przyczepiona do korpusu chatki, tak delikatnej konstrukcji, że wiatr wpadał przez liczne szczeliny i hulał po owym malutkim przybytku, tak że przypominał raczej lodówkę. Drgnęła i czym prędzej zamknęła drzwi.

– Niezbyt nowoczesna, ale i tak lepiej skorzystać tutaj, niż wychodzić na zewnątrz.

– Mówienie o tym...

– O potrzebach naturalnych?

– Nie, o wychodzeniu na zewnątrz. Będziemy potrzebowali drewna. Na zewnątrz jest trochę. Poczekaj, zaraz wrócę.

– Ale...

Nie zwrócił uwagi na jej zastrzeżenia i wymknął się. Zostawił ją samą. Lampa naftowa dawała złudzenie bezpieczeństwa. Kathy skrzyżowała ramiona na piersiach i wpatrywała się w płomyk.

Niebawem Reid wrócił z naręczem drewna. Rzucił ładunek na podłogę i otrząsnął śnieg z butów. Poczula, że coś się w niej zmienia, że nie potrafi myśleć o nim źle. Łączyło ich coś ważnego. Najpierw nie kończące się chwile, gdy w powietrzu znaleźli się o włos od katastrofy, potem wędrówka pośród zamieci w poszukiwaniu schronienia. On ją uratował!

– Uratowałeś mi życie!

– Nie pleć głupstw, nie było tak strasznie.

– Mogliśmy się zabić. – Dreptała za nim, kiedy podszedł do żeliwnego pieca. – Gdybyś nie wylądował na lodzie, gdybyś nie znalazł tej chałupki...

Reid rozpalil ogień, dorzucił dREW i spokojnie rzekł:

– Ale zaraz będzie ciepło! – Wyprostował się i rozejrzał dookoła. – Trochę tu jak w sianie, właściciel niezbyt troszczył się o dom, jednak...

– Żebak nie ma wyboru – uzupełniła Kathy ironicznie.

– Jesteś dzielna, obawiałem się oskarżeń, gdyż ja cię w to wpakowałem.

– I wyciągnąłeś.

Szukał czegoś, wreszcie ściągnął jakieś rzeczy z haka obok łóżka.

– Masz, włóż to. – Rzucił jej flanelowy szlafrok. – Musimy przebrać się, zanim śnieg się stopi. Stań koło piecyka, o tu.

– A ty?

– Znalazłem jakieś dzinsy i koszulę.

Czy on też zamierzał się przebrać? Czy miał zamiar zdjąć mokre ubranie przy niej, w słabym świetle lampy naftowej i czerwonych refleksach pieca?

– Myślę, że... – zaczęła niezręcznie, mnąc w rękach szlafrok i zasłaniając się nim jak tarczą. – Myślę, że mogłabym przebrać się tam, w toalecie.

– Nie bądź dziecinna, Kath – odparł szorstko, było to jego ulubione określenie.

– Nie będę patrzeć, jeśli to jest twoje największe zmartwienie... To mało ważne, zresztą. – Odwrócił się do piecyka i zaczął zmieniać ubranie. – Pamiętasz? Widziałem cię już tyle razy...

– Ale teraz nie będziesz! Co było, minęło!

– To prawda, nie zależy mi na tym – rzekł nieprzyjemnym tonem. – Teraz zależy mi tylko na tym, żeby się ogrzać.

Co za okropny facet! I na dodatek potknęła się w tym momencie o rąbek szlafroka. Chciała pomóc w przygotowaniu posiłku. Czy nie miał nic innego do roboty, niż denerwować ją swoją oziębłością? Jeszcze ten głupi płaczący się szlafrok! Znów się potknęła, a Reid zaczął się z niej śmiać.

– Przestań, Kathy, tańczyć, bo upadniesz i zrobisz sobie kuku. Idź grzecznie i usiądź, pozwól mi spokojnie przygotować jedzenie. – Odłożył otwieracz do

konserw na bok i z gracją podając jej dłoń, doprowadził do krzesła obok piecyka.

Reid krzątał się, a Kathy w zadumie rozmyślała o nierealności ostatnich zdarzeń. Próbowała. zrozumieć, dlaczego obecna sytuacja podobna jest do czegoś znajomego, lecz dawno minionego.

Ten wieczór mocno przypominał ich najlepszy okres pobytu na jachcie, trudno uwierzyć, aby mroźna noc w prymitywnej chałupce mogła przypominać upalne noce na łodzi, ale właśnie tak było. Intymna samotność we dwoje, delikatne światełko... Minione czasy utkały gęstą sieć emocji. I nic, absolutnie nic nie zniszczyło tamtych uczuć. Były tak prawdziwe jak niegdyś. Żywe uczucia do Reida, który raptem stał się takim samym mężczyzną jak osiem lat temu.

Od kiedy pojawił się w salonie ciotki Margaret, był w nim nieustanny gniew, chęć sprowokowania jej do kłótni, a teraz zachowywał się tak jak kiedyś. Widziała teraz dawnego Reida, którego kochała, do chwili gdy...

– Jak długo tu zostaniemy? – zapytała, gdy skończyli jeść.

– Trudno określić. Wiele zależy od pogody, nikt nie będzie ryzykował lotu w czasie burzy, trzeba zaczekać, aż ustanie... I oczywiście zależy to od tego, gdzie teraz jesteśmy.

– A ty nie wiesz?

Wzruszył ramionami.

– Dokładnie nie. Gdzieś na granicy Massachusetts z Vermont.

– Ale... – Zatrzymała się w pół słowa. Ogarnęła ją panika. Jak mogli ich odnaleźć, skoro nawet Reid nie wiedział, gdzie są. Kto i kiedy ich znajdzie?

Rozdział 10

W ogóle sytuacja wyglądała znacznie gorzej niż przed kolacją. Denerwował ją wspólny posiłek i pogawędka, a także świadomość, że są tu uwięzieni na noc. Ale tylko jedną noc, zastrzegła się. Spędzić z nim na odludziu kilka dni i nocy? Nie! Niemożliwe!

– Ktoś jednak musi wiedzieć, gdzie się znajdujemy. Przekazywałeś przez radio nasze położenie, prawda?

– Podałem naszą ostatnią pozycję – sprostował uprzejmie – i mógł tam być błąd, przelecieliśmy przecież pewien dystans od czasu nadania mojego komunikatu.

– Dlaczego nie zmieniłeś informacji przez radio? – zapytała nerwowo. – Mogłeś uaktualnić położenie.

– Jak pamiętasz, byłem zajęty lądowaniem. Odpręż się, Kathy. – Sięgnął do jej dłoni, ale cofnęła ją szybko. – Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Mamy schronienie, opał i jedzenie. Możemy tu przesiedzieć aż do wiosny, jeśli zajdzie potrzeba.

– Do wiosny?

– Myślę, że do tego nie dojdzie. Raczej spędzimy tu kilka dni, nie więcej.

– Kilka dni? – powtórzyła bliska załamania. – Nie możemy, ja... nie mogę tak długo!

– To jeszcze nie koniec świata – orzekł spokojnie i rozsądnie – chyba, że nie możesz znieść mojej obecności przez kilka dni.

– Chyba wiesz, że wolałabym nie...

– Nikt lepiej tego nie wie niż ja, ale myślałem... – zawahał się na moment, nie odrywał od niej oczu – że w tych okolicznościach...

– Okoliczności niczego nie zmieniają.

– Masz jakiś inny wybór? – Wstał i spacerował powoli. – Z pewnością lepiej być ze mną przez parę dni, niż umrzeć.

– Niewiele lepiej – wycedziła przez zaciśnięte zęby i mimo ciemności dostrzegła błysk uśmiechu w jego oczach.

– To rzeczywiście bardzo w twoim stylu – zauważył z aprobatą. – Przed chwilą zdenerwowałaś mnie przypominając, że niezbyt popisałem się z zawiadomieniem przez radio o naszym położeniu. Zrobiłem to i jeszcze... uratowałem ci życie. Wdzięczność nigdy nie była twoją mocną stroną, nigdy, od samego początku. Czy przez twoje dąsy mam rozumieć, że delikatna równowaga między nami legła w gruzach?

Reid mówił inaczej niż przed chwilą, jego słowa były twardsze, brzmiał w nich jakiś nieprzyjemny ton. Nic właściwie się nie zmieniło, pomyślała, nadal byli nieprzyjaciółmi, związanymi jedynie przez wzajemne pretensje, oczywiście jego wyimaginowanymi, a jej prawdziwymi... Nie zapomniała nawet przez minutę, że to ona ma rację, nie on!

Reid wyłonił się z cienia z naręczem koców.

– Co ty robisz?

– Szykuję dla nas miejsce do spania. – Położył koce obok piecyka i znów znikł w cieniu.

– Coś jest nie tak z tymi łózkami?

– Są zbyt daleko od ognia. Jak raczyłaś zauważyć: żebrak nie ma wyboru. Niestety, jesteśmy w miejscu przeznaczonym do mieszkania w lecie, a nie w zimie. Musimy spać koło ognia.

– Ty możesz... – poinformowała go wyniośle i spojrzała z pogardą na materace, leżące obok siebie jak małżeńskie łoże. Jeżeli naprawdę spodziewał się, że będą tak spać obok siebie, tak blisko, to był szalony! – Ale ja położę się na jednym z łóżek. Będzie mi dostatecznie ciepło.

– Łatwo mówić tak teraz, ale zaśpiewasz inaczej nad ranem. Ten piecyk ogrzewa tylko kawałek przestrzeni wokół.

– Nie mam zamiaru spać na podłodze. – Wstała od stołu i podeszła do jednego z łóżek, gdzie leżał jeszcze jeden materac. – Tu będzie mi znakomicie.

– Przekonasz się sama. – Wzruszył ramionami i położył jeden materac na drugi. Dorzucił dREW do ognia. – Wiesz – rzekł po chwili – że jak na kogoś, kto wzrastał w tropiku, masz dziwne podejście do zimna.

– Mieszkam w Nowej Anglii od ośmiu lat – odburknęła.

– Przyzwyczaiałam się.

– Może jak naprawdę zmarzniesz, zmienisz zdanie.

– Tak mówisz, bo nie chcę położyć się obok ciebie...

– Aha, wolisz zamarznąć na śmierć, niż dzielić miejsce przy ogniu ze mną. – Uśmiechnął się słabo. – To jest część problemu, a Malcolm... drugi, drugi problem, a raczej: druga część.

– Nie chcę tego słuchać – obruszyła się. – Idę do toalety, a potem do łóżka.

– Chcesz światło?

– Nie! – Niczego nie chciała od Reida. Ani jego pomocy, ani tym bardziej opinii! Płoneła wielkim oburzeniem, dopóki mróz i chłód toalety nie zgasiły jej emocji. Było tam niewiarygodnie zimno. Wychodząc jak najszybciej, potknęła się o rąbek szlafroka. Byle szybciej do ciepła pokoju, do światła.

– Już? – zapytał Reid. Skinęła potakująco głową, a on wziął lampę i poszedł do przybudówki. – Cholernie tam zimno, co? – powiedział po powrocie.

Przytaknęła ruchem głowy, w jej łóżku nie było wcale tak ciepło, jakby sobie życzyła. Kiedy Reid przyćmił lampę, wydało się jej jeszcze zimniej.

Zapanowała całkowita ciemność, tylko w drugim końcu pokoju słabo migotał mały żółtoczerwony trójkącik, znaczący otwór w drzwiczkach paleniska.

Kathy drżała w ciemności, słuchając dzikiego wycia i zawodzenia porywistego wiatru. Instynktownie wyczuła, że Reid wśliznął się na swoje posłanie.

Prawdopodobnie był teraz ciepły jak kot, pomyślała, gapiąc się szeroko otwartymi oczami w czerń dokoła. W tej części, gdzie leżała, pomieszczenie było lodowate. Przez szpary w ścianie bez przeszkód dostawał się wiatr, niosąc ze sobą

nieznośny ziąb.

Zagrzebała się głębiej w koce, naciągnęła je na twarz. Tak było lepiej, bardzo chciała wierzyć, że jest jej cieplej. Oddech rozgrzewał nieco wewnątrz kokonu, w jakim się znajdowała. Najbardziej marzły jej stopy, ale starała się nie zwracać na to uwagi.

Musiała zasnąć na chwilę, gdyż nagle usłyszała, jak wiatr zawodzi i jęczy. Było jej coraz zimniej, zaczynała drżeć, cała zziębnięta ze stopami tak zlodowaciałymi, aż chwycił ją kurcz.

Pójdę, usiądę obok pieca, zdecydowała, ostrożnie podnosząc się z łóżka. Owinięta kocem niczym płaszczem podreptała do ciepła, z nadzieją, że Reid się nie obudzi, że będzie mogła...

– Cholera! – Nastąpiła na coś, potknęła się i uderzyła o jakiś ostry kant. – Au!

– Co u diabła? – usłyszała głos Reida. – Kathy? – Zapalił zapałkę. – Co ty wyprawiasz?

– Chciałam się dostać bliżej piecyka, potknęłam się...

Zapałka zgasała, zaklął płynnie, wziął nową i zapalił lampę.

Utkwiła wzrok w małym płomyku, aż poczuła, że Reid ją przyciąga bliżej, w ciepło swojego objęcia.

– Jesteś przemarznięta – rzeki oskarżycielsko. Dotknął jej policzka. – Jak lód.

– Wiem.

– Idiotka! Nie masz rozumu... ? – Nagle ułożył ją na posłaniu, które przyszykował dla siebie. – Dołożę do ognia.

Zdrętwiała, przyglądała się, jak to robił. Dołożył dużo drewna do pieca i zamknął drzwiczki.

– Powinno być lepiej. Chcesz trochę gorącej kawy albo zupy?

– Nie, dziękuję. Chcę się tylko rozgrzać.

– Postąpiłaś jak idiotka. – Skuliła się, był wściekły. – Musiałaś koniecznie zrobić po swojemu, aby tylko nie kłaść się obok mnie. Ty myślisz, że w takich okolicznościach mam w głowie uwodzenie? Akurat!

– Prze... przepraszam.

– Powinnaś – westchnął i przeczesał ręką włosy. – To był długi dzień, Kathy, i trudny.

– Wiem – zgodziła się żałośnie. – Nie miałam na myśli...

– Oczywiście, że miałaś, ale powinnaś lepiej wiedzieć. – Nadal był zły. Stał od paru chwil. Nagle usiadł. – Wierz mi, albo i nie, ale nie jestem supermanem – rzekł, rozcierając bezwiednie jej zziębnięte stopy. – A po tym ciężkim popołudniu, nie mam ochoty na akrobacje łóżkowe. Chciałem tylko spać. Myślałem, że ty również, i sądziłem, że będzie nam cieplej razem.

– Miałaś rację – przytaknęła skruszona i znacznie spokojniejsza niż przed chwilą. Było jej już cieplej, stopy odzyskiwały czucie. – Byłam głupia, wiem, ale wydawało mi się ważne, aby... aby...

– Postawić na swoim – dokończył za nią, rozbrajając ją swoją troską, sposobem, w jaki jego dłonie dawały ciepło, intymnością tego gestu. – Za dużo

uwagi poświęcasz swoim kaprysom – kontynuował. – A przy tym, powstrzymujesz swoje emocje. Przyłgnęłaś do kogoś takiego jak ten pocziwy i zimny jak ryba Malcolm...

– Wcale nie – odparła, niezdolna zdobyć się na gniewny protest. – Zostaw go w spokoju.

– Dobrze – złagodniał nieco. – Jesteś zbyt zmęczona, aby walczyć. Lepiej się czujesz? – Uśmiechnął się, kiedy skinęła głową. Zwolnił uścisk na jej stopach. – Zostań tutaj przy piecu i zaśnij.

– Dobrze. – Posłusznie wyciągnęła się na materacu i wstrzymała oddech, kiedy troskliwie owinął ją kocami.

Odwrócił się, pokazując jasno, że zamierza zostawić ją w spokoju.

– A ty, jak się czujesz? – ośmieliła się zapytać.

– Dobrze. Podoba mi się twoje pytanie. – Uśmiechnął się.

– Chcę dodać jeszcze dREW do ognia, a potem...

– Możesz tu wrócić – zaproponowała, nieco speszona.

– Nie możesz marznąć tylko dlatego, że zachowałam się głupio.

– Jeśli tak uważasz...

Naprawdę tak uważała, a jeszcze bardziej, kiedy położył się obok niej i przyciągnął ją do siebie, do swego ciepła i delikatnie, czule objął.

Mogę mu ufać, pomyślała sennie, po raz pierwszy od ośmiu lat naprawdę mogę mu zaufać...

Ciszę mąciło jedynie trzaskanie dREW w piecyku.

Kathy obudziła się i jeszcze mocno rozespana zorientowała się, że burza śnieżna ucichła. Przepęniało ją uczucie błogości, leżała w objęciach Reida, z głową na jego ramieniu. Spał mocno, burząc równym oddechem jej włosy, wyprostowany i odprężony tak jak zwykle. Nie miał teraz w sobie nic twardego, żadnego gniewu ani napięcia. W tej chwili fizyczna bliskość między nimi była podobna do tych pierwszych dni i nocy. Chciała pomarzyć, trwać we wspomnieniach, jeszcze nie całkiem rozbudzona, obok śpiącego Reida.

– Nie śpisz – usłyszała jego głos. Nie był ani trochę zaszpany, i to też wywołało wspomnienia z jachtu, kiedy zawsze budził się od razu. – Lepiej i cieplej?

– Aha – mruknęła leniwie, wyciągnęła się jak kot, miękkie i uległe ciało otarło się o twarde linie jego ciała. Chciała jak najszybciej wydobyć się z resztek snu, zostawić mglisty świat marzeń.

Subtelne napięcie i pragnienie narastało w niej, pociągało ku niemu, wyzwolone wspomnieniami.

Któreś z nich poruszyło się, nie miało znaczenia, które... To była magia, jak zawsze, pomyślała bez tchu. Poruszyła się instynktownie, jej ciało ożyło. Czekало na jego dotknięcie, szukało ciepła, pragnęło tej magii...

– Cóż to za żarty? – wymruczał i roześmiał się.

Zesztywniała. Co ja robię? Co robię? Słowa odbijały się echem w najdalszych zakątkach świadomości. Szaleństwo! Fatalna pułapka! Zawsze ją zniewalała potęga

Reida, powinna wiedzieć i nie pozwolić, aby to znów się stało. Teraz, zanim będzie za późno, musi walczyć ze zdradzającym ją ciałem, zmusić się do sztywnego zaprzeczenia.

– Nie, nie zatrzymuj się. Już za późno. – Jego słowa były nieco stłumione, ale nie przez senność, lecz przez pożądanie.

Przysunął się bliżej, wargi odnalazły jej usta, ręce rozsunęły brzegi szlafroka, który miała na sobie. Wziął ją w posiadanie magią dotknąć na rozpalonej skórze.

– Chciałabyś nic nie czuć, co? – Całował ją, ledwie muskając. – Chciałabyś być tak chłodna jak drogi Malcolm...

– Nie. Zostaw go w spokoju – wyszeptała.

– Dobrze, kochanie. Szybko o nim zapomnimy...

Rozpalał ją, niszczył jakikolwiek ślad ośmiu lat zlodowacenia, pomyślała i sprawiło jej to przykrość.

Osiem lat bez Reida...

Była zgubiona i już nie przejmowała się tym, że teraz znów odprawia nad nią te swoje czary. Nie miała innego wyjścia, jak przytulić się do niego, wygiąć ciało w łuk, aby zatrzeć dystans między nimi. Zgubiona, pomyślała znowu. Ręce jej kusiły go, aby dotykał ją tak, jak chciała. Wiedziała, że zwyciężyła, kiedy usłyszała jego głos i słowa brzmiące jak zaklęcie:

– W porządku, dobrze... Ach, tak, Kath... – dyszał Reid, równie podniecony jak ona. Przyciągnął ją bliżej, tak blisko, jak to możliwe. – Tak dobrze, Kathy, tak dobrze... Nic się nie zmieniłaś...

Czas stanął w miejscu. Nadal wiedzieli, jak sprawić sobie nawzajem największą rozkosz, jak pieścić, jak doprowadzić do utraty tchu.

W ciemności nie było potrzebne światło, znali swoje ciała na pamięć.

Miłość! To niemożliwe! Po tym gniewie, bólu, zdradzie? Ale czuła ją: w pieszczotach, w radości dawania i brania. Chciała go, potrzebowała jego ognia, aby uzupełnić, wypełnić nie kończącą się pustkę. Potrzebowała uzupełnienia, które tylko on był w stanie jej dać. I dawał: w pełni dawał siebie, troskliwie prowadził ją do finału, do eksplozji i pełnego zespolenia.

Wreszcie, kiedy wszystko ucichło, trzymał ją mocno w objęciach.

– Tak zawsze było z nami – rzekł w ciemnościach. – Nie możemy się tego wypierać.

Nawet nie próbowała. Osiem długich samotnych lat bez niego, ale nadal... Prawda była oczywista: on czuł to samo. W tym przynajmniej byli równi, w wiedzy o tym, co stracili przez rozłąkę.

– Większość par uznałaby, że to wystarczy – zauważył Reid dziwnie obojętnie i wrażenie naglej pustki pogłębiło się, kiedy wypuścił ją z objęć i odwrócił się do niej plecami. – Powiedzieliby, że związek fizyczny to wystarczający powód, aby utrzymać małżeństwo.

– Może ty również – skontrowała, czując, że zasłona nocy dodaje jej odwagi. Łatwiej było zachować uczciwość wobec Reida, kiedy nie mogli patrzeć sobie w oczy. – Ale ja nie.

– Wiem, udowodniłaś to, aż nadto.

– Ale dopiero wtedy, gdy... wcześniej nie...

– Chciałaś czegoś innego, prawda? – Nie dawał jej szans obrony. – Zabawne, dla większości kobiet, jeżeli już nie miłość, to przynajmniej pieniądze są motywem, ale nie zauważyłem, żeby miały dla ciebie znaczenie decydujące.

– Nie miały, rzeczywiście – odparła, ale on chyba nie usłyszał. Właściwie nie rozmawiał z nią, tylko myślał na głos. Leżał obok, z ramionami pod głową i otwartymi oczami, była tego pewna.

– Nigdy nie mogłem się połapać, co ma dla ciebie znaczenie: ucieczka z wyspy, to było na początku. Ale nawet wtedy nie miałem pewności... Myślałem, może cię to rozśmieszy, że rozkochałaś się we mnie, że uwierzyłaś w miłość od pierwszego wejrzenia... Ale tak nie było, źle cię zrozumiałem, nie byłaś naiwną panienką...

– Musimy o tym mówić? – przerwała, bardzo niezadowolona. Miała dosyć, dlaczego akurat teraz musiał robić analizę jej postępowania?! – Reid, to nie ma sensu...

– Jest sens – przerwał ostro i gniewnie. – Próbuję wyrzucić ciebie z mojego świata.

– Miałam nadzieję, że już to zrobiłeś?

– Jak? Poprzez seks? – zapytał z wyrachowanym okrucieństwem. – Za bardzo do siebie pasujemy, ale nie mogę tego zrozumieć. – Obrócił się do niej, podparł na łokciu i usiłował zajrzeć w jej oczy. – Że ktoś taki chłodny, wyrachowany, rozsądny może być tak wrażliwy. Ogień i lód... co za paradoks. Ogień i lód – powtórzył, biorąc do ręki pasmo jej włosów, przesiewając je przez palce. – Co w tobie jest, dlaczego taka jesteś?

Przez ciebie! Zaciśnęła usta, żeby tego nie wykrzyczeć. Ogień płonął z miłości do ciebie, z pragnienia, abyś był ze mną... A lód? To proste: chroni mnie przed tobą.

– Co tobą kieruje? Przecież nie pieniądze, bo gdybyś chciała tylko pieniędzy, nie wyjechałaś... Przecież zabrałem cię do Nowego Jorku, tak jak chciałaś.

– Nie chciałam jechać do tego miasta, chciałam po prostu uciec z wyspy. Wydostać się z życia Thoma i Paulette. Tak było na początku, a potem... – Zamilkła.

– Tak? A co potem?

– Potem, tak bardzo zakochałam się w tobie... Potem wszystko się zmieniło, zostawiłeś mnie samą...

– Nie wydawało mi się, abyś ucierpiała z tego powodu. Zawsze miałaś jakieś zajęcie.

– Zajęcie? – zapytała z goryczą. – Jak ci się wydaje, co robiłam?

– Bóg jeden wie. Może miałaś romans. Przez moment myślałem nawet o Gregorym.

– O Gregorym? – Zaskoczyło ją to przypuszczenie i obraziło jednocześnie. – Jak mogłeś coś podobnego pomyśleć?!

– Nie martw się, niedługo o nim myślałem. Greg był zbyt lojalny wobec mnie i

– dodał z uśmiechem – nie jest mężczyzną, który mógłby dać satysfakcję komuś takiemu jak ty, komuś z takim temperamentem. Zabawna rzecz – kontynuował obcym głosem – Greg bardzo przypomina Malcolma: zahamowany i lękliwy, mało męski. Wybierasz sobie dziwnych mężczyzn.

– Nikogo nie wybieram...

– Oczywiście, że tak. Ja byłem pomyłką, chociaż zrobiłem to, czego się spodziewałaś. Zabrałem cię z wyspy do Stanów, dałem ci czas na przemyślenie twojej decyzji. Seks z tobą był przyjemny i myślę...

– Guzik mnie obchodzi, co myślisz! – wybuchnęła Kathy gorącym gniewem. – Nie mam zamiaru leżeć tutaj i pozwalać ci zabawiać się moim kosztem!

– Dlaczego nie? Ostatecznie chciałaś leżeć obok mnie i zabawiać się ze mną.

– Coś ci się pomyliło, jeszcze spałam i...

– Daj spokój! Nie wmówisz mi, że byłaś zamroczona.

– Nie mam ochoty na... – Przerwała i odsunęła się od niego, szczelnie owijając się kocem. Noc dobiegała kresu.

Przez szpary w okiennicach i ścianach sączyło się światło. Dzięki Bogu! Jasno na tyle, że można rozróżnić kształty przedmiotów: drewno, które Reid ułożył na podłodze, ich ubrania na krzesłach przysuniętych do piecyka. – Nie będę o tym dyskutować – powiedziała zmęczonym głosem.

Łaskawie zaakceptował jej decyzję, może zbyt wyczerpany, by dalej prowadzić spór.

Milcząc zajęli się przygotowywaniem śniadania. Miała więc uspokajające zajęcie. Zrobiła skromny posiłek z konserwowej szynki i fasoli.

Potem, kiedy kończyła ostatnią kawę, Reid wstał od stołu i sięgnął po kurtkę.

– Idę rozejrzeć się trochę po okolicy – oświadczył i wyszedł.

– Świetnie – warknęła. Wstała, kiedy drzwi zatrzasnęły się za nim. Automatycznie zaczęła sprzątać resztki po śniadaniu, zdecydowana zająć się czymkolwiek, żeby tylko nie myśleć o tym, co się wydarzyło.

Reida nie było przez dłuższy czas. Dokładnie posprzątała chatę i nastawiła na piecu garnek z konserwową baraniną. Ponieważ nie było nic do czytania, zaczęła odkurzać. Nagle drzwi otworzyły się i mroźny przeciąg przeleciał przez pomieszczenie.

– Jak domowo – zauważył ironicznie Reid. Kathy stała z miotełką od kurzu w ręku, a on oparł się o futrynę, wysoki i niedostępny, osypany śniegiem. – Garnek na piecyku i moja żona krzątająca się po domu... Kochanie, to zupełnie nie w twoim stylu.

– Skąd wiesz?

– Z doświadczenia. – Otrzeptał śnieg z butów. – Pamiętasz? Żyliśmy ze sobą przez parę tygodni i nie przypominam sobie – usiadł przy piecyku i ściągnął buty – żebyś kiedykolwiek robiła coś, co można by w przybliżeniu nazwać pracą domową. Ani nie gotowałaś, ani nie sprzątałaś.

– Jeśli masz mi to za złe po tylu latach, to jesteś śmieszny!

– Kiedyś myślałem, że dam ci szczęście... – Wyciągnął nogi przy ogniu. – Ale

ty jesteś inna...

Zagryzła wargi.

– Myślisz, że miałam jakiś wybór?

Wzruszył ramionami.

– Mogłaś robić, co ci się podobało, chyba nie zaprzeczysz?

– Ty też się nie przemęczałeś w domu, miałeś zawsze służbę!

– Co ciebie cieszyło bezgranicznie. Greg powiedział, że prawie nie było cię w domu, że wciąż wychodziliście, aby gonić za rozrywkami i towarzystwem.

– A co miałam robić?! Ciebie nie było, nie miałam żadnych przyjaciół, twoja matka udawała, że mnie nie zna. A kulturalne rozrywki były pomysłem Grega i...

– Wygodna wymówka, zawsze ktoś jest winien.

– Nie! Myślałam, że będziemy razem, ty i ja.

– Tak? Romantyczna para, żyjąca na pustyni?

– Nie wiedziałam! Skąd mogłam wiedzieć, jak wygląda życie w Nowym Jorku? Chciałam uciec z wysp, dokądkolwiek, nawet do Stanów!

– Bez zobowiązań, tak jak podczas wędrowki z wyspy na wyspę, bez przyjaciół, bez odpowiedzialności. Nic, co trzymałoby w jednym miejscu.

Potrząsnęła głową.

– Był mój ojciec, była Paulette...

– Nic o mnie nie wiedziała i pozwoliła mi cię zabrać.

– Reid! Nie wolno ci tak mówić! Była dobra dla mnie! I mój ojciec też!

– Ty jesteś klasycznym typem samotnika, dopiero teraz to sobie uświadomiłem.

Tak naprawdę nie potrzebujesz nikogo. Chciałaś tylko zyskać punkt startu w nowym życiu. w Stanach, a kiedy ci to dałem, pozbyłaś się mnie!

Jak on śmie! To on ją opuścił, a teraz zrzuca na nią winę!

– Reid, wyjechałeś...

– Pracowałem. Musiałem wyjeżdżać. Musiałem pracować!

– Ciebie praktycznie wcale nie było, gdyby nie ciotka Margaret czy Greg...

Przecież nie miałam nikogo...

– Prędzej czy później musieliśmy poruszyć ten temat. Nigdy nie miałem pewności. Biedna mała Kathy, zupełnie sama na świecie. Czego pragnęłaś? Dziecka? Dziecko rozwiązałoby twoje problemy?

Ach, więc o to chodziło. Zamknęła oczy, powrócił dawny straszny ból. O to chodziło, ostateczna przeszkoda, bolesna i okrutna. Sprawa, o której nigdy nie rozmawiali bezpośrednio ze sobą, ale jedynie za pośrednictwem Grega.

– Proszę, nie pytaj mnie o to...

– A dlaczego? Prawda w oczy kole? Nie chcesz słuchać, gdyż prawda nie bardzo pasuje do obrazu biednej sierotki? Ale to ci się nie uda. Przez te wszystkie lata, kiedy myślałaś, że nic nie wiem, kiedy wierzyłaś, że utrzymasz to w tajemnicy przede mną... że tylko Gregory wie...

Wreszcie Kathy otworzyła oczy. Co powiedziała takiego Gregory'emu? O co chodziło? Niczego nie pojmowała.

– O czym ty mówisz?!

– Doskonale wiesz, o czym – wycedził. – Nie ma sensu niczego udawać, ponieważ Gregory powiedział mi wszystko. Mniejsza o to, że próbowałaś wyprowadzić go w pole, on pracował dla mnie. Moja firma mu płaciła. Kupiliśmy jego lojalność: mój ojciec i ja, ty nie miałaś szansy.

– Szansy na co? – Była kompletnie zaskoczona. – Nie wiem, o co chodzi...

– Przestań, do ciężkiej cholery! Nie wiem, co ty znowu knujesz, ale ja nie dam się nabrać. Znam twój mały brudny sekret! Znałem od razu.

– Co takiego?.

– Dziecko, twoje dziecko. To, które... czy mogę użyć brzydkiego słowa, Kath?

– Ledwie hamował furję. – Które wyskrobałaś, którego nie chciałaś donosić!

Rozdział 11

– Dziecko... – szepnęła i urwała. Poczowała nieznośne gorąco i zaraz po tym lodowaty dreszcz, ból dawnego cierpienia. – Nie... – Nie potrafiła wykrztusić nic więcej, nie potrafiła powiedzieć słowa, lecz... – Nie chciałam? – powtórzyła bezwiednie. – To nieprawda... ja nie...

– Daj spokój – poprosił Reid. – Nic już lepiej nie mów!

Jej ból nagle zamienił się w bunt.

– Nigdy tak nie było! Nie oskarżaj mnie o coś, czego nie popełniłam! Gdybyś wtedy wiedział...

– Co miałem wiedzieć? – zapytał, ale ona nawet tego nie usłyszała.

– Dla ciebie to nic nie znaczyło. Nie chciałeś być uwięzany przez żonę i dziecko... Może tak jest najlepiej, tak mówiłeś. Ty...

– To nieprawda. Nigdy czegoś takiego nie mówiłem, a zresztą wyjechałaś, zanim się dowiedziałem.

– Oszczędź mnie! Wiedziałaś! Gregory ci powiedział!

– Racja – zgodził się lodowato. – O wszystkim dowiadywałem się od Gregory'ego. Ty zaś... nie zatroszczyłaś się o to, żeby mnie poinformować, że jesteś w ciąży, potem, że nie chcesz dziecka, a jeszcze później, że się go pozbyłaś...

– Nie zrobiłam tego! Ja... – Jak on mógł uwierzyć w podobne kłamstwo? Ale uwierzył... Walczyła ze łzami, napływającymi do oczu. – Przestań mnie oskarżać!

– Przecież taka jest prawda.

– Bzdura. Ja poroniłam... straciłam dziecko. – Mówiła głosem obojętnym i bezbarwnym. Teraz wreszcie, po tylu latach, mogła mówić o tym, co tak długo nosiła w głębi duszy. – Straciłam dziecko. To stało się bez konkretnej przyczyny... Lekarz powiedział, że po prostu musimy spróbować znowu... Dobre sobie, przecież nawet nie odpowiadałeś na moje listy...

– To kłamstwa – przerwał szorstko.

– Wcale nie. – Spojrzała mu prosto w oczy, chcąc znaleźć w nich zrozumienie. Do diabła z nim! Niech myśli, co chce! – Słuchaj! Mogę udowodnić, że mówię prawdę! Możesz spotkać się z tamtym lekarzem, to szacowny położnik, nie jakaś brudna baba z szydełkiem, która pokątnie dokonuje aborcji. Mój lekarz przyjmuje na Park Avenue. Porozmawiaj z nim!

– Nie... – Reid oddychał z trudem. – Kath, czy to prawda?

– Najświętsza i ty wiesz, że tak jest.

– Nie, nie wiedziałem, Gregory mówił... – Przerwał. – Gregory, nasz jedyny łącznik, przecież nigdy nie dzwoniłaś...

– Ale posyłałam listy. Mówił, że tam, gdzie jesteście, nie ma łączności telefonicznej, więc pisałam. Zapisałam tony papieru! Codziennie...

– I dawałaś mu, żeby mi doręczył?

– Wiesz przecież, że tak robiłam.

– Naprawdę?

– Tak! – rzekła z naciskiem, wściekła na jego głupie zdziwienie. Czy on naprawdę przez całe osiem lat żył w przekonaniu, że to ona urwała kontakty? Chyba już wiedział, jak to było naprawdę... – O co chodzi, Reid?

– Gregory...

Cóż mógł mieć wspólnego z nimi Gregory i dlaczego w zachowaniu Reida nastąpiła tak gwałtowna zmiana? Gniew raptem wyparował, poczuła, że Reid przestał ją obwiniać.

– Co Gregory?

– Nie rozumiesz? On był naszym jedynym kontaktem. Nie przekazał mi żadnych listów, ani jednego listu od ciebie.

– To niemożliwe. Ja...

– Żadnego – powtórzył głośno, nie słuchał jej. – Na początku tłumaczył, że ty nie bardzo lubisz i umiesz pisać listy, a potem mówił, że jesteś zbyt zajęta rozrywkami.

– Śmiechu warte. To podle kłamstwo!

– Jedno z wielu, jak się okazało. Kath, Gregory powiedział mi, że ty nie chciałaś tego dziecka, że zrobiłaś skrobankę.

– To twoja wersja!

– Nie, to prawda. Posłuchaj, jeśli ja jestem gotów uwierzyć tobie, spróbuj i ty mi uwierzyć.

– Nie mogę. – Wyrwała dłonie z delikatnego uścisku Reida i oplótła ramionami barki w obronnym geście. – Dlaczego Gregory miałby kłamać?

– Ty mi to powiedz – rzekł zimno. – Przystawałaś z nim więcej niż ja. Może chciał cię mieć dla siebie...

– Gregory?! To zupełnie nie w jego stylu. Ja do niego nie pasuję! To niemożliwe!

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że jestem pewna! Co ty sobie myślisz? Że mieliśmy romans?!

– Nie. Myślałam, że Greg mógł mieć na ciebie ochotę.

– Gdyby tak było, trzymałby to w tajemnicy – wypaliła Kathy. – Po prostu przebywał ciągle ze mną, opiekował się, nic ponadto, co mu zleciłaś. Nigdy nie odnosiłam wrażenia, że mu na mnie zależy... Był lojalny wobec ciebie. Po wyjeździe z Nowego Jorku nigdy więcej się z nim nie spotkałam.

– Nie utrzymywałaś z nim kompletnie żadnych kontaktów?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Znowu się zamyślił.

– A co wobec tego stało się z czekami, z pieniędzmi na utrzymanie?

Rzuciła wyniosłe spojrzenie.

– Nie chciałam niczego od ciebie i niczego bym nie wzięła...

– Od samego początku przysyłałem ci pieniądze. Regularnie, co miesiąc, jak w zegarku podpisywałem чеки, a Gregory je przekazywał, ty pobierałaś gotówkę... A może to wszystko nieprawda? Czy dostawałaś ode mnie pieniądze? Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział sam sobie. – Jeszcze jedna rzecz, którą Gregory będzie musiał wyjaśnić... A ja mu ufałem!

– Był twoim długoletnim pracownikiem. Ciągłe zastanawiałam się, czy ty naprawdę wierzysz, że opieka Gregory'ego wystarcza mi do szczęścia, że nie zależy mi na tym, abyś był ze mną?

– Och, Kathy – westchnął Reid i po chwili ciszy nagle przygarnął ją do siebie. – Bardzo cierpiałem bez ciebie, a potem wróciłem do domu tylko po to, żeby się przekonać, że ciebie nie ma... że odeszłaś. – Przytulił ją do siebie i mocno obejmował.

– To było piekło – wyznał cicho, z głębi serca. – A potem, kiedy on powiedział mi o dziecku... nie mogłem ci tego wybaczyć, to była ostateczna zdrada...

– Wiem – wyszeptwała przez łzy. – To było takie trudne...

– A mnie nie było przy tobie, najdroższa, mimo że powinienem. Mój Boże, gdybym wtedy wiedział!

Teraz już wiedział. Trzymał ją mocno w ramionach, dzielił z nią ból i łzy, uzdrawiający balsam. Resztki barier między nimi runęły.

– Nareszcie – szepnął, gdy minęło największe wzruszenie.

– Kathy, najdroższa... nigdy nie przestałem cię kochać. Zawsze cię kochałem.

– Ja ciebie też...

Znów mogli być naprawdę razem. Znów cieszyli się sobą bez ograniczeń.

– Te wszystkie zmarnowane lata... – mruknął, gdy leżeli objęci.

– Już nigdy więcej – odparła gorąco. – Ten koszmar już nie istnieje, skończył się!

– A jednak szkoda, kochanie... chociaż – podniósł się na łokciu i zawiesił na moment głos – jesteś dwa razy lepsza niż osiem lat temu.

– Dlaczego? – zapytała, rumieniąc się. – Jestem lepsza w łóżku?

– To też. – Dotknął jej dłoni. – Teraz jesteś lepsza we wszystkim, mądrzejsza. Pamiętasz tamten wieczór, kiedy wszedłem do salonu i usłyszałem, jak opowiadasz o kościele? Byłaś taka urocza i... mądra! Zakochałem się po raz drugi.

– To chyba niemożliwe. Przecież nadal mnie nienawidziłeś.

– Tak, to prawda, ale jednocześnie kochałem cię, nie tę dziewczynę, którą znałem wcześniej, ale dojrzałą kobietę, którą się stałaś.

– To musiało być zabawne dla ciebie.

– Walczyłem z tym uczuciem, w każdym razie tak mi się wydawało. – Wyciągnął się na łóżku, pocałował jej dłoń. – A ty?

– Ja też – przyznała. – Denerwowało mnie, że wciąż wzbudzasz we mnie takie uczucia. Pracowałam ciężko na swoją niezależność i spotkanie z tobą zburzyło mój ład. Nagle czas cofnął się o osiem lat. Znów byłam żałośnie młoda, a ty byłeś człowiekiem światowym.

– Nigdy nie byłem takim światowcem, jak ci się wydawało. Osiem lat temu byłem jeszcze młodzieniaszkiem. Myślałem, że życie jest grą, zabawą. Obawiam się, że to, co czułem do ciebie na początku, to była szalona i ślepa młodzieńcza fascynacja. Ta pierwsza noc na plaży, stałaś tam w dziewczęcej koszuli nocnej, z szalem na ramionach... Byłaś szalona, ufając, że spełnię twoją prośbę, że zabiorę cię z wyspy i nic innego się nie wydarzy. Zawsze, wtedy też, chciałem cię mieć,

być z tobą.

– Pragnęłam tego samego – być z tobą, stać się tym, kim będziesz chciał, żebym się stała.

– Prawdopodobnie to nie jest najlepsza podstawa do małżeństwa – zauważył żartobliwie Reid. – Budowanie na piasku...

– Tak – przyznała Kathy niechętnie, znów ogarnęły ją wątpliwości. – Więc skąd mamy wiedzieć, że teraz jest inaczej?

– Bo dorośliśmy – odpowiedział szybko. – Jesteśmy już innymi ludźmi. Pamiętasz, jak kłóciłaś się ze mną o kościelne łuki? Wykazałaś wiedzę i charakter, a na dodatek miałaś rację! Przegrałem z kretesem.

– Przecież byłeś chory, to dlatego miałeś gorszy dzień.

– Oboje jesteśmy stworzeni dla siebie. Kocham cię coraz bardziej. Kocham twój ogień. – Pocałował ją. – Kocham twoją siłę i pasję, kocham kobietę, którą te lata ukształtowały. Chcę ją mieć, o ile ona zechce mnie...

– A czy mam jakiś wybór? Nigdy nie przestałam cię kochać, nawet wtedy, kiedy wstydziłam się przyznać do tego.

– Dobrze! Jesteśmy razem i nic nas nie rozdzieli. I przy odrobinie szczęścia nadejdzie wiosna, zanim ktoś nas odnajdzie... – zakończył głębokim głosem, przyciągnąwszy ją mocno do siebie. Błysk w jego oczach nie pozostawił wątpliwości co do jego zamiarów.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał bardzo spokojnie Reid, akcentując każdy wyraz. – Co chciałeś zyskać w ten sposób?

Gregory wyglądał na wcielenie niewinności, niesłusznie oskarżanej o coś, o czym pierwszy raz w życiu słyszy.

Kathy przyszło do głowy, że gdyby nie awaria silnika samolotu i trzy dni, jakie spędziła z Reidem w chatce, sprawy Gregory'ego sprzed ośmiu lat nie ujrzałyby nigdy światła dziennego.

Ratownicy, choć Kathy uważała to określenie za zbyt dramatyczne, byli szybcy i sprawnie zorganizowani. Samolot zwiadowczy nadleciał rano, dostrzeżono dym z komina, a w pobliżu uszkodzony samolot. Ekipa przybyła dwoma samochodami terenowymi, przystosowanymi do jazdy po śniegu; było nieco kłopotu przy jeździe w górach, ale szczęśliwie dotarli wieczorem do najbliższej jednostki pogotowia górskiego.

Czekali na nich reporterzy z radia i telewizji. Kiedy Reid odpowiadał na pytania, Kathy stała oślepiona ostrymi światłami lamp telewizyjnych, tak jaskrawymi, że noc stała się jaśniejsza niż dzień. Parę minut później oficjalnie fetowano ich uratowanie.

Gregory był jednym z tych, którzy przybyli później. Jego doskonale skrojony płaszcz i ciemny garnitur zwracały uwagę wśród narciarskich strojów. Kathy dostrzegła go niemal natychmiast. Był na pozór chłodny i opanowany, jedynie w jego oczach czaił się niepokój i rozterka... I bardzo dobrze! Aż zdziwiła się siłą własnego gniewu.

Być może to uczucie przeniosło się i na Reida. Otoczył ją ramieniem. Rozmawiał z kimś, lecz przerwał na chwilę, rzuciwszy jej krótkie, uważne spojrzenie.

– A więc czas na nie dokończone sprawy – zwrócił się do Kathy, przeprosił zgromadzonych dokoła i pociągnął ją za sobą. – Gregory, pozwól tutaj. – Wskazał pusty pokój, przy którym stali.

Teraz byli tylko we troje. Reid nadal obejmował Kathy i patrzył na Gregory'ego, który wyglądałby całkiem niewinnie, gdyby nie zdradzał go wyraz oczu. Były zbyt czujne. Nie patrzył na nich, uciekał spojrzeniem na boki, jakby szukał ratunku.

– o co chodzi, Reid? – zapytał i rozłożył ręce w geście zagubienia. – Czy coś się stało?

– Doskonale wiesz, o co chodzi! – podniósł głos Reid.

– Kłamałeś, mnie i Kathy przekazywałeś fałszywe informacje o tym, co robimy. Zniszczyłeś nasze małżeństwo!

– Ja kłamałem? A o czym?

– O dziecku! – krzyknął Reid, ból i gniew znów ożyły w jego głosie. – Powiedziałaś mi, że ona zdecydowała się na aborcję, a jej powiedziałeś, że moim zdaniem dobrze się stało, że to zrobiła!

– Tak ci mówiła? – zapytał obrażonym tonem Gregory.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że tak się stanie, jeżeli zostaniecie sami przez parę dni.

– Dowiedzieliśmy się wreszcie, jak wygląda prawda – rzekł Reid lodowato.

– Czyżby? – Gregory znów stał się pewny siebie. – Wiedziałem, że ona będzie kłamać, kręcić... Po to, żeby przekonać ciebie, że to ona jest niewinna – dodał i roześmiał się gorzko. – Ty naprawdę jej nie znasz, Reid – mówił dalej.

– Nie wiesz, do czego jest zdolna, ale ja wiem! Spędziłem z nią więcej czasu niż ty i wiem. Ciebie tam nie było, kiedy zabiła to dziecko...

– Jak śmiesz! – zawołała Kathy. – To ohydne kłamstwo!

– Sama chciałabyś w to wierzyć. – Gregory spojrzał na nią litościwie. – Ona kłamie – zwrócił się do Reida. – Zawsze kłamała. Reid, ona się nie zmieniła. Kiedy byłeś w szpitalu, obserwowałem ją. Nie możesz jej ufać ani wierzyć w to, co mówi.

– I sądzisz, że kłamała przez te parę dni, które ostatnio razem spędziliśmy?

– Jestem przekonany – potwierdził Gregory z goryczą.

– Domyślam się, że chciała zrobić ze mnie łajdaka w twoich oczach. Czort wie, co ona może jeszcze zmyślić... Chyba wszystko, abyś jej uwierzył.

– I co takiego, na przykład? – zapytał uprzejmie Reid obojętnym tonem.

Czyżby Gregory zwyciężył? Kathy poczuła zimne przerażenie. Czyżby Gregory'emu udało się zrujnować jej życie po raz drugi? I Reid miał zamiar mu na to pozwolić?

– Czy nie sądzisz, Greg, że ja sam mogę sprawdzić jej matactwa?

– Nie – odpowiedział stanowczo Gregory. – Nigdy nie umiałeś zachować obiektywizmu wobec niej. Pozwalałeś, aby rządziły tobą uczucia, tak jak wtedy,

kiedy zabiła twoje dziecko... Potem, kiedy odeszła... Tak ciężko to odchorowałeś, tak wzięłeś to sobie do serca...

Kathy zrozumiała w jednej chwili, że to co powiedział Reid, było absolutną prawdą.

– Reid, ja tylko próbowałem pomóc – zaczął znowu Gregory. – Nie chcę, abys na nowo cierpiał!

– Nie martw się o mnie. Jestem starszy i mądrzejszy, nie tak łatwo schwytać mnie w sidła kłamstw, jak osiem lat temu.

– Nawet nie masz pojęcia, jak ona umie wykręcać kota ogonem, dużo czasu poświęciłem, żeby ją przejrzeć – bronił się Gregory.

– Słuchaj – rzekł poważnie Reid. – Przeżyłeś szok, kiedy dowiedziałeś się, że pracujemy wspólnie z Kathy. Miałeś nadzieję, że mamy tak głębokie urazy do siebie, iż nigdy nie będziemy rozmawiać o przeszłości?

– Nadal nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz doskonale! Czy ty naprawdę sądziłeś, że przez trzy dni i trzy noce nie zaczniemy przynajmniej rozmawiać?

– Diabeł wie, co ona nawymyślała, ta zakłamana...

– Dosyć! – Cierpliwość Reida wyczerpała się. Nagła przemiana przeraziła Gregory'ego, nawet Kathy nie spodziewała się tak gwałtownej reakcji. – Nigdy tak nie mów! Nawet nie próbuj!

– Chciałem tylko wyjaśnić...

– Nie! Po raz ostatni chciałeś ratować własną brudną twarz! Miałeś szansę, dałem ci czas, po tym wszystkim, co narobiłeś, mogłeś przynajmniej przyznać się do winy. Wszyscy troje znamy prawdę. Teraz chcę wiedzieć już tylko jedno, dlaczego to zrobiłeś?! – Reid stał nad nim pochylony, z zaciśniętymi pięściami.

– Ja nie... – Zuchwałość Gregory'ego pękła jak bańka mydlana. – Ja... Z powodu twojego ojca – wyznał żałośnie.

– On i twoja matka... Uważali Ka... Uważali twoje małżeństwo za pomyłkę...

– A ty wzięłeś na siebie niewdzięczny trud zrujnowania mojego małżeństwa? – zapytał sarkastycznie Reid.

– To nie był mój pomysł... Twój ojciec chciał, żebyś był jak najdalej od niej, żebyście nie utrzymywali bezpośrednich kontaktów. A to on był nadal moim szefem.

– Więc dlatego chowałeś listy Kathy, okłamywałeś mnie...

– Musiałem! To było polecenie przełożonego!

– Gdybyś mi powiedział, może dałbym sobie z nim radę.

– Przecież wtedy rządził wyłącznie twój ojciec... Nie miałem wyboru, nie dał mi nic powiedzieć. Powtarzał, że każdy, kto chce odnieść sukces w firmie, musi nauczyć się działać na własną rękę, skutecznie i przebiegle, dopiero wtedy zyska jego uznanie. Korzystaj z każdej okazji, tak powiedział, więc kiedy Kathy poroniła...

– Dostrzegłeś szansę dla siebie – uzupełnił lodowato Reid.

– Czy przynajmniej mój ojciec nagroził cię wystarczająco sownie?

– Nadal miałem pracę. Nie zależało mi na pieniądzach.
– Jednak dostałeś pieniądze? Zniszczyłeś moje małżeństwo!
– Ale nie wzięłeś rozwodu, twojemu ojcu i matce zależało na rozwodzie...
– I nagroda była mniejsza, co? Wyrównałeś to sobie, kradnąc czekki, które wysyłałem przez ciebie do Kathy?
– Co takiego? Jakie czekki! Czy wmówiła ci, że ich nie dostawała?
– Słuchaj, Gregory. Przestań się zgrywać, pókim dobry. Ciesz się, że nie wnoszę oskarżenia do sądu o kradzież.
– Ale...
– Dość; Teraz już naprawdę koniec. Tak, Gregory, skończyłeś karierę. Od jutra nie wolno ci wejść do twojego byłego biura, osobiste rzeczy zostaną ci odesłane. To wszystko. Wynoś się. – Otworzył drzwi, zaczekał, aż Gregory wyjdzie, i zatrzasnął je z hukiem. Spojrzał na Kathy. – Jeszcze jeden drobiazg. – Otworzył drzwi i zobaczywszy grupkę ratowników na korytarzu, powiedział jak gdyby nigdy nic: – Bardzo proszę jeszcze chwilę poczekać.
Tym razem delikatnie zamknął drzwi. Objął Kathy serdecznie.
– Kochanie, wszystko co złe skończyło się. Musimy zacząć od nowa.
– Nowy początek.
– Tak. Absolutnie nowy – przyrzekł uroczyście. – Wyjdiesz za mnie?
– Oczywiście... – W pierwszej chwili nie zrozumiała. – Ale myślałam, że już jesteśmy małżeństwem.
– Mówiłaś, że nie było to całkiem legalne.
– Hm... – Otoczyła rękoma szyję Reida, wpatrywała się w jego oczy, a potem bardzo poważnie zapytała: – A czy było legalne?
– W każdym razie mamy prawo pobrać się jeszcze raz. A po tym, co powiedziałem reporterom, lepiej będzie, jeśli to zrobimy. No wiesz, powiedziałem im, że nie martwiliśmy się zbytnio, bo mieliśmy mnóstwo jedzenia, a w dodatku znaleźliśmy świetny sposób, żeby się rozgrzać.
– Nie powiedziałeś tak!
– Nie chciałem stresować ojca Gardinera, więc nie powiedziałem tego wprost. Na pewno będzie zachwycony, mogąc połączyć nas węzłem małżeńskim.
– W naszym kościele?
– Jak tylko będzie odbudowany – obiecał Reid i przytulił ją do siebie.

EPILOG Kościół wyglądał imponująco. „Najwspanialszy projekt Fillmore'a", jak przyznali zgodnie eksperci.

Stare ławy, oryginalny pulpit i palladiańskie okno były znów na swoich miejscach. Boazeria lśniła bielą, a ściany jaśniały kolorem złota.

Za oknami roztaczał się wiosenny pejzaż, delikatna zieleń drzew i rozmyty błękit nieba.

Ale ci dwoje, którzy najbardziej przyczynili się do przywrócenia świątyni jej dawnej chwały, zajęci tylko sobą, nie zwracali uwagi na piękno wokół nich. Widzieli tylko siebie.

– Czy wiesz? – zapytał Reid, kiedy ceremonia zaślubin skończyła się, a ojciec

Gardiner polecił ucałować pannę młodą. – Dojrzałe owoce są najlepsze!

Usta ich złączyły się. Było naprawdę cudownie i tak już miało pozostać na zawsze.